NR 2

List X. Cazot w sprawie Konwentu Generalnego.

Paryż, dnia 1 marca 1933

Wielebni Księża i Kochani Bracia!

Łaska Pana Naszego niech będzie zawsze z Wami!

Według naszych Konstytucyj stanowisko Przełożonego generalnego nie powinno wakować dłużej, niż sześć miesięcy; w porozumieniu z mą Radą wyznaczyłem otwarcie przyszłego Konwentu generalnego na dzień 26 lipca bieżącego roku.

Proszę Ichmość Księży Wizytatorów, by na ten termin byli gotowi, t. j. by na czas odbyły się konwenty domowe i prowincjonalne.

W związku z tem pozwalam sobie zwrócić Waszą uwagę na jedną sprawę. Niektóre prowincje europejskie mają swe domy w Azji, Ameryce lub na Oceanji. Konfratrzy tych domów są wybieralni, jak wszyscy inni; należy więc umożliwić im przyjazd do Paryża na czas, gdyby na konwencie prowincjonalnym zostali wybrani; stąd konieczną jest rzeczą, by data konwentu prowincjonalnego nie była zbyt bliską konwentu generalnego.

Ichmość Księża Wizytatorzy i Superjorzy powinni czuwać, by formalności wymagane przez Konstytucje i dekrety naszych Konwentów generalnych były wiernie zachowane. Nieodżałowanej pamięci ks. Louwyck ułatwił im to zadanie przez swoje dziełko: *De conventibus tum domestico tum provinciali*,, które, mimo pewnych zmian wprowadzonych przez późniejsze dekrety, będzie dla nich przewodnikiem jasnym, praktycznym i metodycznym.

Jest jednak kilka punktów, których bliższe objaśnienie uważam za pożyteczne.

1. Nasze Konstytucje żądają pełnych sześć lat ślubów do wybieralności na konwent zarówno prowincjonalny jak generalny. W naszych czasach ci wszyscy, którzy są zobowiązani do służby wojskowej, składają przed ślubami wieczystemi śluby czasowe. Otóż zachodzi pytanie, czy do owych sześciu lat ślubów wliczyć należy również czas trwania ślubów czasowych. Konwent generalny rozstrzygnie to pytanie definitywnie; konieczna jest jednak odpowiedź prowizoryczna, skoro głosowanie odbędzie się przed Konwentem. Moja Rada, wzorując się na kanonie 578, n. 3, odpowiedziała twierdząco.

2. Superjorem zostaje jakiś konfrater jedynie na mocy patentu wystawionego przez Przełożonego generalnego lub przez Wikarjusza generalnego; po upływie zaś sześciu lat pozostaje nim nadal na mocy nowego aktu tejże samej władzy po odniesieniu się do Rzymu, jeżeli odniesienie się zostało uznane za konieczne.

3. Konfratrzy, którzy opuścili własną prowincję, by oddać się pracy w innej, do której jednak nie zostali jeszcze definitywnie inkorporowani, są wybierani w pierwszej, nie w drugiej.

4. Niektóre prowincje mają daleko, w innej części świata, wiceprowincje, złożone często z małych domów, składających się z dwóch lub trzech konfratrów. Gdyby wszystkie te domy wysłały po dwóch przedstawicieli do siedziby Wizytatora, powstałyby stąd ogromne koszta i ustałaby praca na kilka miesięcy. Niechże więc ci przedstawiciele zgromadzą się u Wicewizytatora lub gdzieindziej w obrębie wiceprowincji i wybiorą z pośród siebie dwóch lub trzech delegatów na konwent prowincjonalny; przedstawiciele zaś, którzy nie zostali delegatami, niech prześlą akt zrzeczenia się. Niema w tem nic przeciwnego naszym Konstytucjom, dlatego można ten sposób postępowania zastosować.

5. Dwa są rodzaje postulatów: jedne wnosi się do Konwentu generalnego, drugie do Przełożonego generalnego. Przy ich formułowaniu należy mieć wzgląd jedynie na wyższe, ogólne dobro Zgromadzenia.

Zauważyć należy, że wiele postulatów, przyjętych przez Konwent generalny z roku 1931, żądało zmian w naszych Regułach wspólnych i Konstytucjach, których tekst został kiedyś zatwierdzony przez Stolicę apostolską; z tego więc powodu musieliśmy

je przedłożyć najwyższej władzy do aprobaty. Odpowiedź jeszcze nie nadeszła; miejmy przeto cierpliwość.

Postulaty, które głoszą konwenty prowincjonalne, będą przedłożone, według ich natury, różnym komisjom. Uprzednia ich klasyfikacja jest zatem konieczna, a nie jest to praca jednego dnia. Wiem, że delegaci z reguły powinni przynieść ze sobą akta konwentu prowincjonalnego; nic wszakże nie stoi na przeszkodzie by wysłać do Paryża odpis postulatów, skoro tylko konwent się skończy. Wdzięczny byłbym Ichmość Księżom Wizytatorom, gdyby zechcieli wyświadczyć nam tę przysługę.

6. Usilnie przestrzegam przed uciekaniem się do środków ludzkich czyto przy wyborze delegatów na konwenty, czyto przy wyborze Przełożonego generalnego i jego Asystentów. Duch świata tego nie powinien do nas przeniknąć; pozwólmy się kierować duchem bożym. Posłuchajmy co mówią nasze Konstytucje o wyborze Przełożonego generalnego: „Ut in re tanti momenti omnis ambitus tollatur occasio, excomunicationis latae sententiae poenam incurret quivis ex nostris, qui ab obitu Superioris generalis cum aliquo externo egerit eo fine, ut sive sui sive alterius promotionem ad generalatum aut ab eo alterius exclusionem procuret, vel quocumque modo electionis libertatem impediat aut perturbet, item qui aliquem ex nostris ad suam ipsius electionem ambitiose sollicitando generalatum affectaverit, vel qui ad ambientis inductionem pro eiusdem electione quempiam ex nostris sollicitaverit".

Każdy będzie głosował według swego sumienia bez uciekania się do owych środków ludzkich, które tak potępiał św. nasz Założyciel; wybrany powinien być przedewszystkiem wybrańcem Boga.

Przeczytajcie sobie pierwszą stronicę naszych Konstytucyj; ona wam powie, jakito piękny zespół przymiotów powinien posiadać Przełożony generalny: ma być pobożny, pokorny, miłosierny, prawy, rozsądny, roztropny, dyskretny, wykształcony, biegły w znajomości reguł i zwyczajów Zgromadzenia, stały w swych zamierzeniach, surowy w danym razie, tak jednak, by surowość łączyła się z łagodnością i słodyczą; powinien być przywiązany do swego powołania, wierny naszym praktykom, łaskawy, łatwy i uprzejmy w obejściu; powinien mieć przynajmniej 40 skończo-

nych lat życia, a być w Zgromadzeniu conajmniej 12 lat od złożenia ślubów św. Przeczytajcie również kanon 504; uzupełnia on w tym punkcie nasze Konstytucje.

Zresztą liczmy na Opatrzność bożą. W domu macierzystym codziennie po obiedzie od 19 do 27 lipca włącznie będziemy odmawiać *Veni Creator;* każdy z pośród księży odprawi w ciągu tej nowenny mszę św., wszyscy zaś inni, klerycy i bracia, przyjmą komunję św. w tejże intencji.

Przepisanie odpowiednich modlitw w poszczególnych prowincjach pozostawiam uznaniu Księży Wizytatorów.

Wznośmy więc serca nasze do św. Wincentego a Paulo oraz do Tego, który zawsze opiekował się swem dziełem; mając tak mocne oparcie, możemy się spodziewać, że posiedzenia naszych konwentów odbywać się będą w zgodzie i jedności dla większego dobra Zgromadzenia.

W miłości Pana Naszego całem sercem Wam oddany

E. Cazot
n. k. Z. M., Wik, gen.

Ostatnie chwile O. Jenerała Verdier.

26 listopada. Ojciec Jenerał od pewnego czasu czuje się ogromnie osłabiony. brak snu, brak apetytu. Z trudnością namówiono go, by się udał do szpitala św. Michała. „To tylko na cztery albo pięć dni“, odpowiada tym, którzy go pozdrawiają.

15 grudnia. Lekarze chirurdzy w szpitalu St. Michel dochodzą do przekonania, że nie można robić operacji. Ojca Jenerała przewieziono do domu macierzystego. „Uważam, mówił Ojciec Jenerał, z chrześcijańską rezygnacją, że człowiek Zgromadzenia powinien umierać w domu.

17 grudnia. O godz. 1-szej po południu dzwonek domowy zwołuje wszystkich do infirmerji św. Łazarza. Posmutniałe twarze znaczą dostateczną żałobę, która napełnia serca: zaopatrzy się ostatniemi sakramentami świętemi Ojca Jenerała, który sam o nie poprosił.

Do tej ceremonji dopuszczeni są wszyscy księża domu, grupa studentów, seminarzystów i braci, oraz cztery siostry Miłosierdzia: Matka Generalna, jej siostra asystentka, przełożona szpitala St. Michel i S. Delauné. Księża i klerycy w komżach i ze świecą w ręce otwierają pochód. Za niemi X. Cazot, pierwszy asystent niesie Najśw. Sakrament. Wstępują powoli po schodach na pierwsze piętro, zbaczają w lewo i udają się na korytarz nowego budynku, gdzie się znajduje pokój, w którym jest czcigodny chory. Nie mogą wejść wszyscy. Brak miejsca. Ale z korytarza, na którym się wielu zatrzymało, wyraźnie słychać głosy.

Mimo wzruszenia jakie go ogarnia, X. Cazot, jest w tej chwili tłumaczem wdzięczności i boleści dwu rodzin:

„Najczcigodniejszy Ojcze Jenerale, zaczyna on, istnieje obraz przedstawiający św. Wincentego w otoczeniu swych synów i przyj-

mującego ostatnie sakramenta św. W tej chwili odtwarzamy ten obraz, a to co się stało wtedy, stanie się i dla siedemnastego następcy św. Wincentego, a dzięki tej infirmerji, która jest dziełem Twojem, to już nie tylko synowie Twoi, mają swoich przedstawicieli tutaj, lecz i córki Twoje, w osobie Najczcigodniejszej Matki i tych, które Cię pielęgnowały i to zapewne jest wielką pociechą dla Ciebie.

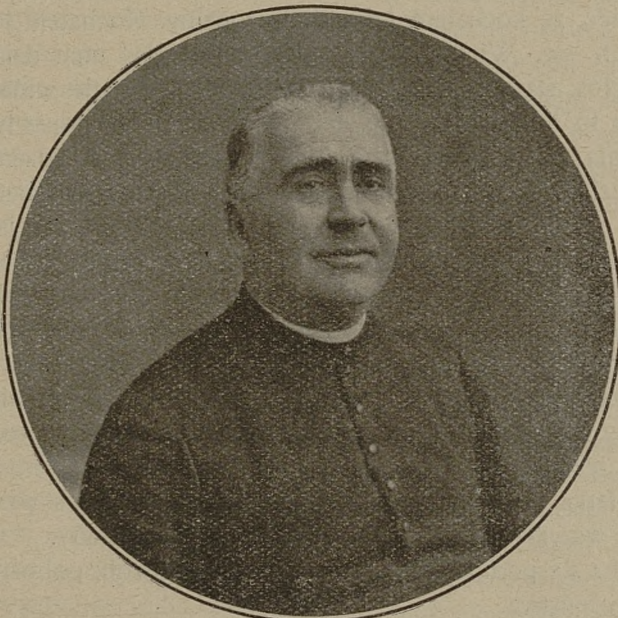
Mówią, że dnia pewnego nasz Zbawiciel pokazał się św. Tomaszowi z Akwinu i powiedział mu: Bene scripsisti de me Thoma, dobrze napisałeś o mnie Tomaszu. W tej chwili zdaje mi się, że widzę między nami św. Wincentego, którego tak bardzo miłowałeś i, że mówi do Ciebie: dobrze napisałeś o mnie, bo to za Twoją zachętą wydano dzieła św. Wincentego, ukoronowane tak pięknie jego żywotem, który dopieroco wyszedł.

Ale św. Wincenty może Ci, Czcigodny Ojcze, rzec przedewszystkiem: dobrze dla mnie pracowałeś.

Z końcem wojny ruiny były wszędzie, były przedewszystkiem we Francji, Nie mówiąc o administracji Zgromadzenia i o tem wszystkiem, co zrobiłeś dla wszystkich prowincji wogóle, pracowałeś wszędzie nad podniesieniem domów. W chwili wojny nie mieliśmy już prawie nic we Francji. W tej chwili mamy czterdzieści domów we Francji i Algerji i sądzę, że z tego cieszy się św. Wincenty. Potem przygotowałeś przyszłość. W domu św. Łazarza mamy liczną młodzież, która stanowi radość naszą, pociechę i nadzieję naszą, a która jest owocem długich lat pracy, troski i cierpień; a to jest nadzieja przyszłości i nadzieja misyj naszych. Jest tam również cały zastęp małych seminarjów, w których uczą się setki chłopców, którzy z czasem, w większości przynajmniej pzybędą do św. Łazarza. Jest jeszcze i szkoła przygotowawcza we Folleville dla braci, nie licząc już tego wszystkiego co zrobiłeś, Najczcigodniejszy Ojcze, dla prowincyj zagranicznych i czego nie mogę przypominać w tej chwili, nie licząc Twojej troskliwości, Twojego poświęcenia dla córek Twoich, czego jestem świadkiem codziennym od długich już lat. Tak jest, z całą słusznością św. Wincenty może dziś powiedzieć: dobrze dla mnie pracowałeś, a sądzę, że to jest największa Twoja pociecha w tej chwili.

Niech Bóg zachowa Cię długo jeszcze dla naszego przywią-

zania. Ale kiedy przyjdzie dla Ciebie dzień wejścia do nieba, jakież przyjęcie zgotuje Ci św. Wincenty! Wtedy w pełnej prawdzie powiedzieć możesz ze św Pawłem: Bonum certamen certavi, potykaniem dobrem potykałem się, fidem servavi, wiarę zachowałem, cursum consumavi, dobiegłem do mety, a już nie pozostaje mnie nic innego, jak tylko odebrać koronę sprawiedliwości, którą odda mi w tym dniu Sędzia najwyższy.



O. Generał Fr. Verdier.

Toteż najczcigodniejszy Ojcze, w tym dniu spoglądaj z całą ufnością ku niebu i bądź przekonany, że synowie Twoi i Córki zasyłają za Ciebie do Boga, do Marji Niepokalanej, do św. Wincentego najgorętsze swoje prośby. Oby ostatnie sakramenta, których zaraz udzielać Ci będę, uprosiły w niebie wyzdrowienie, którego spodziewamy się jeszcze! Ale łącząc się z Bogiem, którego wkrótce przyjmiesz, bądź tak samo gotów, Najczcigodniejszy Ojcze, wykonać najzupełniej wolę Bożą.

Kończąc, błagam Cię o błogosławieństwo dla wszystkich Twoich synów i wszystkich Twoich córek".

Najczcigodniejszy Ojciec słuchał uważnie. Zaraz też odpowiedział:

„Dziękuję Ci, księże asystencie za słowa, które wypowiedziałeś w tej chwili. Przypomniałeś bardzo trafnie scenę św. Wincentego umierającego. Jestem w rękach Bożych, pod Jego okiem, w tej godzinie; jak św. Wincenty otoczony swemi dziećmi i mogę powiedzieć, że kochałem Jego dwie rodziny. Kochałem je, ponieważ duch św. Wincentego w nich panuje i w nich działa. Opinja, rozgłos, sława ludzka, tego wszystkiego tu nie widać. I słusznie. Są to dobra nietrwałe, bez wartości, przynoszące tylko rozczarowania. Kochałem zawsze ducha naszego Zgromadzenia, cnoty jego, niechęć do rozgłosu i hałaśliwości. Kochać Go będę aż do końca, i w niebie, jeżeli dobry Bóg da mi łaskę i przyjmie mnie tam. Polecam wam wszystkim, byście najzupełniej trwali w duchu św. Wincentego. Przepraszam go za złe, którego się dopuściłem w jego służbie i z ufnością oddaję się w jego ręce miłosierne, ażeby mi darował moje niewierności. Przepraszam również tych wszystkich, których mogłem zasmucić, niewątpliwie mimowoli albo w chwilach nieprzewidzianych i nieoczekiwanych. Przepraszam was za to.

A teraz pozwólcie, niech wam pobłogosławię, a we waszych osobach wszystkim członkom obydwu Zgromadzeń".

Ręka się podniosła i usta wymawiały powoli, pobożnie słowa błogosławieństwa.

Głęboka cisza, cisza smutna i ciężka panowała w sali. Najczcigodniejszy ojciec poprosił o formułkę ślubów i odczytał ją głosem jasnym, silnym i przejmującym.

Nastąpiły ceremonje zwyczajne: wiatyk, oleje święte, odpust apostolski.

Chory odpowiadał przy wszystkich modlitwach, chwilami nawet jego głos potężny przytłumiał głosy innych. Przed wyjściem każdy z nas zbliżył się do niego, ażeby ucałować rękę i otrzymać jego błogosławieństwo.

Właśnie w tej chwili Matka Generalna dyskretnie znikła tak jak i jej towarzyszki. Najczcigodniejszy Ojciec przywołał ją i bło-

gosławiąc rzekł jej, że to błogosławieństwo nie było dla niej samej lecz rozciąga się do każdej prowincji i do każdej siostry.

Kiedy Ojciec Jenerał sam zażądał sakramentów św. nie czekając na godzinę niebezpieczeństwa bezpośredniego, dał tem piękny przykład przewidywania i roztropności. Niewątpliwie jest lepiej spełnić ten akt tak ważny w pełnej świadomości, ażeby z niego tem więcej odnieść korzyści i budować innych. Kiedy się w ten sposób robi przygotowania, to śmierć nie może przyjść jako złodziej. Przyjdzie z pewnością. Ale widzi się ją, nie obawia się jej, uśmiechnie się do niej nawet, ponieważ mimo pozorów przerażających oddaje ona duszom czystym największą przysługę uwalniając ich z wygnania i wprowadzając do krainy szczęścia wiecznego.

W tym samym dniu księża asystenci rozesłali do księży wizytatorów cyrkularz, który już nam jest znany z poprzedniego numeru „Roczników".

1 stycznia 1933 r. Wobec smutku w domu składanie życzeń w uroczystej formie jest wstrzymane. Nie wstrzymuje to życzliwości wewnętrznej i życzeń wyrażonych w modlitwach.

5 stycznia. Rano Ojciec Jenerał widząc, że choroba czyni prędkie postępy, zażądał sam, by odmówiono przy nim modlitwy za konających. O wpół do drugiej popołudniu dokonała się smutna i pobożna ceremonja w obecności członków Jego rady, asystenta i podasystenta domu, sekretarza osobistego i Matki Generalnej, która przybyła z trzema innemi siostrami. Chory ma jak zawsze ducha jasnego i pogodnego. Widząc swojego pierwszego asystenta w sutannie tylko, pyta się czy rituale nie wymaga w tym wypadku stuły i komży. Odpowiadają mu, że to niekonieczne. Wszyscy poklękali. Piękne modlitwy polecenia duszy rozpoczynają się: „Pax huic domui"... A teraz litanja. Przy wezwaniach odpowiadamy: „ora pro eo", chory zaś głosem jasnym i wyraźnym mówi: „ora pro nobis". Ze wzruszeniem dochodzimy do słów: „Wynijdź z tego świata duszo chrześcijańska". Po wezwaniu pomocy aniołów i świętych nieba liturgja oddaje go w szczególniejszy sposób pod opiekę Najśw. Panny: „Marja Dziewica łaskawa, Matka Boga, pocieszycielka wszystkich cierpiących, niech poleci Synowi swojemu duszę sługi swego, ażeby za Jej macierzyńskiem pośrednictwem nie lękał się śmierci ale wszedł pełen radości w Jej

towarzystwie w posiadanie ojczyzny niebieskiej". Przez te słowa kończymy modlitwy liturgiczne.

Nakoniec w imieniu wszystkich X. Cazot prosi Ojca Jenerała o ostatnie błogosławieństwo dla dwu wielkich rodzin. „Tak, chętnie, odpowiada chory, głosem jeszcze silnym ale już przeciągłym, polecam was P. Bogu, w tej godzinie tak ważnej i proszę św. Wincentego dla was o ducha miłości, prostoty, pokory i miłości dla ubogich. Popełniłem w życiu swojem wiele błędów, myślę, że niedobrowolnie. Bóg mi je daruje a wy z Nim. „Delicta iuventutis meae et ignorantias ne memineris Domine". Widząc was wokoło siebie myślę jeszcze o obrazie, który przedstawia św. Wincentego umierającego pośród swoich. Mam więcej niż On i Jego następcy, bo mam wokoło siebie konfratrów i siostry. To poraz pierwszy w historji Zgromadzenia. Prosiliście mnie o błogosławieństwo. Błagam św. Wincentego, aby wam sam je dał. To nie moja ręka się podniesie, ale Jego. To nie moje słowa posłyszycie ale Jego: „Benedictio Dei omnipotentis"...

A jak w dniu wyborów, tak i teraz wszyscy się zbliżyli, by ucałować Jego rękę na znak szacunku i poddania.

24 stycznia. Trwoga ogarnęła najbliższe otoczenie Ojca Jenerała w nocy z 23 na 24. Gwałtowny atak przyszedł i zdawało się, że skończy się fatalnie. Wśród boleści powtarza: „św. Wincenty, św. Wincenty". Po ataku jest bardzo osłabiony, bez słowa, bez sił. Lekarz sądzi, że chory nie przetrzyma więcej jak 24 godzin.

25 stycznia. Nowy atak o 10-tej godzinie rano. Wołają pośpiesznie pierwszego asystenta X. Cazot i kilku członków Zgromadzenia, by odmawiali modlitwy za konających. To jeszcze nie ostatnia godzina, ale to już początek konania. Chory ma pełną świadomość. Oddychanie coraz bardziej utrudnione, a kiedy zbliża się noc, mamy wrażenie, że już jej nie dokończy.

26 stycznia. Nieco po północy nasz czcigodny chory gaśnie powoli, łagodnie, bez wstrząśnień, gaśnie jak lampa, której zabrakło oliwy. Lekkie odetchnięcie i już koniec. Poszedł do nieba przyłączyć się do św. Wincentego, który chciał zostawić go na ziemi, by dokończył tu dnia 25-tego stycznia tak drogiego Zgromadzeniu. Ciało jego przeniesiono do wielkiej sali nowego budynku, który sam kazał wybudować. Tam, to już od rana przy-

bywają bez przerwy księża, klerycy, bracia domu i siostry z domu głównego i z całego Paryża.

O godz. 8-mej jest zebranie w sali Zgromadzenia, bo ma być otwarta puszka, która zawiera kartkę, na której Ojciec Jenerał wypisał nazwisko wikarjusza generalnego. Otwierają, rozwijają, wszyscy przekonują się, że charakter pisma jest Ojca Jenerała i wreszcie sekretarz generalny odczytuje głośno treść. X. Cazot, pierwszy asystent opuszcza głowę. Na niego spada zadanie rządzenia Zgromadzeniem, aż do przyszłego Konwentu generalnego, który zbierze się w Paryżu 26 lipca. Po śmierci X. Boré trzeba było połamać puszkę zewnętrzną, ponieważ klucz zgubiono. Po śmierci Ojca Villette na kartce wypisana była data o trzy lata wcześniejsza od jego wyboru. Tym razem nie było żadnego wypadku. Wszystko odbyło się normalnie, ku zadowoleniu wszystkich.

28 stycznia. Członkowie dwu rad obydwu domów macierzystych zeszli się o godz. wpół do siódmej wieczorem przy łożu śmiertelnem, na którem spoczywa ciało Najczcigodniejszego Ojca. Mają włożyć je do trumny. Ta ceremonja smutna napełnia żałobą serca. Odmówiono „De profundis", pokropiono ciało wodą święconą i oto wkładają jego szczątki śmiertelne do trumny. Nasze oczy nie opuszczają rysów ojcowskich drogiego zmarłego. Jeszcze jedna chwila, a przestaną patrzeć nań na zawsze. Już nakładają wieko. Przyśrubowali je. Włożyli całun czarny na trumnę.

29 stycznia. O godz. 4-tej popołudniu wniesiono trumnę do sali relikwij. Całe Zgromadzenie jest obecne, a w kaplicy setki sióstr czekają na przybycie orszaku. Nie było nieszporów, jakkolwiek to niedziela. Zamiast nieszporów będzie śpiewany pierwszy nokturn i laudes z officium defunctorum.

30 stycznia. Nabożeństwo żałobne o godz. 10-tej. Nuncjusz apostolski śpiewał mszę św. i odprawił kondukt w obecności JEm. kardynała arcybiskupa paryskiego, ks. arcyb. Baudrillart, rektora instytutu katolickiego, arcyb. Tours, biskupów Wersalu, Amiens, Beauvais, Arras, Meaux, biskupa sufragana paryskiego Chaptal, biskupa Barthès, sufragana Albi, przedstawiciele biskupów Lille, Cambrai, Reims, Nice, Marseille, Soissons, Montpellier, X. biskupa le Hunsec, przełożonego Zgromadzenia Ducha św. bp. Józefa Byrne, wikarjusza apostolskiego Kilimandjaro, przedsta-

wiciela bpa de Guébriant, superjora generalnego Misyj Zagranicznych, Mgr. Lavame, audytora nuncjatury, Mgr. Boucher, dyrektora dzieła Rozkrzewienia Wiary, Mgr. de la Serre, wicerektora Instytutu katolickiego, Dom Gabarra, opata klasztoru benedyktyńskiego z Sainte-Marie, kierowników misyj syryjskiej i misyj czechosłowackiej, rektora kościoła maronickiego, X. Boussard, wikarjusza generalnego paryskiego, X. Boisard, zastępcy superjora Zgromadzenia Sulpicjanów, przedstawicieli różnych Zakonów i Zgromadzeń stolicy.

Było również wielu przedstawicieli władz i urzędów.

Orszak pogrzebowy, który towarzyszył trumnie z ulicy de Sevres na cmentarz de Montparnasse był ogromnie długi: misjonarze, szarytki, sieroty, księża i laicy różnych kategoryj szli we wzorowym porządku, w smutku i milczeniu. A kiedy na cmentarzu przed otwartym grobem wypowiedziane było ostatnie życzenie, które kończy ostatnie modlitwy: Requiescat in pace, każdy się przyłączył sercem i głosem. Niema nic bardziej pożądania godnego, jak odpoczynek w pokoju, w tym pokoju promiennym, który daje posiadanie wiecznej nagrody.

3 lutego. W kaplicy Sióstr Miłosierdzia na rue du Bac odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. O. Jenerała Verdier. X. wikarjusz generalny odprawia nabożeństwo w obecności obydwóch Zgromadzeń. W naszej kaplicy z powodu szczupłości miejsca, tylko siostry służebne mogły brać udział w nabożeństwie. Dzisiaj wszystkie inne Siostry, przynajmniej te, które dostały się do kaplicy, mogą zadość uczynić swojej dziecięcej pobożności

X. Emil Cazot, Wikarjusz Generalny.

W styczniu otrzymaliśmy smutne zawiadomienie o śmierci naszego Najczcig. Ojca Generała Fr. Verdier. Równocześnie wtedy dowiedzieliśmy się, że nieodżałowanej pamięci O. Verdier, Superjor Generalny, wyznaczył X. Emila Cazota, swego pierwszego Asystenta na Wikarjusza Generalnego, złożywszy na Niego obowiązek zarządzania obydwomą rodzinami św. Wincentego a Paulo, aż do wyboru nowego Superjora Generalnego.

Jest rzeczą naturalną, że ci, którzy się interesują „Rocznikami“, pragną dowiedzieć się kim jest X. Em. Cazot i pozna także jego dotychczasową działalność.

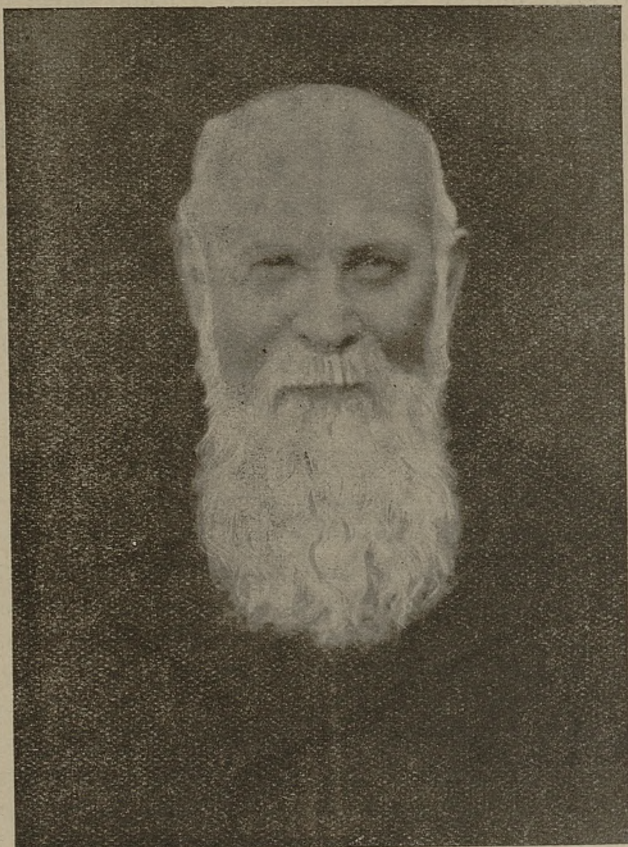
X. Em. Cazot, urodził się 14-go sierpnia 1863 r. w Cesse, małej wiosce, departamentu Meuse, o cztery kil. od de Stanay, w okolicy Montmédy. W r. 1882 wstąpił do wielkiego seminarjum duchownego w Verdun, gdzie ukończył swe studja teologiczne. Tam jego zdolności, pobożność i miłe usposobienie zjednały mu szacunek i miłość tak współuczniów jak i profesorów. Gdy miał przejść na teologję i przyjąć święcenia, usłyszał głos wewnętrzny powołujący Go do poświęcenia się życiu doskonalszemu w ramach reguł zakonnych, a zarazem pracy apostolsko-misjonarskiej nawet w krajach pogańskich.

Od dzieciństwa odznaczał się wprost zadziwiającą pobożnością i szczególniejszym nabożeństwem do Najśw. Marji Panny. Jako chłopak i młodzieniec pielgrzymował do klasztoru i kościoła na „Wzgórzu“ św. Walvroy. Na tem to „Wzgórzu“ według nazwy powszechnie używanej w całej okolicy, żył i działał mąż iście Boży, X. Ant. Flagel, sup. Zgromadzenia XX. Misjonarzy św. Wincentego, który jak najserdeczniej tamże przyjmował pielgrzymów i był ich najlepszym przyjacielem, pocieszycielem i kie-

rownikiem dusz. Kapłan iście wielkiego ducha i doświadczenia i znawca dusz był pożądanym doradcą w wątpliwościach i ważnych sprawach przez wybitniejsze jednostki. Nic więc dziwnego, że wdzięczna pamięć o tym kapłanie pozostała tamże do dziś dnia. U tego właśnie świątobliwego kapłana przełożonego, młody lewita z Cesse postanowił zasięgnąć radę w tak ważnej sprawie, jaka jest powołanie kapłańskie i zakonne. Przyłączył się do pielgrzymów z Cesse do św. Walfroy i Matki Bożej. Pielgrzymowano pieszo. Jaka niewymowna i pobożna radość, jaki entuzjazm opanował pielgrzymów, gdy ich wreszcie oczom ukazała się na „Wzgórzu“ statua Najśw. Panny Marji, w takiej postawie jak na Cudownym Medaliku, wystawiona na szczycie kaplicy, ofiarowanej przez X. sup. Flagel, Matce Najśw. od Nieustającej Pomocy. Dał on tę statuę, mocno pozłocił, aby w blasku słońca widoczną była zdaleka i promieniowała blaskami swych łask na całą okolicę. Jakby magnesem przyciągniony spinał się szybko po pochyłości góry na „Wzgórze“ Matki Najśw. i św. Walfroy, ten pobożny młodzieniec, który w wyrokach Bożych był przeznaczony na dyrektora SS. Miłosierdzia i Wikarjusza Generalnego, aby jako taki asystować kiedyś przy beatyfikacji jednej z SS. Miłosierdzia, wybranej córki Matki Najśw. od Cudownego Medalika. Szedł więc do celu pod skrzydłami opiekuńczemi Najśw. Marji Panny. Pod Jej to właśnie natchnieniem na tym św. „Wzgórzu“, niezapomniany staruszek, X. sup. Flagel, któremu się zwierzył z swojemi wątpliwościami, wskazał mu drogę i cel życia.

Nie odwlekając już swej decyzji, wydarł się wprost przemocą z objęć rodziny, przyjaciół i ogniska domowego i wstąpił do Zgromadzenia XX. Misjonarzy 21 października 1894 właśnie w dniu, w którym diecezja Reims, Verdun, Namur obchodziły uroczystość św. Walfroy. W seminarjum internum i na teologji odznaczał się zawsze wesołem, ale zrównoważonym usposobieniem, zdrowym sądem o rzeczach, niezwykłą zdolnością do nauk, siłą przekonań i szczerą pobożnością. Ideał misyjny nęcił X. Em. Cazota najmocniej. Marzenia młodzieńcze krystalizowały się w niezłomne postanowienia. Dnia 22-go października 1886 złożył śluby i wkrótce, bo już na początku 1887 r. wysłany został do Konstantynopola Tam 21 grudnia 1889 r. otrzymał święcenia kapłań-

skie z rąk ks. bp. Bonetti, Misjonarza i delegata apostolskiego. W r. 1895 został mianowany dyrektorem kolegjum św. Benedykta, gdzie był zarazem i profesorem. Dwa lata potem został superjorem w Zeitenlich. Tam przepędził najdłuższe i najcięższe



X. Emil Cazot, wikarjusz generalny.

lata swej działalności. Rychło zasłynął jako gorliwy orędownik i niezmordowany apostoł idei misyjnej „Wschodu".

Brak miejsca nie pozwala nam na wyliczenie wielu dzieł i prac dokonanych szczególnie w seminarjum krajowem, w którem jako superjor i profesor niezmordowanie pracował nad do-

starczeniem, wychowaniem i wykształceniem światłego i cnotliwego duchowieństwa krajowego. Zresztą nie piszemy tu wyczerpującej biografji życia i dzieł jego. Krótka jednak wzmianka o tem, że X. Emil Cazot, obecny Wikarjusz Generalny poświęcił aż 27 lat swego życia misjom Wschodu, sama aż nadto mówi i o jego nadzwyczajnej działalności tamże dla dobra Kościoła, Zgromadzenia i krajowców. Jego praktyczny a wszechstronny rozum, szeroki światopogląd, roztropność, gorliwość, a nadewszystko jego tkliwe i pełne miłości serce, wskazywały Go jako najodpowiedniejszego dla wszystkich godności i urzędy odpowiedzialne w Zgromadzeniu. W r. 1914 X. W. Villette nowo obrany Superjor Generalny, wybrał Go na prokuratora Generalnego przy swoim boku w Paryżu. Następca zaś jego w r. 1918 powołał go do sprawowania funkcji asystenta generalnego i pierwszego radcy całego Zgromadzenia. Należy jeszcze dodać, że X. Cazot jest od roku 1924 Dyrektorem SS. Miłosierdzia.

X. JÓZEF GAWORZEWSKI.

Sprawa beatyfikacji Wielebnej S. Katarzyny Labouré.

W ostatnim zeszycie „Roczników obydwóch Zgromadzeń“[1]) wyraziliśmy nadzieję, że sesja generalna dotycząca cudów, zdziałanych za wstawiennictwem Wielebnej S. Katarzyny, odbędzie się dnia 7 lutego b. r. Istotnie sesja ta odbyła się w tym dniu w obecności Ojca św. Wynik jej był dla sprawy korzystny, dlatego też należało się spodziewać ogłoszenia dekretu dotyczącego ważności i charakteru nadprzyrodzonego dwóch cudów przedstawionych do sprawy beatyfikacyjnej.

Odczytanie tego dekretu naznaczone zostało przez J. Sw. Papieża na dzień 13 lutego, tj. dzień następujący po rocznicy Koronacji Piusa XI. przypadającej, jak wiadomo, w dniu 12 lutego. Czytanie dekretu odbyło się w sali konsystorjalnej pałacu Watykańskiego przy zastosowaniu całego ceremonjału w takich razach stosowanego. W uroczystości tej wzięło udział wielu dostojników kościelnych i świeckich. Byli między innymi, obecni: Ich Eminencje Kard. Kamil Laurenti, Prefekt Kongregacji Św. Obrzędów, Kard. Jan Chrzciciel Nasalli-Rocca, arcybiskup boloński, Kard. Aleksander Verde, który przedstawia w Kongregacji Św. Obrzędów sprawę beatyfikacji S. Katarzyny Labouré (ponens), J. E. Mgr. Alfons Carinci, Sekretarz Kongregacji Obrzędów, Mgr. Salwator Natucci, generalny promotor Św. Wiary, Mgr. Ludwik Fraglia, asesor i pod-promotor gen. Sw. Wiary. Nadto w tej uroczystości wzięli udział: J. E. X. Abp. Franciszek Borgongini-Duca, nuncjusz apostolski przy rządzie włoskim, J. E. X. Abp. Emil Lisson, należący do Zgromadzenia XX. Misjonarzy, b. Abp. Limy w Peru.

---

[1]) r. 1933, str. 21.

Wielu było jeszcze innych prałatów, jak: Mgr. Borgia, Vigano, Rusticoni, Hertzog, Vanneufville, Frederici itd.

Zgromadzenia obydwa Św. Wincentego były bardzo licznie reprezentowane. Obecnym był X. Emil Cazot, wikarjusz generalny oraz X. Karol Souvay, asystent generalny, którzy specjalnie przybyli na tę uroczystość z Paryża. Z urzędu jako postulator sprawy beatyfikacyjnej był X. Józef Scognamillo, prokurator Zgromadzenia XX. Misjonarzy przy Stolicy św. a nadto wielu konfratrów z domów rzymskich i prowincji.

Siostry Miłosierdzia zjawiły się w poważnej liczbie na czele z matką generalną Lebrun, której towarzyszyły Siostry z Sekretarjatu i Dyrekcji Seminarjum. Nadto były wszystkie trzy wizytatorki włoskie z Turynu, Sieny i Neapolu wraz z licznemi siostrami swych prowincyj.

Liczne też było przedstawicielstwo innego Zgromadzenia noszącego również nazwę Sióstr Miłosierdzia, bo równocześnie z czytaniem dekretu o cudach W. S. Katarzyny był czytany dekret „de tuto" dotyczący W. S. Gerosy, która była członkiem i współzałożycielką wyżej wspomnianego Zgromadzenia.

Kiedy Ojciec św. zasiadł na tronie, na znak dany przez Prefekta ceremonji zbliżył się do Niego J. E. X. Abp. Carinci, Sekretarz Kongregacji Św. Obrzędów i otrzymawszy od Ojca św. pozwolenie, odczytał dekrety odnośne.

Po ich odczytaniu zbliżył się do tronu papieskiego Najprzew. X, Wikarjusz gen. Zgromadzenia Emil Cazot w otoczeniu X. Scognamillo i innych i wygłosił przemówienie, wyrażając imieniem Zgromadzenia najgłębszą cześć i podziękowanie Ojcu św. za ogłoszenie odnośnych dekretów.

W odpowiedzi na tę przemowę, Papież wygłosił dłuższe, pełne głębokiej treści przemówienie. Zaobserwować się da — mówił Ojciec św. — na niebie nadprzyrodzonem to, co astronomowie spostrzegają na niebie naturalnem: gwiazdy podwójne. Takiemi są te wzniosłe dusze, których dotyczyły odczytane dekrety. Każda o innym, odrębnym charakterze: S. Gerosa pełna czynu, dzieł; dusza gorąca, działała na szerokiej widowni swego życia. S. Katarzyna natomiast przedstawia życie ciche, milczące, pełne pokory, ukrycia, tak zgodne z jej usposobieniem naturalnem. Tak ukryta

w sobie, że patrząc powierzchownie, nie zobaczy się niczego nadzwyczajnego. Pod tą powłoką jednak cichą i ukrytą tętniło życie pełne czynu. Wystarczy stwierdzić, że lat czterdzieści opiekowała się starcami, ich cierpieniami i duchowemi brakami, właściwemi ich wiekowi. Opiekowała się nimi z całą miłością i poświęceniem, zaspokajając ich potrzeby nietylko ciała ale i duszy. I tak całe życie! A któż nie wie, jak jednostajność życiowa nuży i wyczerpuje! Jakiejże więc siły i zapału potrzeba, aby w takich obowiązkach wytrwać całe życie?! Następnie Jego Świątobliwość wskazał, że przedstawione wzniosłe przykłady nadają się i do rozmyślania i do naśladowania. Obie postacie są wyrazem wiernego odbicia życia św. Wincentego a Paulo, apostoła heroicznej miłości bliźniego i dlatego cieszy się papież, że na początek roku jubileuszowego może Światu Katolickiemu przedstawić tak wspaniałe wzory cnót. Podkreślił też Ojciec św. jubileusz 75 lat objawień Najśw. Panny w Lourdes i związek tych objawień z objawieniem cudownego medalika podanem przez Matkę Najśw. S. Katarzynie Labouré.

Udzieliwszy wkońcu błogosławieństwa apostolskiego, opuścił Papież wraz z całem swem otoczeniem salę konsystorjalną.

Po opisaniu krótkiem czytania dekretu, przytaczamy teraz tekst dekretu o cudach Wielebnej S. Katarzyny Labouré.

* * *

Imię Siostry Katarzyny, które za życia jej było przysłonięte pokorą, stało się potem znanem i drogiem Kościołowi św. przez nabożeństwo powszechne i tak korzystne Cudownego Medalika, do rozpowszechnienia którego była wybraną jako narzędzie powolne przez samą Dziewicę Niepokalaną.

Prawdziwa córka św. Wincentego a Paulo, wstąpiwszy do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia przez niego założonego, oddała się całkowicie wypełnianiu czynnej miłości względem bliźniego przez całe życie w Zgromadzeniu, a to w schronisku ubogich starców w Paryżu, gdzie dnia 31 grudnia 1876 r. zasnęła w Panu.

Dekretem z dnia 19 lipca 1931 r. wydanym przez tę Kongregację zostało ogłoszone, że Jej szlachetne życie, strawione na na służbie ubogich, zakwitło wielu heroicznemi cnotami.

Lecz Bóg sławił nadto tę pokorną dziewicę darem cudów.

Z pośród wielu uzdrowień przypisywanych Jej pośrednictwu, wybrano dwa, które mają znamiona prawdziwych cudów.

Pierwsze uzdrowienie dokonało się w Turynie: Marjusz Zeme, żołnierz mający około 24 lat, został dnia 3 grudnia 1928 r. w lektyce przyniesiony do szpitala wojskowego, gdzie otrzymał ostatnie namaszczenie Olejem św. i bezpośrednio zaraz był poddany bardzo ciężkiej operacji. Po otwarciu wnętrzności, skonstatowali lekarze operujący i asystenci ostre, ropne zapalenie otrzewnej. Osądzili więc, że chory znajduje się w niebezpieczeństwie życia i że niema nadziei odzyskania przez niego zdrowia. Dnia następnego t. j. 4 grudnia otrzymał wiatyk a dnia 5 grudnia stan się jeszcze pogorszył tak, że była obawa rychłego zgonu.

Tymczasem matka chorego błagała gorąco Najśw. Marję Pannę o zdrowie swego syna. To samo czyniły Siostry Miłosierdzia, które pracują w tym szpitalu. Siostry w modlitwie dodawały, że otrzymana łaska będzie znakiem dowodowym świętości ukochanej i wiernej sługi Najśw. Panny — Siostry Katarzyny. Z brzaskiem dnia 6 grudnia prośby zostały wysłuchane i Marjusz wyzdrowiał.

Kilka godzin potem, lekarze, którzy przyszli do szpitala, nie mogli powstrzymać zdziwienia i zdumienia na widok tego, co się stało. Ponad wszelkie swe spodziewanie stwierdzili, że niema już żadnych objawów zapalenia otrzewnej. Nie zawahali się też uznać tego za cud, co stwierdzili przysięgą.

Dwaj biegli lekarze składają dalej zeznania pod przysięgą, że zupełne uleczenie trwa nadal. Trzej zaś lekarze, wybrani przez Św. Kongregację potwierdzają, tak diagnozę choroby jakoteż i sam cud.

Drugie uzdrowienie cudowne zdarzyło się w Tuluzie. Jan Ribet, dziecko lat 6, dotknięty był chorobą Potta [1]), kręgosłupa, w lipcu 1929 r., jakto można stwierdzić na zdjęciu rentgenowskiem i jak stwierdzają trzej lekarze leczący chorego. Choroba okazała się odporną na wszystkie środki i zabiegi, tak, iż stan chorego stale się pogarszał.

---

[1]) Choroba Potta jest gruźlicą kręgosłupa. Jest chorobą dziecięcą bardzo niebezpieczną. Por. Podręcznik pielęgnowania chorych Dr. Chicandard, str. 356.

Kiedy wszystkie pomoce ludzkie okazały się daremnemi, dziecko, jego rodzice, brat, babka oraz Siostry Miłosierdzia z pobliskiego domu zaczęli w dniu 19 listopada nowennę do Niepokalanej Marji Panny od Cudownego Medalika celem uzyskania uzdrowienia przez wstawiennictwo Wielebnej S. Katarzyny Labouré, której relikwje umieszczono na piersiach chorego dziecka.

Dnia 26 tegoż miesiąca, o godzinie dziesiątej rano, dziecko przywołuje matkę, a kiedy ta przybiegła, zastaje dziecko zupełnie zdrowe. Lekarze potwierdzili w zupełności to uzdrowienie; zresztą prześwietlenia radjograficzne wskazały zupełnie dowodnie, że uzdrowienie jest zupełne i dokonane poza prawami natury. Biegli lekarze stwierdzają, że uzdrowienie jest stałe, a trzej rzeczoznawcy wyznaczeni przez Św. Kongregację potwierdzają diagnozę lekarzy, którzy chorego leczyli i przypisują uzdrowienie dziecka cudowi.

W zachowaniu wszystkiego, co przepisuje prawo kanoniczne, odbyła się dnia 10 maja przeszłego roku sesja przedprzygotowawcza w obecności J. E. X. Kard. Aleksandra Verde, który sprawę beatyfikacji przedstawiał (cardinalis ponens); następnie 12 grudnia odbyła się sesja przygotowawcza a wreszcie 7, tego miesiąca odbyła się w obecności J. Św. Papieża Piusa XI. sesja generalna, podczas której J. E. Kardynał ponens, przedstawił wątpliwość: Czy i jakie cuda stwierdzone zostały w danym wypadku i celu, dla którego służą?

Ich Eminencje Kardynałowie, prałaci-urzędnicy i konsultorowie wypowiedzieli swoje przekonanie według własnego sumienia. Następnie Ojciec św. zachęcił obecnych do dalszej modlitwy, zawieszając swój własny sąd. Wybrał następnie dzień 13 lutego, wtorek po niedzieli Starozapustnej, który to dzień zaczynał 12 rok Jego Pontyfikatu, aby wypowiedzieć swoje własne zdanie.

Rozporządził następnie, ażeby zawezwać Ich Eminencje X. Kardynała Kamila Laurenti, Prefekta Św. Kongregacji Obrzędów, Kard. Aleksandra Verde, relatora sprawy beatyfikacyjnej, O. Salvatora Natucci, generalnego promotora św. Wiary oraz mnie niżej podpisanego Sekretarza i odprawiwszy z największą pobożnością mszę św. wygłosił sentencję, że zostało udowodnione, iż za pośrednictwem Wielebnej Siostry Katarzyny zostały otrzymane od Boga dwa cuda, t. j. natychmiastowe i zupełne uzdrowienie 1° Marjusza

Zeme z ostrego, ropnego zapalenia otrzewnej i 2⁰ Jana Ribet z choroby bardzo ciężkiej kręgosłupa, t. zw. choroby Potta.

Polecił następnie Papież ogłosić niniejszy dekret i wpisać go do akt Św. Kongregacji Obrzędów.

Kamil Laurenti, Prefekt Św. Kongr. Obrzędów.
Alfons Carinci, Sekretarz Sw. Kongr. Obrzędów.

* * *

Po opublikowaniu dekretów dotyczących heroiczności cnót W. Siostry Katarzyny oraz ważności cudów w związku z procesem beatyfikacyjnym, najistotniejsze części tego procesu zostały dokonane. Według jednak postanowień prawa kanonicznego musi się odbyć jeszcze jedno posiedzenie wobec Ojca św., podczas którego rozstrzyga się wątpliwość: „czy można bezpiecznie przystąpić do beatyfikacji Sługi Bożej“? (can. 2124). Dekret, który poleca Papież w tym celu wygotować, nazywa się dekretem „de tuto“. Ubezpiecza on wszelką pewność, a wyklucza wszelką pomyłkę lub niedopatrzenie. Widzimy z tego, z jaką oględnością i przezornością postępuje Kościół św. w sprawach beatyfikacji i kanonizacji Świętych. Czytanie dekretu „de tuto“ dotyczącego Wielebnej S. Katarzyny odbyło się w obecności Ojca św. Piusa XI. w sali Konsystorskiej pałacu Watykańskiego w dniu 12 marca b. r.

Ceremonjał odczytania tego dekretu odbył się w sposób podobny jak czytanie dekretu o cudach. Mniej więcej ci sami dostojnicy kościelni brali w tej uroczystości udział. Ponieważ równocześnie czytany był dekret „de tuto“ w sprawie beatyfikacji Wielebnego O. Józefa Marji Pignatelli, należącego do Tow. Jezusowego, zjawiło się na uroczystości wielu OO. Jezuitów na czele z O. Ledóchowskim, generałem OO. Jezuitów.

Po przeczytaniu dekretów przez Sekretarza Św. Kongregacji Obrzędów, zabrał głos O. Generał Włodzimierz Ledóchowski, który tak imieniem Tow. Jezusowego jakoteż imieniem Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia złożył J. Św. Papieżowi hołd należny i podziękowanie za ogłoszenie dekretów „de tuto“.

W odpowiedzi na słowa O. Generała wygłosił Ojciec św. dłuższe przemówienie, w którem wyłuszczył rozumienie słowa „de

tuto", wskazując jak Kościół św. pragnie bezpiecznie, z wyłączeniem wszelkiej niepewności, podać wiernym prawdy dotyczące kierunku ich myśli oraz zasady dotyczące praktycznej moralności. Kościół św. pragnie ten cel osiągnąć wskazaniem wzorów praktycznych do naśladowania, kiedy ogłasza beatyfikacje sług Bożych.

Po udzieleniu błogosławieństwa apostolskiego obecnym i tym, którzy duchem z nimi byli złączeni, Papież po krótkiej rozmowie z J. Em. X. Kard. Granito Pignatelli di Belmonte, który jest dalszym krewnym W. O. Pignatelli, opuścił wraz z otoczeniem swem salę Konsystorjalną.

* * *

Oto tekst dekretu „de tuto" dotyczącego beatyfikacji W. Sługi Bożej, Siostry Katarzyny Labouré:

Hojny w miłosierdziu Bóg, pomocnik w potrzebach (Ps. 9, 9), pośród innych rodzajów pomocy Bożej, okazanej kościołowi walczącemu na ziemi, zwykł wzbudzać w ciągu wieków ludzi, oznaczających się świętością, którzy mieli w dziwny sposób zaradzić pojawiającym się potrzebom przez moc otrzymaną z wysokości. I tak przeciwko powstającym i wzrastającym herezjom wzbudzał w ciągu wieków doktorów, którzy je zwalczali mieczem swej nauki: przeciwko okrutnym i nieludzkim obyczajom, czy to barbarzyńców czy ludów nawróconych budził mnichów, aby ich chrześcijańska łagodność na nich wpłynęła: przeciwko zamiłowaniu w dobrach tego świata zakony żebrzące, aby praktykując ścisłe ubóstwo uczyli przenosić słowem i przykładem bogactwa niebieskie nad ziemskie; przeciwko nowatorom 16 wieku, usiłującym obalić zasady nauki chrześcijańskiej postawił zgromadzenia zakonne, aby przez wychowanie i wykształcenie młodzieży odnowić wiarę i obyczaje w społeczności chrześcijańskiej. W 17 wieku, kiedy to grasowały błędne nauki i wojny, dał Francji, owszem całemu światu nieoceniony skarb w osobie św. Wincentego, wspaniałomyślnego szafarza boskiej hojności i niezwyciężonego obrońcę wiary rzymskiej. Ten odzwierciedliwszy na sobie obraz Syna Bożego, tak daleko posunął swą wielkoduszną miłość, iż zdawało się, że wszystkie żądze, jakiekolwiek wieńczyły ludzkość współczesną, obejmował i nowym cudem śpieszył im z pomocą. I tak tysiące tysięcy ludzi

dręczonych ubóstwem i nędzą, doznali na sobie skutków jego przedziwnej miłości. Pamiętając o przyszłości przedłużył to miłosierdzie w synach swoich, w Księżach Misjonarzach i córkach swoich nazwanych Siostrami Miłosierdzia, nie wspominając już o innych instytucjach, biorących od nich swój początek. Siostry Miłosierdzia, które w liczbie czterdziestu tysięcy, jakoby białe gołębie wypuszczone z mistycznej arki, stają się zwiastunkami pokoju i apostołkami wszechstronnej miłości.

Do znakomitych córek tego Zgromadzenia słusznie zaliczamy Wielebną Siostrę Katarzynę Labouré. Urodzona w r. 1806 w miejscowości Fain-les-Moutiers i wychowana na łonie rodziny w czci dla Boga i Matki Najśw. zasłużyła na to, aby być przyjętą do tegoż Zgromadzenia; jako zwiastunka zaś pokoju i apostołka miłości stała się naczyniem wybranem Najśw. Dziewicy. Albowiem podczas jej pobytu w nowicjacie Domu Paryskiego, gdzie przygotowała się do życia zakonnego, zaszczyciła ją N. Marja Panna w r. 1830 najpierw w lipcu, a przedewszystkiem 27 listopada tegoż roku i poleciła jej wybicie Cudownego Medalika. Zlecenie to wykonała przez swego kierownika duchownego, zachowawszy atoli jako pokorna dziewica ścisłe milczenie co do otrzymanego polecenia jak i otrzymanych objawień przez zgórą 46 lat. Medalik przedstawiający wizerunek Marji Niepokalanej wraz z pobożnem wezwaniem przygotował wybornie umysły ludów chrześcijańskich do dogmatycznego określenia Niepokalanego Poczęcia, a także udzielił niezliczonych łask i zdziałał wiele cudów.

Chociaż ta pobożna dziewica wiedziała, że Bóg zdziała za pośrednictwem medalu takie dziwy, to jednak nie mając wysokiego o sobie wyobrażenia wolała uchodzić za nieznaną i za nic poczytaną (Naśl. Chr.), i wszystkie najniższe posługi zlecone jej przez posłuszeństwo w prostocie i gorącej miłości, stosownie do reguł, pozostawionych jej przez św. Ojca, spełniała sumiennie przez całe życie, nieznana ludziom. Wszystka chwała jej, córki Króla... wewnątrz (Ps. 44, 14). Całą bowiem wewnętrzną świętość Katarzyny za jej życia okrywała najgłębsza pokora, jak gdyby zasłoną. Atoli zaledwie przeniosła się do nieba w dniu 31 grudnia roku pańskiego 1876, jej cnoty daleko i szeroko były znane. Przetoż Pius X. w r. 1907 zarządził wszczęcie procesu beatyfikacyjnego

tejże Sługi Bożej. W uroczystość św. Wincentego a Paulo r. 1931 powagą Pana Naszego Piusa XI. cnoty Katarzyny ogłoszono jako heroiczne, i dekretem tejże Kongregacji z dnia 13 lutego u. r. ogłoszono i powagą papieską stwierdzono, że dwa uzdrowienia są prawdziwemi cudami.

Otwarła się zatem droga do beatyfikacji. Atoli, zgodnie z przepisami prawnemi, należało ostatnią wątpliwość rozwiązać: czy po stwierdzeniu heroiczności cnót i faktu dwu cudów można bezpiecznie przystąpić do uroczystej beatyfikacji rzeczonej Wielebnej. Jego Eminencja Kard. Aleksander Verde, Ponens i Relator tejże sprawy, przedłożył pytanie to na generalnem posiedzeniu Kongregacji Św. Obrzędów w obecności Papieża w dniu 25 lutego, na którą wszyscy kardynałowie, prałaci, officjałowie i konsultorzy dali potwierdzającą odpowiedź. Ojciec św. odłożył swoją decyzję na ten dzień, t. j. 12 marca, drugą niedzielę Wielkiego Postu, kiedy to Ewangelja św. przedstawia nam Przemienienie Pańskie, ten symbol i zapowiedź przyszłej chwały wybranych.

Polecił więc zebrać się Kardynałom Kamilowi Laurentiemu, Prefektowi S. R. C. i Aleksandrowi Verde, Ponensowi i Relatorowi procesu, oraz Salwatorowi Natucci'emu, generalnemu Promotorowi Wiary św. i mnie niżej podpisanemu sekretarzowi, a po odprawieniu św. Ofiary orzekł, że można bezpiecznie przystąpić do uroczystej beatyfikacji Wielebnej Katarzyny Labouré.

Ten zaś dekret kazał ogłosić, umieścić w aktach Kongregacj Św. Obrzędów oraz wydać list apostolski pod pieczęcią Rybaka o odprawieniu kiedyś uroczystości z okazji beatyfikacji.

Dan w Rzymie w dniu 12 marca roku Pańskiego 1933.

Kard. Kamil Laurenti, Prefekt S. R. C.
Alfons Carinci, Sekretarz S. R. C.

*
* *

Po ogłoszeniu dekretu „de tuto", zamyka się szereg aktów przygotowawczych do uroczystej beatyfikacji Wielebnej S. Katarzyny Labouré. Sam akt beatyfikacji, według wiadomości otrzymanych z Rzymu, ma się odbyć w dniu 28 maja b. r.

Stulecie Konferencji Ozanama.

W ostatnim cyrkularzu swoim O. Verdier przypomina nam stulecie Konferencji św. Wincentego i ich założyciela Ozanama.

„Jak św. Wincenty tak i on rozumiał, że najlepszym środkiem, by sięgnąć do dusz, jest miłosierdzie co do ciała. I znowu jak św. Wincenty, tak chciał i on, aby członek Konferencji odwiedzając ubogich, sam najpierw korzystał z dobra duchowego swojej miłości. Pod opieką więc miłości dla ubogich oddał wiarę, życie religijne, uświęcenie duszy tych, którzyby przyłączyli się do Stowarzyszenia jego Konferencyj".

Przypatrzmy się, jak to było 100 lat temu.

Po rewolucji 1830 roku wiele rodzin chrześcijańskich nie odważyło się dzieci swoich posłać z prowincji do stolicy. Z 50-ciu uczniów, jakich w lipcu miało Collège Stanislas, tylko 10-ciu stawiło się w październiku na kurs filozofji. Na wydziale prawniczym p. de Goy nie znał pomiędzy kolegami nikogo, któryby podzielał jego wierzenia. Przez sześć miesięcy nie zawierał żadnych przyjaźni z tej prostej racji, by nie narazić wiary swojej na niebezpieczeństwo. Niektórzy jednakże myśleli, jak on. Pewnej niedzieli r. 1832 w czasie sumy w kościele St. Etiene du Mont zauważył dwóch czy trzech studentów, z którymi się zaznajomił. Między nimi był Fryderyk Ozanam. Po nabożeństwie zbliżył się do nich i wyraził im żywe pragnienie utrzymywania dalszego znajomości. Ozanam, ur. w Medjolanie 23 kwietnia 1813 r. z rodziców francuskich, przybył do Paryża w listopadzie 1830 r., ażeby uczęszczać na fakultet prawa i zamieszkał u sławnego Ampère przy ul. rue de Fossés St. Victor. Pod względem religijnym fakultet medyczny był jeszcze gorszy aniżeli wydział prawa.

Nie było już żadnego stowarzyszenia chrześcijańskiego studentów. Stowarzyszenie znane Société des bonnes Etudes znikło

tak jak wiele innych. Lokal, który zajmowało poprzednio na Place de l'Estrapade obok fakultetu prawa, pozostawał pod zarządem jednego z dawniejszych kierowników, p. Bailly. Na parterze była aula, sala bibljoteczna i kilka mniejszych pokoji. Na piętrach mieszkanie p. Bailly i pokoje wydzierżawione przez studentów, którzy urządzili sobie czytelnię w bibljotece i zorganizowali konferencje prawa i historji w salach na parterze. W konferencjach, w zebraniach, w czytelni mogli brać udział również studenci eksterniści za uprzedniem pozwoleniem p, Bailly.

Wielu słuchaczy gromadziły konferencje historyczne, gdzie literatura i filozofja miały dużo miejsca. Ozanam należał do stałych uczestników. On to przyciągnął tutaj p. Lallier, słuchacza filozofji z Collège Stanislas. Młody normandczyk Lamache przybywał również. Najgorliwsi układali rozprawy na tematy z własnego wyboru. Ponieważ drzwi były otwarte dla wszystkich, dla deistów, dla volterjanów, dla St. Simonistów, przeto opozycji ni zarzutów nie brakło. Odpierano zarzuty, zapalano się, gubiono się, tem łatwiej, że najczęściej sam tylko lektor studjował kwestję poważnie. Dyskusje stawały się nieużytecznemi a nawet niebezpiecznemi. Ozanam zaproponował, by pomiędzy konferencjami odbywano zebrania przygotowawcze, w których braliby udział tylko studenci wierzący. Ustanowiono komisję, która miała opracować ten projekt. Do komisji należał Ozanam, Lamache i Lallier. Trzej przyjaciele nie umieli się zgodzić. Le Taillandier, student prawa, skłonny raczej do życia czynnego aniżeli do jałowej dyskusji odezwał się raz do p. Lallier: „Wolałbym inny gatunek naszych zebrań, taki, na którym byłyby wykluczone wszelkie spory i dyskusje, a który składałby się ze samych studentów wierzących, zajmujących się razem i wyłącznie dobremi dziełami". Panu Lallier niebardzo podobał się taki projekt. Mimo to uwiadomił o nim swoich przyjaciół Lamacha i Ozanama, którzy podzielali jego kąt widzenia.

Parę dni później studenci zebrali się na nową konferencję. Religję zaatakowano zaciekle. Ozanamowi sprawiło to głęboką boleść: „jakie to przykre, powiedział po zebraniu, widzieć katolicyzm, widzieć Kościół, naszą matkę, tak szarpaną i znieważaną. Pozostańmy na wyłomie, by prostować fałsz. Ale czy nie odczuwacie tak jak ja, pragnienia, potrzeby, oprócz tych konferencyj

wojujących, jakichś innych zebrań, złożonych wyłącznie z przyjaciół wierzących a oddających się wyłącznie dobrym uczynkom? Czy nie zdaje się wam, że już czas, by za słowem poszedł czyn i by przez dzieła zaznaczyć żywotność naszej wiary?" W tych słowach wrócił Ozanam do projektu p. le Taillandier. Komisja go przyjęła. P. Bailly także.

Ale jakie dzieła wykonywać? X. Olivier, proboszcz parafji St. Etienne du Mont i późniejszy biskup w Evreux miał udzielić rady. Rozwinął przed oczyma młodych studentów cały szereg różnych dzieł, które mogłyby im odpowiadać, ale polecił przede wszystkiem lekcje katechizmu dla biednych dzieci.

Sami studenci woleli raczej odwiedzanie ubogich po domach aniżeli nauczanie katechizmu. Tak sprecyzowali swój zamiar Ozanam, Lamache i Lallier, do których dołączył się le Taillandier i szukali nowych członków. Ozanam pozyskał p. Clavé, St. Simonistę dopiero co nawróconego i p. Devaux, medyka. P. Bailly dał do ich rozporządzenia pokój w redakcji swojego dziennika „La Tribune Catholique", Gazette du Clergé.

Pierwsze zebranie odbyło się w maju 1833 r. o ósmej godzinie wieczorem pod przewodnictwem p. Bailly. Po odmówieniu „Veni Sancte Spiritus" i po krótkiej lekturze z Naśladowania Pana Jezusa, zaczęły się obrady.

Wszyscy byli nowicjuszami w tych sprawach. Potrzebowali rady i pomocy jakiejś osoby doświadczonej. Zwrócili się więc do Siostry Rozalji Rendu, Siostry Miłosierdzia. Poprosili ją o listę ubogich, którychby mogli odwiedzać, poprosili również i zapłacili kilka bonów, które miała w ręce, a z któremi szła do ubogich. Dla zebrań zatrzymano nazwę Konferencyj. Wzięto za patrona św. Wincentego a Paulo. Postanowiono, że funduszów dostarczy składka na końcu każdego zebrania i że każdy da według możności. P. Devaux mianowany skarbnikiem wykonał w tym samym dniu swoje obowiązki. Wziął kapelusz i jak po żebrach, chodził od jednego do drugiego, każdy dał, co mógł. Na zakończenie odmówiono „Pod Twoją obronę".

W tydzień później nowe zebranie. Każdy student już miał rodzinę sobie powierzoną.

Na trzeciem czy na czwartem zebraniu poruszono kwestję

rozszerzenia sprawy przez przyjęcie p. Gustawa Colas de la Noue, dawniejszego studenta Collège Stanislas, obecnie studenta prawa. Był on nieznany wszystkim, z wyjątkiem p. Lallier. Ten go przedstawił. Kilku miało pewne zastrzeżenia. Trudno im było dopuszczać nieznanych ludzi do zebrań poufnych. Z końcem roku konferencja składała się z 15-tu członków.

Od maja do końca sierpnia p. Bailly wpłacał regularnie na składce 5 lub 6 sztuk po 5 franków. Była to zapłata, która członkom Konferencyj należała się za współpracownictwo, za parę artykułów i sprawozdań bibljograficznych, umieszczonych w „La Tribune Catholique". Młodzieńcy ci nie byli bogaci. Włączając już ich składki, zawartość kapelusza z trudnością dochodziła do dwa razy większej sumy. Wszedłszy raz na tę nową drogę, studenci zapomnieli o pierwszej. Już nikt nie mówił o Komisji, która przygotować miała konferencje wojujące. Zmęczeni jałowemi dyskusjami, woleli uprawiać apologję przez czynne życie. Rozproszyły ich wakacje w sierpniu w 1833 r. Z początkiem listopada w następstwie zlania się dziennika „La Tribune Catholique" z dziennikiem „l'Univers Religieux" powrócili do dawniejszej siedziby rue de L'Estrapade nr. 11.

Niektórzy nie wrócili. W ich miejsce jednak przybyli inni i to we większej liczbie. Przyjęto kilku studentów liońskich i kilku dawniejszych wychowanków kolegjum de Juilly. Zaczęło się nanowo odwiedzanie ubogich. Również wszyscy wrócili do zebrań wtorkowych. Każdy pokolei robił sprawozdanie ze stanu rodziny, którą się zajmował i serdecznie wymieniano spostrzeżenia bardzo interesujące.

W grudniu prezydentowi i skarbnikowi dodano sekretarza, aby spisywał sprawozdania z posiedzeń. Wszyscy trzej stanowili zarząd.

P. Volot, administrator biura dobroczynności 13-tej dzielnicy Paryża, poznawszy ruchliwość studentów, zaproponował im objęcie funkcji komisarza dobroczynności. Ozanam i sześciu innych zgodziło się.

P. Bailly sądził, że trzeba się postarać o ściślejszą łączność konferencyj z proboszczem. „Stowarzyszenie nasze, mówił na posiedzeniu w styczniu 1844 r., ma zbyt mało znaczenia, by pro-

boszcz przybywał na nasze zebrania, możemy jednak wydelegować kogoś z pośród nas, któryby mu robił sprawozdania i tak spełnimy nakaz naszego św. Patrona".

Wyznaczono sekretarza. Do X. Faudet, proboszcza parafji udawał się on rano po mszy św., przedstawiał mu stan dzieł, wysłuchał rady, a wieczorem uwiadamiał o tem kolegów na zebraniu.

Ale działalność ich rozciągnęła się wkrótce i na dalsze tereny. Młodzież szkolna miała mało wykształcenia religijnego. Postanowiono posłać delegację do X. de Quelen, arcybiskupa Paryża, by go tem zainteresować. Wybrani zostali Ozanam, Lallier i Lamache. Udali się do arcybiskupa i przedłożyli plan. Prosili, żeby mogły się odbyć konferencje w katedrze paryskiej de Notre Dame we wszystkie niedziele wielkiego postu, żeby głoszone były przez X. Lacordaire, który miał dar ujmowania młodych ludzi przez płomienną wymowę i odwagę w kazaniach, albo też przez X. Bautain, który był dobrym filozofem. Zdawało im się, że będzie lepiej, kiedy jeden kaznodzieja będzie głosił konferencje, niż żeby kilku miało głosić je na różne tematy. Arcybiskup niebardzo podzielał ich zdanie. Byłby wolał, żeby na ambonie w każdą niedzielę był inny kaznodzieja; tych kaznodziejów wybierałby z pośród tysiąca i polecałby im mówić na tematy najżywotniejsze. Jeszcze nie powzięto decyzji, kiedy zameldowano arcybiskupowi, że X. Lamennais prosi o audjencję. X. arcybiskup wstał, poszedł na jego spotkanie, wziął go za rękę a przedstawiając go, rzekł: „Ten ksiądz będzie dla was dobry. Gdyby siły jego i głos pozwoliły, trzebaby otworzyć na oścież bramy katedry i pokazałoby się, że nie jest dosyć obszerna, by objąć rzeszę jego słuchaczy". „Niestety, odpowiedział X. de Lamennais, moja karjera jest skończona". Po tych słowach młodzi ludzie pożegnali się z X. arcybiskupem. Nazajutrz pokazał się artykuł w dzienniku z opowiadaniem o audjencji. Była to niedyskrecja, która spadała na odpowiedzialność młodzieńców. Przerazili się. Uważali, że trzeba się usprawiedliwić. Ozanam i Lallier udali się ponownie do arcybiskupa, Lamache nie mógł pójść z nimi. X. Arcybiskup zażądał dziennika, przeczytał artykuł i zawołał: „Ci dziennikarze są zawsze ci sami". A potem ujęty nowemi przepraszaniami, uścisnął po ojcowsku studentów. „Kaznodzieje, których dla was przeznaczam,

są zebrani w moim salonie, przedstawię im was, pozostawię was z nimi a sam pójdę na obiad, w tym czasie się rozmówicie".

X. arcybiskup się usunął. Rozpoczęła się rozmowa ciągle pełna szacunku, czasem ożywiona. X. Thibault, późniejszy biskup w Montpellier i Ozanam przeszli parę razy przez salon. Kiedy X. arcybiskup wrócił, panowało już silne ożywienie. „Proszę X. arcybiskupa, rzekł X. Thibault, rozumiemy się z tymi panami, rozumiemy się znakomicie". „Jeżeli się nie rozumiecie, odpowiedział X. arcybiskup uśmiechnięty, to księdza rozumie się dobrze".

Istotnie, ich zapatrywania nie zgadzały się. Zaledwie wrócili do domu, Ozanam i Lallier chwycili za pióro i spisali memorjał dla X. arcybiskupa. Dla nich najważniejszą rzeczą było wykazać znaczenie socjalne Kościoła, a tematy, których zestawili całą listę, miały być wszystkie poruszone. Arcybiskup otrzymał ich memorjał. Niewiadomo, czy go przeczytał. W każdym razie nie wspominał o nim.

Dnia 8 lutego pokazał się w dzienniku „L'Univers" list pasterski X. arcybiskupa, który ustanawiał konferencje wielkopostne w Notre Dame. Było wyznaczonych 7-miu kaznodzieji. Napływ mężczyzn był ogromny. X. Lacordaire przemawiał w innych godzinach w kaplicy Collège Stanislas wobec audytorjum złożonego przeważnie z młodzieży. Pod koniec ostatniego kazania gorąco polecił słuchaczom biednego artystę chorego, którego odwiedzał malarz Janmot, członek konferencji. Na głos kaznodzieji kieszenie i serca się otworzyły.

Niektórzy członkowie Konferencyj wzięli na siebie pouczanie młodzieży. Tak jak tego pragnęła Siostra Rozalja, kilku uczyło ortografji trzech młodych robotników w ul. Vaugirard. Inni nauczali katechizmu młodych więźniów przy ul. des Gres, co później od 1836 r. przekształciło się w nauczanie uczniów rzemieślniczych.

Młodzi przyjaciele ubogich nie zapominali swojego patrona. 4 lutego 1834 r. na propozycję p. Le Prevost uchwalono, że po „Veni Sancte Spiritus" dodawać się będzie wezwanie „Sancte Vincenti a Paulo, ora pro nobis" i że uroczyście obchodzić się będzie każdego roku jego święto 19 lipca. W tym samym dniu oddali się pod opiekę N. Panny i postanowili czcić w szczegól-

niejszy sposób dzień Jej Niepokalanego Poczęcia i dodawać „Ave Maria“ do modlitw na zebraniach.

U św. Łazarza miano uroczyście obchodzić po raz pierwszy niedzielę 13 kwietnia jako rocznicę przeniesienia Relikwij św. Wincentego, które niedawno wróciły do Paryża, skąd rewolucja 1830 r. była je wygnała. W przeddzień święta 60-członków Konferencji przybyło gremjalnie słuchać Mszy św. w kaplicy i uczcić wzór dla siebie w św. Wincentym.

Im bardziej Konferencja się rozszerzała, tem bardziej odczuwano niedogodności wielkiej liczby. Mniej poufności a zatem i mniej uroku. Więcej czasu schodziło w czasie zebrania na rozdawnictwie bonów ze szkodą dla czasu udzielanego dawniej opowiadaniem z wizyt ubogich rodzin. Więcej też było rozmów między najbliższymi sąsiadami. Wszyscy uznawali, że trzeba znaleźć na to radę, a nie widziano sposobu innego jak podział Konferencji na sekcje.

Kiedy pod koniec roku 1834 było na zebraniu więcej niż 100 młodzieńców, Ozanam zrozumiał, że z podziałem nie można dłużej zwlekać. Przedłożył swój plan na zebraniu 16-go grudnia, Zarzucono mu, że p. Bailly nie mógłby przewodniczyć na wszystkich sekcjach, i że sekcje pozbawione obecności jego byłyby narażone na nudy, a może i na zamieranie. Sprawę podjęto 30-go grudnia. Mianowano komisję, która zgromadziła się 31-go. Dyskusja była długa. Le Taillandier obawiał się, że braterskie stosunki między członkami mogą ucierpieć wskutek podziału. Ozanam, który patrzał bardziej realnie, sądził, że należy ścierpieć mniejsze złe, ażeby uniknąć większego. Jeszcze trwała dyskusja, kiedy zegar wybijał północ, i oznajmiał pierwszą minutę r. 1835. P. Bailly wstał i rzekł: „Od pewnego czasu te dyskusje i te niepewności nadwerężają moje zdrowie. Nie może tak być dłużej. Rozpoczyna się rok nowy. Uściskajmy się i mnie proszę pozostawić staranie, by wszystkim życzeniom stało się zadość“. Wobec tego wszyscy uściskali się serdecznie i złożyli sobie wzajemnie życzenia noworoczne. We wtorek 6 stycznia p. Bailly wyznaczył dwie komisje: jedną złożoną ze zwolenników podziału, drugą z przeciwników. Po kilku posiedzeniach ugodzono się, że będą dwie sekcje. Obie gromadzić się będą w domu p. Bailly. Na-

przód odbędzie się osobne zebranie w dwóch odrębnych salach dla rozdania bonów, potem zebranie wspólne w auli dla uchwał o pomocach nadzwyczajnych, oraz dla dopuszczenia nowych kandydatów i dla składki.

Te postanowienia uzupełniono 24 lutego. Zgodzono się, że członkowie mający odwiedzać ubogich dwunastej dzielnicy i śródmieścia stanowić będą sekcję specjalną, z Ozanamem jako wiceprezydentem, z p. Brac de la Perrière jako sekretarzem i z p. Picard jako skarbnikiem. W ten sam sposób zorganizowaną została i druga sekcja. P. Bailly pozostał prezydentem generalnym. Dotąd bony pobierano od Sióstr Miłosierdzia. Odtąd Konferencja mieć będzie własne bony drukowane z napisem: Towarzystwo św. Wincentego a Paulo.

Twórcy nowej organizacji nie przemyśleli dostatecznie projektu. Można było przewidzieć, że dwie sekcje nie skończą rozdawnictwa bonów w tym samym czasie. Co więc robić w czasie pauzy? Dnia 12 maja przybycie drugiej sekcji do auli wtedy kiedy pierwsza sekcja jeszcze obradowała, wywołała niemiłe zajście.

Ta niedogodność powiększała się jeszcze wobec faktu, że dopuszczenie nowych członków zmieniało liczebne znaczenie grup. Długotrwające posiedzenia były niedogodne dla tych, którzy mieszkali w dzielnicach odległych. P. Clavé prosił i osiągnął, że utworzono sekcję odrębną dla członków dzielnicy Saint Philippe du Roule.

25 maja 1835 r., kiedy to po raz pierwszy ci ostatni się zebrali, jeden z najnowszych członków prosił, aby Konferencja postarała się o afiljację do bractwa żywego różańca, prawdziwego fundamentu, jak on mówił, dla stowarzyszenia dobroczynnego Odpowiedziano mu, że co do praktyk pobożności, to lepiej każdemu członkowi zostawić swobodę.

Dnia 30 czerwca utworzono nową sekcję w parafji Bonne-Nouvelle.

Dnia 19 lipca wszystkie sekcje zgromadziły się w kaplicy 95 rue de Sèvres, aby tu wysłuchać sumy o godzinie 9, w czasie której wielu przystępowało do Komunji św. Wielu przybyło jeszcze na nieszpory o godzinie pół do trzeciej. We wieczór o godzinie ósmej odbyło się ogólne zebranie z loterją na korzyść ubogich.

Towarzystwo znane coraz szerzej nazewnątrz objawiało swoją dobroczynność w różnoraki sposób. Zajmowało się umieszczaniem uczniów w rzemiosłach i robotników przybywających z prowincji, przychodziło w pomoc szkole chrześcijańskiej w ul. St. Martin dla klas wieczorowych, przeznaczonych dla dorosłych, a nawet dostarczało jej mowców do krótkich przemówień po kursach muzyki w niedziele wieczór.

Po wakacjach p. Bailly uważał, że nadszedł czas, by ułożyć regulamin na piśmie. Miał go zredagować Laillier. Przewodniczący (Bailly) umieścił na czele kilka uwag wstępnych zaczerpniętych prawie dosłownie z pism św. Wincentego a Paulo. Towarzystwo miało przewodniczącego generalnego p. Bailly, wiceprezydenta p. Le Prevost, sekretarza generalnego p. Brac de la Perrière i skarbnika generalnego p. Devaux.

Paryż miał cztery sekcje: St. Philippe du Roule, La Bonne Nouvelle, St. Sulpice i St. Etienne du Mont. W mieście Nimes istniała już taksamo konferencja. Lyon, Rennes oraz Nantes mieć je będą 1836. Konferencje na prowincji utrzymywały łączność z Konferencjami Paryża zapomocą żywej korespondencji. Tak przedstawia się historja założenia i pierwszego rozwoju Towarzystwa, które wszędzie dokonało niezmiernie dużo dobrego i dziś nie zna żadnych granic. Biedni zawsze istnieć będą Zawsze więc Konferencje św. Wincentego a Paulo mieć będą swoją racię istnienia.

X. W. SZYMBOR.

Nasze Misje w Brazylji.

Barro.

Niebardzo daleka jest droga od Hortensji przez Treze de Maio do Barro. Z Treze de Maio 21 km. Ale co za droga! Kamienista i błotna, stroma i przepaścista, zawrotna nad urwiskami. Wszystko odrazu. Chwilami mamy wrażenie, że niemożliwą jest rzeczą, by samochód dojechał. Roztrzaska się o zakręt, rozchwieje, roztrzęsie się o ustawiczne wyrwy skalistego traktu, ześliźnie się w tę przepaść, na której dnie huczy rzeka Legeiro. Szofer jakgdyby tego wszystkiego nie widział. Pędzi na złamanie karku, choć skacze auto jak piłka po złomach czarnych głazów bazaltowych i osie trzeszczą, choć widzi, że o dłoń jest od urwiska i pod ciężarem samochodu osuwają się kamienie i staczają się do szumiącego potoka, a my duszę mamy na ramieniu.

Byliśmy już raz w Barro, ale to tylko przejazdem do Treze de Maio. Teraz zaś dla misji. Są Niemcami ci Franciszkanie, ale mają jednak poczucie odpowiedzialności za swoich parafjan polskich, że sami dopraszali się misji. A poszli dalej, bo O. Girardi, ich gwardjan, pamiętał nietylko o ludności polskiej na terytorjum franciszkańskiem, ale przygotował misje w całym okręgu, w sześciu miejscowościach. Stale byli z największą gościnnością i uprzejmością dla nas. A teraz znowu dowód delikatności. Jakkolwiek miejscowym proboszczem i gwardjanem w Barro jest O. Girardi, to przecież w chwili rozpoczęcia misji niema go. Poprosił parę dni przedtem O. Cyryla Strokę, gorącego Polaka, z klasztoru Tres Arroios do siebie do Barro i oświadcza mu: „W niedzielę misja się zacząć ma dla Polaków w Barro. Powinienbym zostać na miejscu jako gospodarz, ale ja słóweczka nie umiem po polsku.

Przyjemniej byłoby Misjonarzom i polskim parafjanom, żeby w ich ojczystym języku słyszeli przywitanie Misjonarzy i wstępną naukę proboszczą. Zróbmy tak. Ojciec na tę samą niedzielę ma jechać z ekskursją duszpasterską do Urugwaj. Otóż ja tam pojadę za Ojca, a Ojciec mnie tu niech zastąpi i po polsku przemówi do polskiego ludu na rozpoczęcie polskich misyj". Byliśmy mu szczerze wdzięczni za tyle delikatności odczucia.

O. Cyryl od tej chwili nam towarzyszył wiernie w misjach i pomagał w spowiedziach tak w Barro, jak w Balizie i w Tres Arroios, przez 3 tygodnie. Nauczyliśmy się go cenić. Niesłychanie prawy, otwarty charakter, który cienia nieszczerości nie zna i nie cierpi; pracowity, niestrudzony w objazdach kołonij polskich. Pochodzi z emigracji, mianowicie z Luceny, z parafji X. Kominka, dla którego żywi głęboki szacunek. Stamtąd już znał wielu Misjonarzy. Mieliśmy w nim odrazu dobrego znajomego i przyjaciela. Żeby dobrze przygotować misje, od 6 tygodni już obchodził wszystkie domy polskie po najdalszych nawet kolonjach, uwiadamiał o misjach, zapraszał na nie. Ten człowiek ma olbrzymiego ducha wiary i uderzająco silny sens nadprzyrodzony. Skonstatowaliśmy to nieraz w codziennem pożyciu z nim. Kto widział tutejsze knieje, poszarpany teren górzysty, mozolne pikady i zabijające ścieżki przez stoki górskie, krawędzie skał, przez lasy dziewicze i rwące potoki, tylko ten może ocenić, ile trudu włożył O. Cyryl w przygotowanie w duchu Bożym misji.

W niedzielę po mszy św. dla Brazyljan zostawiono nam kościół do dyspozycji. „Dla Brazyljan" — Tych rodowitych Brazyljan będzie kilkadziesiąt rodzin, ale jest w mieście jeszcze 52 rodziny niemieckie i 60 rodzin włoskich. To są także Brazyljanie i za Brazyljan chcą uchodzić. Wiekszą odrębność zachowują Polacy. Tych w mieście jest nie więcej jak 20 rodzin, a w okolicy w promieniu 15 km 110 rodzin. Obszedł wszystkie kolonje O. Cyryl i od niego mam te informacje. Ci miejscy Polacy do kościoła nie chodzą, o spowiedź nie pytają, ci z kolonij uczęszczają wszyscy, jakkolwiek to dla nich połączone jest z ogromnemi trudnościami. Dziś n. p. przyszło ich wielu, to prawda, bardzo wielu, choć kościół nie pełen, tak wielu, że O. Cyryl był tym widokiem zachwycony, bo nigdy ich tylu jeszcze nie widział. Mimo to nie wszyscy.

Wskutek ostatnich ulew tak wezbrały rzeki Rio Caçador, Rio Ligeiro i Rio Suzanna, że o przeprawie wbród czy promem mowy niema. Ci, co mieszkają za rzekami, przyjść nie mogli mimo najlepszych chęci. A oprócz tego w tych poszarpanych górach, rozdartych stokach, gdzie ani 50 kroków niema równej drogi, ani 10 metrów równej płaszczyzny, są tak haniebne ścieżki i pikady przy pogodzie, że w czasie deszczu jest to bohaterstwem odważyć się na opuszczenie domu na odległość kilku, kilkunastu kilometrów.

Któryś z księży, nie pamiętam, gdzie, narzekał wobec nas na Polaków z okolic, że w Barro w kościele ich nie widać. Powiedzieliśmy o tem O. Cyrylowi i O. gwardjanowi z podkreśleniem ich obecnej frekwencji i wyraziliśmy sprzeczność między oskarżeniem a obecnym faktem. Zresztą dotychczas żadnych stałych nabożeństw dla nich nie było. Wszystkie kazania i modlitwy odbywają się w języku brazylijskim. Niemcy tu mieli w lutym 1928 r. misje głoszone przez OO. Redemptorystów. Od tego czasu też mają w każdą 4 niedzielę miesiąca swoją mszę i niemieckie kazanie. Włosi, których tu jest najwięcej, nie mają swoich kazań włoskich. Wcale im na tem nie zależy. Dla Polaków zaś niema nic specjalnego, choć jest ich bez porównania więcej niż Niemców. We wielkim poście przybywa O. Cyryl dla spowiedzi wielkanocnej, ale w ciągu roku kościelnego nic im się nie daje, coby ich przyciągało. Stanęło na tem, że odtąd Polacy mieć będą w pierwszą niedzielę miesiąca sumę i kazanie polskie, a na to nabożeństwo zjeżdżać będzie zawsze O. Cyryl z Tres Arorios. Oczy im się świeciły z radości, kiedy im to ogłosiłem. Naturalnie dodałem, że przykazanie kościelne jest, żeby chodzić w każdą niedzielę i każde święto na mszę św., ale to nabożeństwo w 1-szą niedzielę miesiąca powinno im przynieść pouczenie o sprawach duszy i dać im szczególniejszą pociechę.

Odczuwaliśmy bardzo ich dotychczasowe opuszczenie przez kościół. Opuszczeni taksamo są przez szkołę. Niema szkoly polskiej. Nauczyciel p. Węclewski ma w szkole dzieci przedewszystkiem polskie, a ma lekcje od 8—12, ale tylko po brazylijsku, bo ma pensję rządu brazylijskiego. Wychodzi ze założenia, że jeżeli rodzice polscy chcą, aby uczył też w języku polskim, to podejmie się tego, ale niech płacą. A oni płacić nie chcą. To jest zdanie

nauczyciela. Obie strony ponoszą po połowie winę za zaniedbanie nauki polskiej. Również nie uczy p. profesor katechizmu i dzieci wyrastają bez nauki religji. Smutne. Chodził jednak p. Węclewski na wszystkie kazania misyjne i kiedy X. Bieniasz z ogniem mówił o królestwie Chrystusowem, z konfesjonału widziałem, jak łzy stanęły mu w oczach. W dzień przed misją przyprowadzil też do kościoła swojego 6-letniego syna i dał go ochrzcić. Zajmował się też swojego czasu czynnościami konsularnemi, ale nie miał w nich powodzenia. Z prawdziwą przykrością dowiedzieliśmy się później o nieszczęściu w jego rodzinie. Oto syn jego 20-letni, Zygmunt, jako chory, udał się do Porto Alegre w grudniu, aby go przyjęto do szpitala. W jednym szpitalu było przepełnienie. Nie przyjęto go. W drugim skonstatowano, że jego choroba jest trądem nieuleczalnym, a szpital nie przyjmuje trędowatych. Znów go odprawiono. Błąkał się chłopiec ciężko chory od szpitala do szpitala. Późnym wieczorem architekt, przyjaciel ojca, znalazł go pod swojemi drzwiami. Zaalarmował policję i szpitale. Przenocowano. Ale nazajutrz znów odprawiono, bo caly stan Rio Grande do Sul nie ma szpitala dla trędowatych. Wrócono go ojcu do Barro. Tu wkrótce umarł.

Z powodu zaniedbania wychowania religijnego, dzieci polskie wcale nie umieją katechizmu. Dlatego w czasie misji zarządziliśmy naukę przygotowania do sakramentów św. dla dzieci od 10—16 lat. Kiedyśmy kazania mówili w kościele dla dorosłych, dzień w dzień po kilka godzin w zakrystji brał je O. Cyryl na naukę. Było ich 53. Nietylko katechizmu, ale pacierza nie znały Połowa nie umiała „Wierzę w Boga“, niektóre nawet nie umiały „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś“. Po całotygodniowej nauce przystąpiły w piątek do spowiedzi, a w sobotę uroczyście do pierwszej komunji św. Codziennie 4 chłopców nam służyło do każdej mszy św., w komeżkach, czerwonych kapturkach, boso.

Czy zdziwi kogo, że wobec takich stosunków szkolnych wśród polskiej ludności tutejszej jest zastraszający analfabetyzm, że napewno 90% jest analfabetów. Dla ratowania honoru polskiego (ale czy to uratuje?) muszę dodać zaraz. że Włosi mają jeszcze więcej analfabetów i jeszcze mniej dbają o szkołę.

Wskutek ciemnoty panują wśród ludności najgrubsze zabo-

bony. Brazyljanie, Włosi, Niemcy, Polacy, wszyscy narówni praktykują zażegnywania i w chorobie prędzej wzywają zażegnywaczy i kurandejrów, niż lekarzy. To samo w chorobach bydła.

Mają jednak coś Polacy, co ich odznacza. P. Stefan Bednarski założył browar i na Barro i okolicę rozchodzi się piwo z jego ozdobną etykietą na wszystkich butelkach: „Cerveja Stephano Bednarski — Barro". Przecież coś. I powiadają znawcy tutejsi, że dobre.

W ciągu tygodnia wracali Franciszkanie ze swoich wycieczek misyjnych. O. Girardi z nad Urugwaju, O. Pankracy ze stanu Santa Catharina. Opowiadali o powodzeniach i brakach wypraw. W S. Catharina zabito Niemca, zastrzelono Włocha. Przed 4-ma dniami w kolonji Santo Ferio przy churasco krajali się Wlosi nożami (fakami). Dwu Włochów ma twarze porznięte. Drugi przywiózł pogłoski o możliwości rewolucji. Riograndeńczycy się burzą. Leśni kabokle w wendach wykupili rewolwery, naboje. Niedaleko stąd, pod Erechim, w Floresta, w lasach trzyma się oddział znaczny bandytów, przeciwko którym regularne wojsko wysłano, ale nic wskórać nic może, bo bandyci zaszyli się w dziewiczych lasach. Czasem wypady robią dla grabieży. Dowodzi nimi sławny bandyta Joao Ignacio. W Boa Vista do Erechim, gdzie mamy dawać misje, przed kilku dniami oddział żołnierzy stoczył z bandytami walkę. W czasie walki zostało zabitych dwu a rannych 4 żołnierzy. Bandyci swoich zabitych i rannych zabrali do lasów. Cała okolica jest pod terorem bandy.

Zanim misja się zaczęła, rozlokował się przed kościołem na placu karuzel jakiegoś Włocha. Kręcił się, muzykował, hałasował. W niedzielę też wstępną rzeczywiście miał sporą ilość gapiów, którzy z tej rozrywki ludowej korzystali. Ale to byli goście z mieszaniny narodowościowej. Kiedy bowiem w tygodniu Polacy już byli sami, bez przymieszki włoskiej, niemieckiej, brazylijskiej, karuzelnik nadaremnie muzykę robił, kuglarze bez skutku nawoływali. Polacy już myśleli tylko o kazaniach, o spowiedzi, o nabożeństwach. Karuzel kręcił się, ale pusto. Ani jeden Polak doń nie poszedł. Wreszcie widząc, że nic nie wskóra, Włoch spakował karuzel i wyniósł się. Wszyscy o tem mówili. Podziwiali powagę i przejęcie się Polaków. Franciszkanie z uznaniem na to patrzeli.

O. Cyryl był dumny z tego, że tak się mówi o Polakach. Przed rokiem była tu misja niemiecka. Przed dwoma laty dla Włochów. Ale zwolna, przyjmowało się zdanie tak w mieście jak u Franciszkanów, że polska misja najpoważniej się odbyła, a Polacy z najgłębszem przejęciem z niej korzystali.

Raz pod wieczór przy pogodzie po kazaniach wyszliśmy z X. Bieniaszem poza miasto wzdłuż toru, który w niemożliwych zygzakach kręcił się na wszystkie strony, aby przedsiębiorstwu budowy kolei przynieść większą ilość kilometrów w obrachunku, a potem wracając nową drogą do miasta, spotkaliśmy kobiety, które z kościoła jechały konno do domu. Dalej spotkaliśmy inne, które miały 12 km drogi do domu, a wracały pieszo i niemowlęta niosły na rękach. Tutejszej drogi 12 km! A kiedyśmy o to pytali, odpowiadały nam tak prosto, bez dramatyzowania, jakby to się samo przez się rozumiało. Zbliżaliśmy się do kościoła i natknęliśmy się na O. Pankracego. Opowiadamy mu to. A w tejże chwili nadszedł mężczyzna, który prowadził konia a na nim żonę z dzieckiem i proszą o spowiedź. Jutro rano, zaraz po komunji św. chcą odjechać. Perswaduję, że należy dłużej zostać, że to na nic, tak krótko być na misjach. Odpowiada nam, że nie mógł wcześniej, bo z nad Ligeiro przyjeżdża, w poprzednich dniach woda stała wysoko. A teraz znów dłużej zostać nie może, bo swojego konia nie ma, tego zaś pożyczył od sąsiada i musi zrana wyjechać, bo sąsiad też chce na tym samym koniu przyjechać, a jest w jedną stronę aż 20 km. O. Pankracy już dalej słuchać nie mógł. Rozrzewniło go to do głębi. Znał dobrze Ligeiro, niebezpieczeństwa wezbranej rzeki, przestrzeń, znał ten kąt, z którego kolonista na pożyczonym koniu z żoną przyjechał.

„Das macht diesen Polen kein anderer Mensch nach“ i odwrócił się, aby nie poddać się wrażeniu.

Kiedy to pod świeżem wrażeniem opowiadał O. Pankracy w klasztorze, O. Cyryl słuchał, jakby sam był bohaterem epizodu. Jest synem i wnukiem emigrantów, tu się wychował, a duszę ma nawskróś polską. W wolnych od pracy kościelnej chwilach szperaliśmy w książkach, aby się poinformować o kraju i ludziach w tym nowym świecie i tu znaleźliśmy w bibljotece książki, które nam obfitych wiadomości dostarczały dla naszej

orjentacji [1]). Otóż wiedzieliśmy już, że dziad O. Stroki nazywał się Szuk, a w Kalendarzu Rottermunda znaleźliśmy wzmiankę o najdawniejszych kolonistach i tam szczegół, że Mathias Schuck przybył z Trewiru do Rio Negro 1828 r. Przyznaje O. Cyryl, że jego dziad nazywał się Schuck i w Brazylji, w Lucernie przezwał się Stroka, ale nie pochodził wcale z Trewiru, tylko z Bukowiny.

Boleje nad tem O. Cyryl i jako człowiek, który tu wyrósł, dalej w wędrownem duszpasterstwie wśród Polaków dużo widział i nad objawami z ich życia się poważnie zastanawiał, boleje nad tem, że Polacy się rozpraszają, że wszystko im jedno, czy zabudują się wśród Niemców czy Włochów, że często przenoszą się z miejsca na miejsce, że stare zwarte kolonje polskie porzucają, innym narodowościom zostawiają zagospodarowane, że unikają skupisk a coraz głębiej uciekają do lasów. Już nam to ludzie opowiadali w Treze de Maio. Tu O. Cyryl potwierdził, że z Treze de Maio i z pod Barro uciekają do Palmeiry. Niemcy przeciwnie, dążą do skupisk, co raz chwycili, nie wypuszczą z rąk; jak sprzeda, da pierwszeństwo Niemcowi; sam idzie do ośrodka niemieckiego. Włosi też chętnie puszczają się coraz dalej do lasów, ale i w miastach dochodzą do znaczenia. Polacy zaś ogólnie od miast, od cywilizacji stronią.

Niestety, stwierdziliśmy to samo wszędzie na wychodźtwie w Brazylji.

Baliza.

Przyjechałem do Balizy dopiero w poniedziałek. Przeleżałem parę dni w szpitalu Franciszkanek w Barro. Przyjechałem teraz z dr. Severin'em i z O. gwardjanem. Było już południe. Zajechaliśmy wprost przed wendę, w której było mieszkanie Misjonarzy. X. Bieniasz już wczoraj zaczynał. Był z O. Cyrylem. Jeszcze nie wrócili z kościoła.

Ledwieśmy wysiedli, zaraz Włoch Guerra przystąpił do

---

[1]) Alfredo da Costa — „O Rio Grande do Sul". 1922. Dwa olbrzymie tomy in folio, Livraria do Globo, Barcellos Bertaso et Cia. Porto Alegre.

Hundert Jahre Deutschtum in Rio Grande. Typographia do Centro Porto Alegre. 1924.

Kalender für den Deutschen in Brasilien. 1929. Sao Leopoldo. Rottermund.

O. gwardjana i doktora i opowiada o zajściach dnia wczorajszego. Opowiada o awanturach wśród Polaków, z pewnym odcieniem radości. Ale już dzwonią na „Anioł Pański". Wraca z kościoła X. Bieniasz i O. Cyryl na obiad.

Co to było? Co to ten Guerra opowiada o jakiejś awanturze polskiej?

Wczoraj 18-letni Skrzek z cygarem w ustach, z kapeluszem na głowie, wśród kazania zuchwale na głos robił szydercze uwagi.

Dziś wszystko idzie w spokoju.

O. Cyryl był przy wczorajszej przygodzie i przy dzisiejszem opowiadaniu. Uzupełnia: To jest najgorsza kolonja, jaką znam. Ten Skrzek mieszka na Linji Dourado. Jego ojciec ma 12 dzieci. Wszystko niechrzczone. Wierzą ślepo w to, co im mówi Bujno, dawniejszy nauczyciel, zawsze pijany cynik 56-letni, ateusz i komunista. Możemy doczekać się jeszcze jakiej awantury, bo o to nietrudno. Przed dwoma tygodniami była „festa" (święto) włoska, naturalnie przytem „szurasko" pod kościołem (churasco — mięso pieczone na wolnym ogniu) i zastrzelili jednego Włocha i jednego kabokla (Piccini i Costa Milano). Nieszczęsny, zakorzeniony zwyczaj szuraska zawsze się łączy z pijatyką i kończy się strzelaniną. Tu też wczoraj było szurasko i w budzie pod kościołem jeszcze dziś sprzedają piwo i zakąski, a myślą sprawić szurasko. Tu w Balizie na niski stan moralny i religijny wpływa raz bliskość stacji, gdzie i z dawnych i z obecnych lat łatwo czepiają się różne szumowiny społeczne, które już gdzieindziej nie mogły bezpiecznie zostać, potem mieszanina narodowościowa, która zawsze budzi podrażnienia nacjonalistyczne, a do żadnej wspólnej dodatniej roboty nie jest zdatna, dalej świadomie destruktywna i demoralizująca działalność nauczyciela Bujny, który przez długie lata tu uczył a głupim dzieciom plótł o seksualnych zagadnieniach, szyderstwa z kościoła, Boga i pacierza, rozszerza książki i broszury propagujące nierząd i cudzołóstwa, sławiące komunizm i Lenina.

I takiego nauczyciela tu tolerowano?

Któż go miał usunąć? Tu miał swoją klikę, której dogadzało wspólne z nim pijaństwo i wspólna rozwiązłość obyczajów. A władza? Rząd brazylijski w te sprawy się nie mieszał. A pol-

ska władza? Nie ma siły wykonawczej na obcej ziemi. Kiedy przez szereg lat w młode pokolenie wpaja się tak przewrotne zasady a starszym imponuje się rewolwerową literaturą i radykalizmem najpodlejszego gatunku i form najordynarniejszych, nic dziwnego, że chwasty bujnie wyrastają. Familja Skrzeków nie jest jedyną, gdzie się dzieci nie chrzci. Jest ich parę jeszcze.

Musimy tem solidniej pracować w tutejszej kolonji i to bez zwątpienia, bo niemożliwą jest rzeczą, żeby w jakiemkolwiek, choćby najbardziej zgniłem środowisku nie znalazły się elementy lepiej czujące i lepiej myślące, i również niemożliwe, aby i w tych, którzy już brną w demoralizacji nie tkwiły iskry lepszych uczuć. Więc najpierw dzieci. Tu trzeba jeszcze więcej uwagi zwracać na nauczanie religji i O. Cyryl codziennie uczył katechizmu w mieszkaniu naszem we wendzie do południa i po południu. Ciągle rodzicom przypominaliśmy katechizm i zachęcaliśmy, aby w czasie misji wszystkie dzieci od 10—17 lat były na nauce. Miał ich O. Cyryl 82. W ostatnim dniu 53 przystąpiło do uroczystej komunji św., a uroczystość ta zamieniła się na święto rodzinne i budziła w rodzinach uczucia, jakich ci ludzie już dawno nie zaznali. Nawet w rodzinach, w których dotąd nie znano pacierza a panowało tylko przekleństwo i pijaństwo, zajmowano się dziećmi, które przyspasabiały się do spowiedzi i komunji św.

Nie można zostawiać ewentualnemu warcholstwu drzwi otwartych i choć należy się spodziewać spokoju, to przecież trudno się narażać na niespodzianki. Dlatego mężczyźni stworzyli policję porządkową z 8 rozważnych, silnych, sprawie oddanych i pewnych mężczyzn, którzy przez całe misje mieli się trzymać blisko drzwi kościelnych i baczyć na wszystko, co dzieje się w kościele i przed kościołem. W rzeczach porządku każdy miał obowiązek do ich wskazówek się stosować natychmiast.

Pod kościołem stała buda z kilku Włochami, którzy piwo sprzedawali i przekąski nibyto na rzecz kaplicy. Pretekst, którym się zasłaniali. A każdy czuł, że stąd, z tej budy, może wyjść jeszcze jakieś nieporozumienie. Gromadziła się tu bowiem zbieranina różnoplemienna, obcojęzyczna. Do kościoła nie szli, bo nie rozumieją języka polskiego i kazań polskich, ale z szynkfasu pociągali więcej niż było potrzeba. Do nich przyłączali się i ci Polacy, których

nie pociągał kościół a pociągał szynkfas. Z powodu „pretekstu", jakim się zasłaniali, trudno było coś postanawiać na razie. Kiedy jednakże w czasie kazań i nabożeństw zbieranina pod budą hałaśliwie się zachowywała, tak, że w kościele ich było słychać i przeszkadzali w kazaniu zarówno kaznodziei jak słuchaczom, oświadczyliśmy O. Cyrylowi, że to niemożliwe, że jeżeli Guerra i szynkarze nie zwiną dziś wieczór całego pijackiego przedsiębiorstwa, jutro przerywamy misje. Te dwie rzeczy: szynk pobożny i misje obok siebie istnieć nie mogą bezwarunkowo. Albo jedno albo drugie ustąpić musi.

Dawno już O. Cyryl miał to samo zdanie. Ale z różnych powodów nie śmiał. Teraz natychmiast oświadczył prezesowi komitetu kościelnego (p. Guerra jest nim jako frabriqueiro) decyzją naszą. Ten zasłaniał się pozwoleniem gwardjana jako proboszcza i intendenta powiatu. Po nabożeństwach więc O. Cyryl siadł na koń, pojechał do Barro i nazajutrz przywiózł pisemny zakaz od jednego i drugiego. Rozsadnika burd, pijaństwa, mordu już nie było.

Nawiasem mówiąc, O. Cyryl sypiał albo w kaplicy albo w Barro, dokąd jechał wieczorem na koniu, aby wczas rano wśród ciemności jeszcze wracać do Balizy do pracy w spowiedzi, w katechizacji i t. d. W naszej wendzie bowiem nie było miejsca na trzech.

Przybyli kiedyś do nas koloniści z uwiadomieniem, żeby się mieć na baczności, bo garstka awanturników z pierwszego występu zebrała się w jakiejś wendzie i wśród przekleństw, w nienawiści do Misjonarzy postanowili, że w nocy podłożą bombę pod kaplicę i pod Misjonarzy i „zbliżą ich do nieba". Ale jakoś zostawili nas jeszcze na ziemi. Nie wiem, kto nas ułaskawił od ich wyroku śmierci. A mieliby sprawę łatwą. Nie schodziliśmy im z drogi „propter metum iudacorum". Ponieważ kaplica stoi na wzgórzu zupełnie odosobniona i nikt obok nie mieszka a Polacy mieszkają oddalnie, przeto nie było komu dzwonić. Rano o 5·30 dzwoniliśmy sami. We wieczór o g. 9 wśród ciemności, że oko wykól, dzwon o nawrócenie zatwardziałych grzeszników; znów dzwoniliśmy sami. Naprzemiany X. Bieniasz i ja.

Raz, kiedyśmy dla dzwonu wieczornego opuścili naszą wendę, burza szalała, drogą rzeki płynęły. Koronkę odmawiając szliśmy

w błocie, w wodzie na górę, do kościoła. Świeczki nie można zapalić. Wicher ją zdmuchnął. Domacaliśmy się powrozu. Dzwon bił. Wieża trzeszczała. Pioruny biły mocniej od dzwonu. Błyskawice drżały w powietrzu, rozpruwały czarne niebo. Tak oświetlały światłem lamp łukowych okolicę, że mówiąc 5 pacierzy widzieliśmy z góry naokoło nas drzewa i krzaki łamane wichurą. Tam w stronę Barro widać drogę od wody zalaną wijącą się świetlistą, srebrną wstęgą. Tam znów las dziewiczy, z którego huczały echa piorunów. Tu widać karczmę, w której spiskowcy młodociani obiecali zbliżyć nas do nieba. W stronie Urugwaju, dalej Dourado obałamuconego, ku Sede de Boa Vista, wszędzie puszcze, czarne lasy, ramionami olbrzymów-pinjorów sterczące ku niebu, w które sypią się deszcze błyskawic jasnych, biją złowrogie pioruny i leją się strumienie potopu. Dzwon bił nieustannie, bił stale i coraz mocniej. Bił i spiżowy swój głos wbijał w ryki rozpętanych żywiołów: Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango. Nie powiem, żeby mnie ta chwila pod dzwonem nie była przejęła.

Poza wyżej wzmiankowanemi incydentami, które zresztą humoru wcale nam nie psuły, misje rozwijały się spokojnie, prawidłowo. Skoro jednak nadeszła druga połowa tygodnia przeznaczona dla mężczyzn, drżał O. Cyryl, że nie będziemy mieli co robić. Tymczasem stawiła się taka masa mężczyzn, że zdawalo się, kaplicę rozsadzą. Cieszył się i promieniał jak Mojżesz i z większym jeszcze zapałem wbębniał w zdziczałą dziatwę leśną pacierz i skład apostolski.

Powiedziałem, „że kaplicę rozsadzą". Niewiele brakowało. Ale też nietrudno byłoby ją rozsadzić. Drewniana, licho zbudowana z grubo rzniętych desek, źle zbita. Nie widziałem jeszcze tak marnej kaplicy. Gorsza niż w Hortensji, niż w Laranjeira pod Guarany, niż w Therezynie (Parana). Wymieniłem najlichsze kaplice z całej Brazylji. Ale ta w Balizie jest z nich najmarniejszą. Szpary na dwa palce między deskami. Przez dach słońce świeci i deszcz leje. Tylko w dwu oknach są szyby. Wszędzie indziej tylko dziury na okna. Tabernakulum drewniane z ordynarnych deszczułek, źle zamykane, liche. Kaplica mieści co najwięcej 150 osób. Stanęła i stoi „troskliwością tutejszych Włochów. Jest 40

włoskich i 85 rodzin polskich [1]). Ale tutejsi Włosi są patentowanymi katolikami i rej wodzą w katolickiej gminie i w kaplicy. Mają monopol na katolicyzm. W czasie nabożeństw wspólnych pchają się naprzód a Polakom zostawiają miejsca po kątach. Zbiórki tylko idą na równi. Przytem mają ten zwyczaj, że każda uroczystość kościelna, zwłaszcza „festa", to, co u nas odpust, musi się łączyć z szuraskiem, z budą karczemną pod kościołem, a w stałej konsekwencji z pijatyką i występami na noże i rewolwery. W komitecie kościelnym też rej wodzą. To już zbrzydło Polakom (pochodzą przedewszystkiem z Lubelskiego, trochę z Płockiego, byli przedtem na starych kolonjach) i choć łożyli na obecną kaplicę, to jednak chcieliby się odseparować i osobną kaplicę postawić opodal własnym kosztem. Dla miłej zgody byłoby i lepiej. Jaka jest „troskliwość" o dom Boży, świadczy taki szczegół: kiedy przybył tu w pierwszym dniu X. Bieniasz i O. Cyryl, zastali za ołtarzem butelki od piwa. Szynkarz próżne butelki chował za ołtarz! Wyrzucić to kazał O. Cyryl i fabriqueiro zaniósł je do dzwonnicy. Plac naokoło kościoła nieogrodzony. Ludzie, konie, muły, nierogacizna spacerują po nim.

Skoro niski poziom moralny dotyczy wszystkich tutejszych narodowości a nie jest przywilejem jednej z nich, przypisuję go i temu, że brak tu stałej opieki duszpasterskiej. Przybywa z Barro franciszkanin raz na 2—3 miesięcy. A potem pozostawieni są sobie i stałej propagandzie złego.

Wśród Polaków jednak temperatura z każdym dniem się podnosiła. Rosło poczucie religijne i moralne. Mieliśmy tę pociechę, że nietylko ogół (z wyjątkiem garstki popleczników zdecydowanych ateusza z Dourado, którego własny syn 15-letni również zwyrodniały czynnie znieważa i policzkuje) brał udział w misjach w dni słoneczne jak w słotny czas, że było spowiedzi 406, komunji 785, dzieci do I. komunji św. 53, że zupełnie oddzielili się od kółka skorumpowanych, ale i tę, że na pożegnanie przybył

---

[1]) W miejscu, w najbliższej odległości od kościoła jest 85 rodzin polskich które zapisały się do świadczeń na kaplicę. Należą tu jednak z okolicy jeszcze: 3—8 km od Balizy Caçador 56 rodzin polskich, 8 km Ligeiro 35, 4—8 Linja 2 i Linja 1 Secçao Dourado 30 rodzin polskich. Razem więc 206.

cały komitet polski wraz z nauczycielem p. Kaszewskim, aby nam podziękować. Mieliśmy tyle pociechy, że nawet boję się, by cienie w opisie moim nie wywołały wrażenia, że przeważają nad światłem. Nie, my tego wrażenia nie mieliśmy i nie mamy. Jest niewątpliwa przewaga dobrego, przewaga liczebna. A cieni nie dużo. Ale tak czarne, tak skandaliczne, że istotnie piętno nadają całości. Wkońcu i tego nie można zaprzeczyć, że tu i ówdzie koloniści z Lubelszczyzny mają dziwnie słabą odporność na radykalną propagandę, nie ci dawniejsi, ale ci z ostatnich przypływów emigracyjnych.

Tres Arroios.

Wszystkie nasze wspomnienia z Tres Arroios są dziwnie słoneczne. Może to i rzeczywiście wpływ słońca, tego pełnego słońca brazylijskiego, które cały czas nam przyświecało i oblewało złotemi promieniami ten kościółek na wzgórzu i czarne lasy pinjorami obramujące osadę, i tych kolonistów w barwnych strojach na koniach i pieszo rozsypanych na drodze do kościoła, i kwarce błyszczące na drogach oraz w rabatach kwietnych pod klasztorem, i rzekę szumiącą tam na dole po licznych wodospadach. Wszędzie słońce.

To słoneczne Tres Arroios stanowi jako kolonja swój typ odrębny. To jest kolonizacja prywatna. Tereny leśne skolonizowała kompanja Luce, Rosa e Cia. Równocześnie kolonizowała w r. 1912: Tres Arroios, Nova Italia i Dourado, pierwsza dla niemieckich kolonistów, druga dla włoskich, trzecia dla niemieckich. Do ziem tej kompanji nie dopuszczano Polaków. W samem też Tres Arroios Polaków niema, jest tylko jedna Polka zamężna za Niemcem. Polacy osiedli na krawędziach tej kolonizacji, na ziemiach skolonizowanych przez rząd. Toteż mieszkają w pewnych odległościach od kościoła, a mianowicie:

o 3 km	— kolonja Napoleon, gdzie jest	20	rodzin	polskich
„ 9 „	— Linja 4, z kaplicą S. Jezusowego	40	„	„
„ 8 „	— Suzanna, z kaplicą św. Stanisława Kostki	60	„	„
„ 20 „	— Lageado S. Farias z kaplicą św. Rodziny	6	„	„

o 18 „	— Lageado Mirim, z kaplicą św. Augustyna	18 rodzin polskich
„ 24 „	— Floresta nad Urugwajem, za Nową Wenecją, dopiero od 2 lat	20 „ „
„ 39 „	— Nad Rio Novo Floresta	6 „ „
„ 20 „	— Rio Paca, z kaplicą św. Pawła	9 „ „
		179 rodzin polskich.

Tres Arroios tak dalece wyłącznie przeznaczane było dla Niemców, że nawet pierwotnie nosiło nazwę Nova Berlin a przez afekt do Niemców wykluczało każdego nabywcę Polaka. Ale już w 2 lata od pierwszych pomiarów wybuchła wojna światowa a z nią ostry kurs antyniemiecki w Brazylji, tak, że zwinięto sztandar niemiecki, Nova Berlim naprędce w braku lepszej nomenklatury zamieniono na Tres Arroios („trzy potoki“ od tego, że tu zbiegają się trzy potoki i tworzą rzekę Napoleon, która w dolnym biegu jako Rio Lambedor wpada do Urugwaju). Polacy do miasteczka przybywają na zakupy, a w niedziele i święta do kościoła. Z powyższej tablicy widać, jakie przestrzenie mają do przebycia i to po leśnych, górskich, załamanych drogach. Kiedy jednakże dawniej przybywali z okolicy w małych grupach, jako mniejszość, tonąc nieśmiało w niemieckiej przewadze miejskiej, a i w kościele jako przybysze i goście, to teraz w czasie misyj przez 8 dni pełnych, od niedzieli do niedzieli, roiło się od Polaków, stanowili liczbę, napełnili sobą i rozgwarem polskim miasto całe, w kościele od rana do wieczora rozbrzmiewały kazania polskie, z kościoła na miasto szły śpiewy polskie, czuli się u siebie. Całe miasto nagle stanęło pod znakiem polskim. Ten nastrój dusz polskich opromieniało stale przyjazne, złote słońce i podnosiło świąteczny wygląd dnia każdego.

Nikt nie przybył na wozie, bo wozów albo nie mają albo szkoda ich łamać na kamienistych drogach. Wszystko przybyło konno. Mężczyźni na siodłach brazylijskich usłanych „pelegami“ (skórami baraniemi), kobiety na siodłach również brazylijskich ale damskich, z poręczą, tak, że siedzi w siodle jak w fotelu, a dzieci po dwoje na męskiem siodle lub na oklep. Wszyscy jednak zawołani jeźdźcy. Każdy pójdzie z wichrami w zawody.

Pod kościołem, kiedy chmury dymu puszczali ku pogodnemu, lazurowemu niebu, rozmawialiśmy z mężczyznami i dopytywali o ich dolę i niedolę. Kilku z nich przyjechało z głębi lasów dziewiczych, gdzie przed nimi ludzka noga nie postała. Przyjechali z opóźnieniem, bo wcześniej wiadomość o misjach do nich nas dotarła, jakkolwiek przed misjami O. Cyryl obszedł wszystkie kolonje i wszystkie domy należące do Barro, do Balizy i Tres Arroios. Do nich nie dotarła, bo o nich nie wiedział O. Cyryl, nie wiedział nikt. Siedzą w lasach rządowych, nieparcelowanych. Jakże to? Wzdłuż rzeki Urugwaj, na pograniczu stanu Rio Grande do Sul i S. Katharina, rząd zachował pas szeroki lasów dziewiczych ze względów strategicznych i nie skolonizował ich, ani obecnie nie ma zamiaru ich kolonizować. W te puszcze nieprzebyte zapuścili się niektórzy Polacy, nie kupując ziemi od nikogo, bo nikt jej sprzedać nie może. Nie pytając nikogo, zajęli kawał lasu, osiedli, wyrąbali naokoło siebie, rancho (szałas) postawili, kukurydzę zasiali. Oczywiście nie mają żadnego tytułu do tej ziemi i siedzieć będą dopóty, dopóki ich nie wyrzucą. Może nawet z przykremi następstwami. Jest to tak zwana Floresta nad Urugwajem, oznaczona na mapach kolonizacyjnych jako Terras do Estado (ziemie rządowe).

Kościół, piękny, schludny, pełen światła, sympatyczny, choć tylko drewniany, stoi na wzgórzu. Zresztą miasteczko jest w kotlinie, z której we wszystkich kierunkach łagodnie wznoszą się góry, pierścieniem okalając miasto. W głębi obszernej kotliny domy, wendy i klasztor OO. Franciszkanów, na wzgórzu kościół, klasztor i szkoła Franciszkanek. Pierwszy inżynier kolonizacyjny z przedsiębiorstwa Luce, Rosa e Cia był p. Meier, Szwajcar protestant, żona jego francuska, katoliczka. Mieszkali w czasie kolonizacji w tym domu, gdzie obecnie są Franciszkanie i gdzie my mieszkamy. Franciszkanie kupili 6 lotów miejskich, dom i meble po Meierze za 40 kontów (40.000 złp.). Kolonje leśne sprzedawano 250×1000 m. za 2 i pół konta t. j. za 2.500 złp. Kościół, dom Sióstr i szkołę katolicką budował inżynier kosztem kompanji. Kościół był przeznaczony dla Franciszkanów, ale ci go odstąpili Siostrom razem ze szkołą, której prowadzić nie mogli z powodu rozjazdów duszpasterskich do odległych kolonij. Żona Meiera

sama sprowadziła Franciszkanki. Są to te same, które mają „Collegio“ i szpital w Barro, w Erechim i t. d. Dom ich macierzysty jest w Cartagena w Kolumbji, jakkolwiek przeważają wśród nich Niemki. Franciszkanie wkrótce budować będą kościół parafjalny w środku kotliny; obecnie do kościoła na górze mają 2 km drogi.

W szkole Sióstr są 4 klasy, dzieci po 30 w każdej. Sióstr jest 5. Uczą po brazylijsku, bardzo mało po niemiecku, nie po polsku. Dzieci są niemieckie, polskich 15. Mają tu Siostry także swój nowicjat. Tak Siostry, w których kościele odbywały się misje, jak i Franciszkanie odnosili się przez cały czas bardzo sympatycznie do nas i do polskiej ludności. Przełożonego nie było w domu. Był na rekolekcjach w Rio Negro. Zastępował go O. Franciszek Tentschert, z Górnego Śląska, władający dobrze językiem polskim, bo matka jego była Polką. Mamże dodać, że tak Siostry jak i O. Franciszek, któremu bardzo trudno wychodzi z ust każde uznanie czy pochwała, jednak wyrażali się pełnem uznaniem dla frekwencji i gorącości ducha, z jakim Polacy brali budujący udział w misjach i nie wahali się stwierdzić, że daleko więcej zbudowania mieli obecnie, niż z misyj niemieckich i włoskich przed rokiem.

Szkoda, że szkoły polskiej tu niema. Ale w warunkach zgóry uplanowanych i wprowadzonych przez kierowników kolonizacji, to niemożliwe. Jest szkoła polska w kolonji Suzana, w skupisku polskiem najsilniejszem, 60 rodzin polskich liczącem. Wobec entuzjazmu rozbudzonego przez misje wiedzieliśmy dobrze, że od stosunku naszego do szkoły i nauczycieli dużo zależeć będzie na przyszłość. Dlatego wszędzie kładliśmy nacisk na szkołę, na obowiązek posyłania dzieci do szkoły, na obowiązek łożenia na rzecz szkoły i nauczycieli, na potrzebę katechizmu w szkole. Dlatego też, żeby podnieść powagę szkoły i nauczyciela, byliśmy na lekcjach w Treze de Maio, w Rio do Peixe, w Hortensji. Obieraliśmy wszędzie zasadniczo i otwarcie życzliwe dla szkoły stanowisko, a również tam, gdzie nauczyciele na to stanowisko wejść nie umiell, drobne nietakty czy braki umieliśmy przeoczyć. Do ostatniej chwili obiecywaliśmy nauczycielowi w Suzana, że przyjdziemy do jego szkoły. Ale czasu zabrakło z powodu odległości. Za to urządził lekcję w szkole Sióstr przy kościele z dziećmi swojej szkoły, które

i tak codziennie chodziły pilnie na kazania. Byliśmy na lekcji i urządziliśmy tak, żeby i rodzice byli obecnymi. Po innych kolonjach polskich szkół niema. O. Cyryl więc urządzał katechizację dla nich przez cały tydzień i w ostatnim dniu 21 dzieci przystąpiło do I. komunji św.

Brak szkoły i stąd analfabetyzm, to czarna plama na tym słonecznym, uroczym zakątku. Analfabetyzm chciałem stwierdzić dokładnie. Było kazanie dla mężczyzn samych. Po kazaniu przed kościołem ich zatrzymałem. Byli młodzi i starzy. Przerachowałem ich. Było ich 182. W rozmowie pytam: kto umie czytać i pisać? Gramotnych dorachowałem się 22, a zatem 12%. Analfabetów zaś 88%. Nie uwierzyłbym, gdybym sam ich nie był przerachował.

I tu świeciły niklowe lufy rewolwerów z pod kurtki, ilekroć klękali mężczyźni w kościele. Nic jednak nie słyszałem o nadużyciach wśród Polaków. Między Włochami, którzy bal urządzali tydzień przed naszym przybyciem w wendzie, była mordercza strzelanina.

Wogóle Polacy nasi nadzwyczajnie miłe wrażenie robili. Spokojni, stateczni, ukladni, w kościele i poza kościołem przykładnie się zachowywali. Prawdziwą przyjemność sprawia praca wśród takich ludzi. Żal mi ich tylko było, że tak są beznadziejnie rozrzuceni w małych grupkach po całej okolicy. Spokojni. Spokój ich dziwny, z odcieniem pewnego smutku czy niemej rezygnacji, miał jakąś niesłychaną głębię. Nie wiem, może pochodził z tej codziennej, nad wyraz twardej walki o byt, o życie swoje i drogich swoich, walki na śmierć i życie z potęgą puszczy pierwotnej, zmagania się gigantycznego o chleb powszedni z górami i lasami, z głazami i potokami, z wężami i dzikim zwierzem. Jeszcze lat temu 14, była tu tylko głucha puszcza. Oni z nią się zmagali, teraz ją powalili. Ta głębia ich otwarła się na oścież na przyjęcie pociech, które z wiary św. płynęły. Oni żadnej innej pociechy nie znają, nie mają.

W drodze z kościoła do Franciszkanów, do naszego mieszkania, stale nas zatrzymywały kryształki kwarców błyszczące pod słońce. Zasiana niemi droga. W wolnej chwili poszliśmy nad potok. Wszędzie kryształy. X. Bieniasz otrzymał od O. Franciszka piękny topaz znaleziony nad rzeką. Przed kościołem rabaty kwietne

ujęte w kamyki lśniące i ametystowe kryształy. W ogrodzie Sióstr dużo brył z całemi gniazdami ametystowemi. Dzieci pod szkołą bawią się ametystami. A opowiadały, że idąc za biegiem rzeki, poza lasem Sióstr widziały kamyków w piasku bardzo dużo, że stary Fenker wie, gdzie to jest. Pod wieczór więc wybraliśmy się ze starym i z kilkorgiem dzieci i po półtoragodzinnym marszu znaleźliśmy się na opuszczonej kolonji Subtracha, gdzie między zwalonemi kłodami wśród okruchów skalnych i w piasku znaleźliśmy istotnie całą masę ametystów rozrzuconych, taką masę, że mowy nie było, by można było zabrać wszystko z sobą. Powybieraliśmy, co komu się spodobało, po parę kilo każdy. Wszystkie ametysty były w kulach i bułach, których zewnętrzną powłokę stanowiły agaty, a z tej osady agatowej wyrastały kryształy ametystowe do środka bryły. Oczarowani byliśmy wielką ilością błyszczących kryształów, blado i ciemnofioletowych. Zabraliśmy ich trochę na pamiątkę.

Prędko trzeba było wracać, bo już gromadziły się chmury ciężkie na niebie. Prędkie były przygotowania do burzy. Sklębiły się chmury. Ciemno się zrobiło. Zerwał się wicher. W 10 minutach rozpętała się burza szalona. Wśród błyskawic, piorunów i potoków deszczu padał grad gruby, wielkości jaj gołębich. Ale jak prędko burza przyszła, tak prędko znikła. Za pół godziny już było po wszystkiem, tylko woda jeszcze ściekała z drzew, płynęła drogami i białe jajka gradowe powoli tajały na ziemi. Na horyzoncie zachodnim, za wieżyczką kościoła oparła się brzegiem złota tarcza słoneczna. Zaszło słońce. W kotlinie odrazu chłodno się zrobiło i ciemności wypełzły, ale niebo jeszcze nad wieżyczką gorzało pożarami wulkanów, rozpierzchłe chmurki paliły się blaskami różowemi, a czyste pola nieba zasnuły się wstęgami szmaragdowych i bladolazurowych kolorów. Przecudna jest gra kolorów przy zachodzie słońca.

Wieczór zapadł na dobre. Ciemności nie zdołały jednak utrzymać się długo, bo już księżyc z przeciwnego brzegu kotliny śpieszył na niebo. Przesuwał się przez szpary między czarnymi kolosami pinjorów sterczących na szczytach górskich ku niebu, a kiedy wreszcie wypłynął na pełne niebo, zalał srebrzystem światłem dolinę, dachy, kościół, klasztor. Księżyc ogromny, świeci ja-

śniej niż w Polsce. Pod klasztorem naszym tuż pod oknem szemrze potok, duże żaby rechocą silnie jak grzechotki wielkotygodniowe, w błotnistym stawie żaba płaczka kwili jak dziecko, świerszcze w drzewach i w szparach domu przeraźliwie ćwierkają, gdzieś dalej w ciemnym lesie klekoce dzwonek pasącego się bydła. Góry i lasy czarne, polany i domy osrebrzone, niebo zasiane błyszczącemi gwiazdami.

Jeżeli dla uzupełnienia charakterystyki w lesie dziewiczym schowanego miasteczka miałbym coś dodać o jego handlu i przemyśle, to są tu 2 tartaki, jeden włoski, drugi niemiecki, są 3 wendy, wszystkie obecnie włoskie, dawniej niemieckie i jest fabryka cygar Niemca Indenhocka, bo Niemcy tu uprawiają różne gatunki tytoniu. Ale z tego też widać, że Włosi skutecznie konkurują z Niemcami. Dodam i to, że poczty państwowej tu niema. Jeden Niemiec zorganizował obsługę pocztową w ten sposób, że 2 razy na tydzień własnym samochodem zawozi do Barro (18 km) pasażerów i towary do stacji i zabiera listy i przesyłki, ale każdy, kto chce z jego usług pocztowych korzystać, musi oprócz zwyczajnej taksy opłacać jemu 3 mile na rok. Opłacają to i Franciszkanie.

W dzienniku zaś swoim mam taką notatkę z pobytu w Tres Arroios: Mówi się dużo tutaj a już i w dziennikach z Porto Alegre pisze się o możliwości rewolucji. Rio Grande chce w wyborach w marcu 1930 r. przeforsować za wszelką cenę swojego kandydata na prezydenta w Rio de Janeiro. Jeżeli nie, to Rio de Grande grozi rewolucją. Ładna historja! Gotowiśmy się doczekać rewolucji. A tak strasznie mało nas obchodzą ambicje tej czy tamtej partji.

X. STANISŁAW KALLA.

Misje i rekolekcje grupy krakowskiej w r. 1932 [1]).

Zaczęliśmy tegoroczną pracę misyjną w archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej, w Gębicach, miasteczku, należącem do dekanatu trzemeszeńskiego. Proboszcz tamtejszy, X. Tadeusz Wierbiński, pragnął, jak nam pisał, zostawić swym parafjanom jako najpiękniejszą pamiątkę swego srebrnego jubileuszu kapłańskiego odrodzenie duchowne przez misję św.

Misja miała trwać osiem dni, od niedzieli 7 lutego do niedzieli 14 lutego. Korzystając z najwygodniejszego połączenia kolejowego, przyjechaliśmy już w sobotę wczesnym rankiem do Mogilna, gdzie nas umęczonych całonocną jazdą zabrał wygodny, przytulny powóz ks. proboszcza i przez pogrążone jeszcze głęboko w śnie Mogilno ruszyliśmy do odległych jakie siedem kilometrów Gębic. Stanęliśmy tam razem z świtającym dniem. Po pierwszem powitaniu i jako takiem rozlokowaniu poprowadził nas ks. proboszcz, który od pierwszej chwili ujął nas swą prostotą i staropolską gościnnością, do kościoła, byśmy jaknajprędzej odprawili Mszę św., a potem należycie odpoczęli, by nabrać sił do czekającej nas, jak zapewniał, ciężkiej pracy.

Kościół, zbudowany w r. 1500, gotyk halowy o siatkowem sklepieniu i pięknym przyczółku schodkowym, czyściutko utrzymany, bardzo miłe robi wrażenie.

Po Mszy św., już przy pełnym dniu, mogliśmy się nieco lepiej rozglądnąć. Plebanja miła, wygodna, otoczona ślicznym ogrodem, a raczej parkiem o szpalerach, klombach, pięknych ugru

---

[1]) Do grupy tej należeli X. sup. Józef Swałtek i X. Stanisław Mateja Sabała Błachuta z Olczy i X. Stanisław Kalla z Krakowa, Stradom 4.

powaniach drzew i krzewów. Narazie wszystko jakby bez życia, pokryte śnieżnym puchem, ale jakże tu pięknie być musi wiosną, kiedy utajone życie budzić się zacznie, a powietrze napełni śpiew ptasząt. Z jednej strony ogrodu płynie rzeczka, Mała Noteć, dość szeroka i głęboka, by wszelkich sportów latem i zimą na niej używać można, z drugiej wznoszą się masywne zabudowania gospodarcze.

Wnętrze plebanji, to prawdziwe muzeum. Ks. proboszcz, zapalony kolekcjonista, od pierwszych lat kapłańskich każdy nieomal grosz obracał na zakupno dzieł sztuki, a zwłaszcza obrazów. Jest ich coś trzysta przeszło, najrozmaitszych mistrzów krajowych i zagranicznych, dawnych i współczesnych. Twierdzi ks. proboszcz, że są wśród nich prawdziwe perły, Rubensy nawet i Van Dycki, i rzeczywiście, niektóre, aczkolwiek mocno zniszczone, przykuwają wprost do siebie, znać na nich piętno geniuszu. Nie wszyscy jednak chcą wierzyć, że Gębice posiadają takie klejnoty, a ks. biskup Laubitz na wywody i dowody ks. proboszcza oświadczył, jak nam to z humorem sam ks. proboszcz opowiadał, że, jeżeli to Rubensy i Van Dycki, to on nie biskupem lecz wikarym. Jednakże ks. proboszcz, który w ciągu lat doszedł do niepośledniego znawstwa sztuki a zwłaszcza malarstwa i niejednego już dokonał cennego odkrycia, tem się nie zraża, przekonany, że po umiejętnej restauracji obrazów okaże się słuszność jego twierdzeń. Kocha on swe obrazy nadzwyczajnie, każdy jest dla niego czemś niezmiernie bliskiem, o każdym umie tyle interesujących szczegółów opowiedzieć, że słuchałoby się go bez końca. Ma także liczny i doborowy zbiór dzieł traktujących o sztuce, w wspaniałych, artystycznych oprawach.

Jak wspomniałem, mieliśmy misję zakończyć w niedzielę, 14 lutego. Dowiedziawszy się jednak, że w niedzielę przyjeżdża ks. biskup Laubitz, by poświęcić ufundowane przez parafjan z okazji jubileuszu nowe dzwony kościelne, że zjedzie się także i duchowieństwo kondekanalne, aby jubilatowi złożyć życzenia, postanowiliśmy, celem uniknięcia kolizji nabożeństw misyjnych z jubileuszowemi, zakończyć misję już w sobotę. Zresztą praca nie zapowiadała się znów tak trudną, jak przedstawiał ks. proboszcz, gdyż parafja liczy niecałe dwa tysiące dusz. Urządziliśmy osobno misję

dla niewiast, od niedzieli do środy rana, osobno dla mężczyzn, od środy popołudnia do soboty rana, prócz tego misyjkę dla dziatwy szkolnej, w środę i czwartek. Podkreśliłem zaraz we wstępnej nauce łączność między jubileuszem a misją, prosząc parafjan, by w czasie tak świętym i obfitym w łaski Boże pamiętali w modlitwach o swym duszpasterzu-jubilacie i za niego ofiarowali Komunję św. generalną. Chcąc, by rzeczywiście cała parafja wzięła udział w ten sposób w obchodzie jubileuszowym, prosiłem zaraz na początku o wczesne zgłaszanie chorych, nie mogących przyjść do kościoła, abyśmy ich mogli po domach odwiedzić, wyspowiadać i wykomunikować.

Praca poszła gładko, utartym torem, pomoc w spowiadaniu była wystarczającą, zapał i gorliwość parafjan w korzystaniu z misji, mimo dotkliwego zimna i zawiei śnieżnych, nadzwyczajna. Podkreślić tu trzeba dobry przykład, jaki dały dwory, należące do parafji. Opowiadał ks. proboszcz, że z początku chodzili tutejsi obywatele ziemscy z pewnym lękiem na nauki, bo zeszłego roku na misji w sąsiedniej parafji może zbyt ostro a przedewszystkiem nietaktownie się do nich odniesiono. Zakończyła się misja uroczystą sumą, na której oddaliśmy parafję pod opiekę Matki Najśw. i poświęceniem Krzyża misyjnego.

Ledwie przebrzmiały ostatnie pienia uroczystości misyjnych, a już dziesiątki rąk rzuciły się do przygotowań na obchód jubileuszowy. Stanęły w mig bramy triumfalne na rynku i przed plebanją, domy przystroiły się w zieleń i chorągiewki o barwach kościelnych i narodowych, plebanję opłotły girlandy wieńców. Wieczorem odbyła się uroczysta akademja ku czci jubilata. Były śpiewy, przemowy, wiersze starszych, młodszych i najmłodszych, wręczono ks. jubilatowi w imieniu całej parafji śliczny mszał i pewną kwotę pieniędzy na cel, jaki sam uzna za najstosowniejszy. Dziękując za te objawy przywiązania i miłości, oświadczył ks. proboszcz, że na nie nie zasłużył, boć od niedawna pracuje w parafji. Pragnąłby bardzo w jak najbliższym czasie otworzyć ochronkę. Ma już nawet upatrzony budynek na jej pomieszczenie, mianowicie bóżnicę żydowską, zamkniętą od dłuższego czasu z powodu braków żydów, którzy co do jednego wynieśli się z parafji. Na wykup tej bóżnicy przeznacza ofiarowany mu dar jubileuszowy.

Bardzo uroczyście odbyło się nazajutrz przyjęcie ks. biskupa Laubitza. Po pięknych ceremonjach poświęcenia dzwonów przemówił ks. biskup od ołtarza. Zaczął od podziękowania nam misjonarzom za trudy podejmowane dla dobra dusz w archidiecezji, wspomniał następnie o wielkich, twórczych ideach św. Wincentego a Paulo i przeszedł na tak aktualny dziś temat o akcji katolickiej czyli apostolstwie ludzi świeckich. Podkreślił zwłaszcza potrzebę jednej cnoty w tem apostolstwie, cnoty męstwa chrześcijańskiego. „Jest u nas w Polsce wielu ludzi nabożnych, to znaczy chodzących na nabożeństwa“, mówił ks. Arcypasterz, lecz zbyt mało pobożnych, to jest takich, którzyby po bożemu myśleli, mówili, czynili i to w życiu tak prywatnem, jak i publicznem, którzyby w obronie zasad Bożych gotowi byli ofiary ponieść, a nawet, jak pierwsi chrześcijanie, i krew przelać. Przytoczył przykład, jak to w Rosji sowieckiej ludzie truchleli, bledli od wewnętrznego oburzenia, widząc jak niszczą ich świątynie, depczą największe świętości, a jednak nikt nie miał odwagi publicznie zaprotestować. „Czyż u nas byłoby lepiej, pytał ks. Biskup? I dał inny przykład, z naszego życia. Oto kilka lat temu w Krakowie, w czasie pasterki, wpada do świątyni Marjackiej kilku pijanych wyrzutków, znieważając bezwstydnem zachowaniem się i krzykami miejsce święte. Kościół nabity po brzegi, a jednak nikt nie śmiał, choć dłuższy czas trwały te naigrawania się z najświętszych uczuć obecnych, wziąć się do tych zuchwalców, wyrzucić ich za drzwi i dać im porządną naukę na miejscu. Dopiero wezwana policja położyła kres gorszącym scenom. „Niemożna z jednego wypadku snuć zbyt dalekich wniosków“, kończył ks. Biskup, „i gdzieindziej może byłoby inaczej, faktem jednak jest, że męstwa chrześcijańskiego u nas jeszcze zamało i zanadto w najświętszych sprawach, gdzie nie może być żadnego kompromisu, cofamy się tchórzliwie przed względem ludzkim. Nie staniemy się jednak nigdy dobrymi apostołami, dopóki nie będziemy nieustraszonymi żołnierzami Chrystusowymi“.

Po kazaniu ks. Biskupa wyszła uroczysta suma jubileuszowa. Myśmy już przedtem pożegnali ks. Jubilata, życząc mu jeszcze raz wszelkiej pomyślności *ad multos annos* i cichaczem wymknęliśmy się w drogę powrotną. Po drodze zwiedziliśmy słynny, jeden

z najstarszych w Polsce, kościół i klasztor pobenedyktyński w Mogilnie.

Nadwyrężyłem sobie na misji uszy podczas wyjazdów na wieś do chorych w czasie silnej zawieruchy śnieżnej w niezbyt szczelnym a mocno przewiewnym wehikule. To też korzystając z kilku dni przerwy w pracy, zatrzymałem się w Poznaniu, u Przemienienia Pańskiego, aby je poddać gruntownej reparacji. Udała się dobrze, po kilkudniowem przedmuchiwaniu nie było zawiania ani śladu. Niech mi wolno będzie na tem miejscu podziękować jeszcze raz serdecznie naszym Siostrom u Przemienienia Pańskiego za tę ich niezwykłą przychylność i życzliwość z jaką przyjmują misjonarzy, ilekroć utrudzeni przy pługu misyjnym wpadną do nich jak do siebie na kilka chwil wytchnienia. Czasem mają z gośćmi prawdziwy kłopot, niejeden im nie na rękę, a jednak nigdy tego nie dają odczuć.

Drugie pole pracy wypadło nam tego roku w archidiecezji krakowskiej, dekanacie wadowickim, parafji Rzyki, od 21—28 lutego. Proboszczem tu X. Karol Gelata, jeden z ostatnich wychowanków Seminarjum krakowskiego, z czasów, kiedy było pod kierownictwem misjonarzy na Stradomiu. Dla swych wychowawców, żywi po dziś dzień serdeczną wdzięczność, z przyjemnością opowiada o latach przeżytych na Stradomiu.

Rzyki, jak i siedem kilometrów odległy Andrychów, były kiedyś filjami parafji Wieprz. Położenie wioski cudowne, w szerokiej dolinie, otoczonej wieńcem lesistych wzgórz z najwyższym szczytem, Łamaną Skałą, 934 m wysokim. W samych widłach dwóch potoków stoi murowany, bieluchny kościół, zbudowany w r. 1796. Jadąc od Andrychowa mieliśmy ciągle przed oczyma wspaniałe widoki górskie, przybierające co chwilę inne kształty. Jakże to miła odmiana po nużących oko równinach wielkopolskich!

Parafja liczy do trzech tysięcy dusz. Ludność uboga, rola tu mniej daje niż w Wielkopolsce, wielu szuka zarobku poza krajem, we Francji, Ameryce. Widać było z zniszczonych ubrań i wynędzniałych twarzy, że bieda tu wielka. Ale i pobożność głęboka. Na nabożeństwa uczęszczali bardzo gorliwie mimo dokuczliwego zimna, i to zarówno niewiasty jak i mężczyźni. Misja miała przebieg spo-

kojny, normalny, pomoc sąsiadów w spowiadaniu nie zawiodła, Z żalem opuszczałem to ciche ustronie, ten lud umiejący bez szemrania, z poddaniem się woli Bożej, z niezachwianą wiarą w Opatrzność znosić swój niedostatek. Oby im i te liczne łaski, jakie spłynęły na ich serca w czasie misji, były do tego pomocą, oby szczęśliwie przeżyli straszny, gniotący nas kryzys i doczekali się lepszych czasów.

Coraz bardziej rozpowszechnia się zwyczaj odprawiania rekolekcyj parafjalnych i to nietylko po miastach, lecz i na wsi. Mają one do pewnego stopnia zastąpić misję. Misja, by nie spowszedniała i nie straciła na swej sile oddziaływania na dusze, nie może być zbyt częstą, a jednak trzeba w naszych czasach gorączkowego życia i prędkiego zacierania się i najsilniejszych wrażeń przypominać wiernym, częściej, choć w zakresie skromniejszym niż na misjach, zasadnicze, podstawowe prawdy wiary. W niektórych okolicach radzą sobie księża w ten sposób, że zjechawszy się na spowiedź Wielkanocną, głoszą kolejno odpowiednie nauki tak, że spowiedź Wielkanocna połączona jest jakby z pewnego rodzaju króciutkiemi rekolekcjami. Nie bez znaczenia jest także często, zwłaszcza w obecnych ciężkich czasach, sprawa finansowa, rekolekcje mniej kosztują. Najgorzej na tem wszystkiem wychodzi ten, co rekolekcje daje, bo musi bardzo często w pojedynkę zrobić to, co na misji przypada na trzech, a najmniej na dwóch.

Takiemi rekolekcjami parafjalnemi, różniącemi się od misji tylko tem, że nie było na nich pewnych uroczystości misyjnych, była dalsza praca w Goszczy, parafji, należącej do diecezji kieleckiej, od 3 do 7 marca.

Goszcza, położona nad strumykiem tej samej nazwy, na południe od Słomnik, w powiecie miechowskim, była dawniej własnoscią Kapituły krakowskiej, która tu na miejsce drewnianego wybudowała w r. 1737 dzisiejszy kościół murowany. Proboszczem jest tu młody, rzutki, pełen energji i zapału, X. Tadeusz Liburski. Mimo ciężkich czasów zdołał on już wiele zrobić dla przyozdobienia kościoła, więcej jednak jeszcze prac i starań łoży on około żywych kościołów, dusz swych parafjan, korzystając pilnie z wszystkich sposobów i środków, na jakie wskazuje nowoczesne duszpasterstwo.

Dojechaliśmy koleją do Kocmyrzowa, a stamtąd poniosły nas rącze koniki dziedzica Goszczy na miejsce pracy. Lud już czekał na nas w kościele, więc wezwawszy uroczyście Ducha św. na pomoc, zaczęliśmy odrazu. Powiedziałem naukę wstępną o znaczeniu rekolekcyj i należytem z nich korzystaniu, potem lud odśpiewał nieszpory, po nieszporach mówił X. Błachuta o dobrej spowiedzi św. i o spowiedzi generalnej, a że spowiedź Wielkanocna miała się rozpocząć zaraz nazajutrz wczesnym rankiem, więc zrobiłem jeszcze z ludźmi praktyczny rachunek sumienia. Późnym wieczorem skończył się ten pierwszy dzień rekolekcyj. Mając do dyspozycji już tylko dwa dni, poświęciliśmy pierwszy z nich, piątek, generacji starszej, tłómacząc obszernie obowiązki rodziców i małżonków, drugi więcej młodzieży. W niedzielę cała nieomal parafja stanęła przed Boskim Misjonarzem, aby Go ugościć w sercach swoich w uroczystej, generalnej Komunji św.

Dotychczas pracowaliśmy razem z X. Błachutą we dwójkę, teraz musieliśmy się rozłączyć, X. Błachuta miał głosić nauki rekolekcyjne u naszych Konfratrów w Tarnowie, a ja w Pabjanicach, a następnie w więzieniu karnem, t. zw. Brygidkach, we Lwowie.

P a b j a n i c e! Jakżeż żywo uprzytomniłem sobie, wjeżdżając do miasta, chwilę, kiedyśmy tu dwanaście lat przeszło temu, 6-go sierpnia 1919 r., w samą uroczystość Przemienienia Pańskiego przyjechali, by objąć tę nową placówkę pracy misjonarskiej. Nikt nas na dworcu nie witał, rozklekotaną bryką żydowską zajechaliśmy przed wspaniały kościół Najśw. Marji Panny, gdzieśmy mieli pracować. Plebanji nie widać, ludzie mówią, że jest za kościołem. Poszliśmy więc szukać i stanęliśmy jak wryci, przed nami, na terenie, pokrytym wysoką trawa i kałużami, wyrósł nagle ogromny gmach dwupiętrowy. Na olbrzymiej przestrzeni do nas zwróconej kilka zaledwie okien zaszklonych, reszta okien, a raczej otworów na okna, zabita deskami. Nie wiemy czy iść naprzód, czy się cofnąć. Ale oto ktoś wybiega ku nam z drzwi otwartych. To poczciwy Izydor Bogucki z Dawidowa pod Lwowem, który tu przyjechał z X. sup. Szulcem, dziś już nieboszczyk. Za nim rwie mały, kudłaty piesek, który także ze Lwowa przyszedł dzielić dolę i niedolę swego pana. Jeden i drugi tak serdecznie nas wita, że nam

się odrazu lżej zrobiło na sercu. Dowiadujemy się, że X. Superjor pojechał na odpust do pobliskiego Dobronia, by tam z dziekanem, ś. p. X. Augustynikiem, omówić sprawę instalacji. Idziemy do domu, na piętro, po bardzo prymitywnych schodach. Nad nami, hen wysoko, czernieje dach, pod nami przepaściste piwnice. W pokojach nieopisany chaos, obok książek jakieś wiktuały, tu jakiś garnuszek, tam miednica, tu kawał łóżka, tam szafy i t. d. Urządzamy się jako tako, nadrabiając miną, by pokryć wewnętrzne rozczarowanie. Wtem wpada X. Superjor, wesoły, uśmiechnięty. „Wszystko będzie dobrze", powiada, „tylko animuszu nie tracić". I trzeba przyznać z ręką na sercu, że, o ile chodzi o życie domowe zwłaszcza, było nam bardzo dobrze.

W kościele również zastaliśmy pustki. Poza murami, posadzką, dwoma konfesjonałami i oknami podziurawionemi gdzieniegdzie w czasie wojny kulami szrapnelowemi, wszystko prowizoryczne. Ołtarz wielki niewykończony. Z piętnastu medaljonów, mających w rzeźbie przedstawić tajemnice Różańca św., było zaledwie pięć, brakowało rzeźby środkowej. Za to lud naprawdę złoty, przylgnął odrazu do nas, a jeżeli się zdawało czasem, że inaczej, to były to albo pozory, albo jakieś nieporozumienie, albo też nieliczne wyjątki. Niezapomnianą będzie dla mnie pierwsza kolenda. Witano nas jako zwiastunów lepszej przyszłości po strasznych, tak świeżych jeszcze wówczas przejściach wojennych. I rzeczywiście, prawie równocześnie z naszem przybyciem zaczęły pracować potężne, unieruchomione od kilku lat fabryki, zaczęły się czasy lepsze.

Ileż to od tych pierwszych chwil dokonało się zmian na lepsze! Plebanja w znacznej części wykończona, kościół w wspaniałej szacie. Zasługa to wspólna i pierwszego superjora, X. Bartłomieja Szulca i jego następcy, X. Leopolda Petrzyka. Zapewne, pierwsze prace mniej były wdzięczne, niż późniejsze, mniej efektowne na zewnątrz, mniej się rzucały w oczy, przynajmniej temu, kto w nie nie był wtajemniczony, były one jednak fundamentem, co tkwiąc głęboko w ziemi, niewidoczny jest dla oka, a przecież konieczny, by budowla stanąć mogła silnie. Przytem duchowieństwo było przekonane, żeśmy przyszli nie tyle rządzić parafją, co pomagać mu, zwyczajem dawnych Domów misjonarskich, w pracy duszpasterskiej przez misje i rekolekcje, i często o tę pomoc pro-

siło, zwłaszcza że wówczas jeszcze nie było innych zakonów i zgromadzeń w pobliżu. Że tak myśleli i arcypasterze diecezji, świadczyły słowa i ks. biskupa Krynickiego w czasie uroczystości konsekracji kościoła naszego w wrześniu 1922 r. i X. biskupa Zdzitowieckiego, ówczesnego ordynarjusza diecezji włocławskiej, w kilka tygodni później, w czasie odwiedzin Pabjanic. X. sup. Szulc nigdy tej pomocy nie odmawiał, biorąc lwią część zawsze na siebie. Niema prawdopodobnie o tej prawdziwie misjonarskiej pracy notatek, bo X. Szulc nie lubił się bawić w kronikarza, ale przypominam sobie, że w czasie mego nie całe cztery lata trwającego pobytu w Pabjanicach, już na dziesiątki liczyliśmy misje, rekolekcje, głoszone po parafjach, dla szkół, dla duchowieństwa, dla oficerów garnizonu łódzkiego i t. d., i t. d. i to z małemi wyjątkami przez samego X. Superjora.

I oto po latach znów tu stanąłem do pracy na roli Bożej. Przed sobą ujrzałem te same dobre twarze, te same serca spragnione prawdy Bożej, słów otuchy i zachęty do wytrwania na drodze Bożej, mimo wszelkich doświadczeń, pokus i przeciwności. Codziennie wieczorem zapełniał się ogromny kościół chętnymi słuchaczami. Bez porównania mniej było ich na nauce porannej, to też lepiej by było na przyszłość ranne nauki opuścić i przeznaczyć całe przedpołudnie na słuchanie spowiedzi, a nadto jeden dzień, najlepiej piątek, wyłącznie dla niewiast, sobotę zaś dla mężczyzn. Trwały rekolekcje od 6—13 marca, zakończone w niedzielę wspólną Komunją św. i Błogosławieństwem apostolskiem. Po nich odbyły się w Ochronie katolickiej jeszcze rekolekcje dla inteligencji, od 13—17 marca.

Została mi przed świętami tylko jedna praca, rekolekcje dla więźniów we Lwowie, od Niedzieli Palmowej do Wielkiego Czwartku. Były to już drugie rekolekcje moje w tem więzieniu, mieszczącem się od czasów kasaty Józefińskiej w klasztorze po Brygidkach, stąd powszechnie Brygidkami zwane, pierwsze głosiłem w r. 1927. Praca ta z natury rzeczy mniej przyjemna, co ją jednak drogą czyni, to pamięć na naszego św. Ojca, który sam więziony, tak bardzo więźniów ukochał i zrozumiał. Zwykle na zakończenie zapraszał ks. Kapelan ks. Biskupa ze Mszą św., tym razem dla pewnych powodów musiał ks. Komander tego zaniechać.

Tak zakończyła się praca misyjna i rekolekcyjna w okresie Wielkiego Postu. Z radością rozpocząłem wakacje wielkanocne, by i odpocząć po trudach i nabrać sił do nowej orki misyjnej po świętach, która się zapowiadała bardzo ciężką. Czekało nas bowiem od połowy kwietnia do końca czerwca prócz jednych rekolekcyj dziewięć misyj, a wśród nich dwie najcięższego kalibru, w Bargłowie, w Augustowskiem i w Tomaszowie Lubelskim.

Z KRONIKI DOMU NOWOWIEJSKIEGO.

Rozbudowa Małego Seminarjum. 1927—1931.

X. Paweł Kurtyka, który przybył na Nową Wieś w charakterze Superjora domu pod koniec sierpnia 1927 r., tak opisuje rozbudowę Małego Seminarjum:

Sprawa zarządu domem nie nastręczała wiele trudności. Parafja szła niezależnie pod kierownictwem osobnego proboszcza, którym został mój poprzednik X. Antoni Weiss. On kierował nabożeństwami jako prefekt kościoła, bo znał tradycje tutejsze i zwyczaje ludności. Młodzieżą kierował X. Fr. Ziebura już wprawiony do tego urzędu. On układał plany i t. d. Mogłem zupełnie na nim polegać. Prokurator X. Kałężny sumiennie prowadził rachunki, czynił zakupy, kierował służbą, gospodarstwem. Wystarczało poinformować się o wszystkiem. Opał na zimę 1927/28 był już zgromadzony. Długów nie było zupełnie.

Wypadało rozejrzeć się szerzej i pomyśleć, coby zrobić dla dobra i rozwoju Zakładu. Bolączek znalazło się aż za wiele. Przedewszystkiem dom za ciasny. Mieściło się w nim około 130 chłopców, a obliczony był na 70 do 80. Wszędzie panował zaduch, na sypialniach za ciasno. Część chłopców spała w Domu Kat. Musieli tam przechodzić przez ulicę, często z gołą głową. Skutkiem tego przeziębienia, zwłaszcza zimą. Na rekreację nie było żadnego miejsca. W porze deszczowej wszyscy przebywają na schodach, kurytarzach i salach. Ustępy niewystarczające. Cały ogród wilgotny, jeden moczar. Obok domu od strony miasta gospodarstwo z krowami, kilkudziesięciu świniami, gnojowiskiem, na podwórzu gospodarczem. Stąd fetory na dziedzińcu studentów nie do wytrzy-

mania. Do tego zabudowania gospodarcze, to przeważnie rudery, grożące zawaleniem.

Pocieszającem było to, że miasto budowało kanał od Aleji 3. Maja. Już doszli jesienią 1927 r. do Misjonarskiej i Czarnowiejskiej ulicy. Rzeczywiście z wiosną doszli do kościoła, a druga gałąź do ulicy Chocimskiej. Zwrócono się do nas z prośbą, byśmy pozwolili w ulicy Chocimskiej budować pod naszym parkanem. Zgodziliśmy się. Po ukończeniu postawiono parkan zpowrotem, wypadł na środku kanału. Tak stoi dzisiaj, gdyż przy regulacji ulicy zabiorą nam pas 7 m gruntu szeroki wzdłuż naszej posiadłości od ul. Chocimskiej. Po przeprowadzeniu kanału miejskiego głębokości 5 m znikła wilgoć zupełnie. Wobec tego pragnąłem, aby dom połączyć czemprędzej z kolektorem miejskim. Zabrałem się zbyt gorliwie. Kazałem zrobić plany kanalizacyjne niejakiemu p. inż. Bielańskiemu. Magistrat ich nie przyjął, straciliśmy 250 zł. Drugie plany za 150 zł. zrobił radca Magistratu Miedniak. Na ich podstawie wykonał kanały Riedel. Spieszyłem się z tem, bo dotychczasowe odwodnienie realności szło po powierzchni krytemi ściekami, które zresztą nieźle funkcjonowały. Kloaka jednak główna mieściła się w suterenach pod domem, skąd odpływ prowadził do ogrodu, a stąd rowem płynęło wszystko na ulicę. Uchodziło to niespostrzeżenie, jak długo nie było kanalizacji miejskiej. Po jej przeprowadzeniu zwłaszcza w czasie pogodnym fetor był niemożliwy. Często zachodzila policja, zwracała uwagę. Tłumaczono się, jak się dało. Wreszcie po Wielkiej Nocy 1928 przystąpiliśmy do robót. Plany były gotowe, kosztorys złożył inż. Riedel, opiewał na prawie 4 tysiące zł. X. Wizytator dał dwa tysiące, z kościoła miałem niespełna 2 tysiące, resztę dał dom. Prócz owych czterech tysięcy za roboty trzeba było jeszcze kupić wszystkie rury betonowe i te kosztowały przeszło tysiąc złotych. Zwoziliśmy sami. Taksa w Magistracie za połączenie z kolektorem wynosiła 4.500 zł. Nadto roboty magistrackie na ulicy około 500 zł. Okazało się, że inż. Riedel nas oszukał. Wykonał znacznie więcej, niż było w planach, twierdząc, że to się mieści w kosztorysie i zażądał o 800 zł. więcej. Opuścił 300 zł. i tych 500 zł. nie chciałem mu zapłacić. Kiedy jednak domagał się przez adwokata, zapłaciłem, by nie chodzić po sądach. Kanalizacja jest przeprowadzona solidnie. Od ulicy

przed domem jest kanał o świetle 30 cm., przewidziany na przedłużenie wzdłuż nowej części domu. Pod domem do podwórza idzie przekrój 25 cm. Z kolektorem miejskim są tylko dwa połączenia, jedno w ulicy Misjonarskiej przez bramę równolegle do frontu domu, drugie połączenie w ul. Juljusza Lea za kościołem. Do pierwszego połączenia prowadzą wszystkie zlewy domu i rynny domu i rynny kościoła od południa, do drugiego są ujęte rynny kościoła od północy.

Z opłatą magistracką 4.500 zł. także był kłopot. Po długich staraniach i chodzeniu do prezydenta miasta p. Rollego rozłożono nam tę opłatę na raty miesięczne na przeszło 2 lata. Zdawało się, że wszystko korzystne. Nas nie zawiadomiono urzędownie o tem, ale po niejakim czasie przysłano egzekucję i ściągnięto 50 zł. egzekutnego. Znowu byłem u prezydenta Rollego. Kazał egzekutne zwrócić. Ale z biurami, kasami nie mogliśmy dojść do ładu. Doniesiono nam o rozłożeniu opłaty na raty, ale równocześnie nałożono 12 procent rocznie. Wobec tego spłaciliśmy wszystko odrazu, by się nie narażać na procenty. O owe 50 zł. egzekutnego napisałem skargę do Prezydjum miasta na niedbalstwo urzędników, to poskutkowało, sprawa załatwiona. Równocześnie przed domem od ul. Misjonarskiej posadziłem z wiosną 1928 6 akacyj kulistych i urządziłem trawnik cięty.

Z kanalizacją całej dzielnicy i naszej realności łączy się urządzenie ogrodu. Dotychczas uprawiano pod jarzyny bardzo mało, bo było zbyt mokro, zimny moczar, a powtóre nie było dość braci. Zastałem jednego brata Franciszka w kościele, który miał zakrystję, kościół, był organistą, pomagał w kinie, był ślusarzem i stolarzem. Drugi brat, staruszek Walenty, który miał dość pracy w polu. Wobec tego postanowiłem przyjąć świeckiego ogrodnika, ogród cały osuszony zaorać, urządzić inspekta, by ogród coś przyniósł. Oporu było dużo, zwłaszcza u starszych, ale co było robić. Posadziłem 30 młodych drzewek w ogrodzie zaraz w jesieni 1927. Jeden ogrodnik odszedł. Pensja 50 zł. miesięcznie wydawała mu się za mała, a miał w tem kompletne utrzymanie. Poszedł. Przyszedł drugi, który gorliwie zajął się ogrodem. Prawie cały ogród zaorało się. Celem nawodnienia rozprowadziłem po całym ogrodzie od studni wodociągi i zbiorniki tak, by w nich

woda nagrzała się na słońcu do podlewania. Kosztowało to przeszło 900 zł. Lato jednak 1928 było niesłychanie suche. W pierwszym roku koszta włożone nie pokryły się w gotówce, dla domu jednak mieliśmy poddostatkiem ogrodowizny, nie udały się tylko buraki, tych trzeba było dokupić. W r. 1929 w zimie kazałem zrobić 30 okien inspektowych i pozakładać nowe skrzynie, co kosztowało około 500 zł. Sądzę, że się to z latami wróci. W podobny sposób myślałem nawodnić i łąki stradomskie, które wobec kompletnego osuszenia postanowiłem zamienić na ogród warzywny. Część zaoraliśmy już w jesieni 1928, z wiosną ma się to już użytkować. Resztę zasialiśmy sztucznym nawozem i posialiśmy trawą po gruntownem zbronowaniu. Włożyło się w to znowu około 400 złotych.

Studnię (kosztowała przeszło 600 zł.) dla domu urządziliśmy jesienią 1927 r. Służyła ona później do gaszenia wapna w zimie 1927/28. Drugą studnię urządziliśmy na kleparskiem gospodarstwie, tak, by służyła dla ogrodu kleparskiego i dla nas. Stąd trzeba przeprowadzić podobne wodociągi na łąkę stradomską, jak urządziło się w naszym ogrodzie. Koszta tej studni 700 do 800 zł. ponieśliśmy na połowę z Kleparzem. Ażeby można było użytkować łąkę stradomską, jako ogród, należało wszystko otoczyć parkanami. Parkan od ul. Kawiory był na pół rozebrany, rozkradziony. Z wiosną 1928 postawiliśmy nowy, a od zachodu daliśmy część siatki drucianej, część drutu kolczastego. Siatka okazała się niepraktyczną, bo ma za duże oczka, skutkiem czego dzieci ją niszczą. Wszystko to wykonał z wielkiem poświęceniem br. Stanisław Fasula jeszcze jako seminarzysta. Później udał się na Kleparz do Seminarjum i po ślubach powrócił po Wielkanocy 1929 do nas. Złodziejom nie podobało się to ogrodzenie, niszczyli je. Ale zczasem się oswoją. Celem zasłonięcia domu a zwłaszcza ogrodu, a w pierwszym rzędzie łąki stradomskiej od wichrów, które tu są szalone, postanowiłem wszystko od zachodu obsadzić drzewami i krzewami. Dołem naokoło łąk ma być głóg, jako żywopłot, a następnie kasztany z klonami, dalej pasami brzozy, dęby i jesiony. W tym celu urządziłem dwie grzędy tych drzew, które później będzie się w grunt wysadzać. W ten sposób zasłoni się ogrody i od ciekawych. Uważam to za ważny krok, konieczny

i bardzo pożyteczny. O drzewa po ich zasadzeniu niema żadnej troski, a jako materjał są cenne.

Latem 1928 r. br. Franciszek pomalował wszystkie okna w domu Kat., bo dotychczas nigdy jeszcze nie widziały farby, skutkiem czego niektóre spróchniały. Latem 1929 ma się wymalować wszystkie drzwi. Do zakrystji zaprowadziło się wodociąg i sprawiło lavabo. Zakrystję się odmalowało. Dwa kielichy się wyzłociło po 40 zł. jeden. Sprawiłem nowy, cały srebrny. Już dawno wspominano o malowaniu kościoła. Osobiście byłem za budową najpierw domu, a później za robotą około kościoła. Radziłem się malarza Orleckiego. Ten oglądał kościół i polecił przedewszystkiem wylepić strych na 10 cm. gliną, bo sklepienie przemaka, skutkiem czego przeglądają cegły. Zabraliśmy się do tego w r. 1928. Zwieźliśmy kilkadziesiąt fur gliny (fura od 6—10 zł.). Wynajęliśmy kobiety do pracy, ale robota szła ciężko, powoli, zdołaliśmy część wykonać. Zachodzi jednak obawa, czy glina w takiej ilości nte obciąży zbytecznie kościoła. Z drugiej strony wylepienie jest konieczne i dla ochrony przed zimnem, bo kościół jest niesłychanie zimny. Zima 1927/8 była lekka, kaloryferów nie uruchomiliśmy. W r. 1928/9 postanowiłem je uruchomić. W tym celu wyreperowaliśmy je. Grzały dobrze. Ale codziennie palić było niemożliwe. W ciągu tygodnia zamarzały i pękały. Palono w soboty popołudniu, w niedzielę wczas rano przy wielkich mrozach dochodzących do 37 stopni C., które trwały długo, tak, że mróz 20° C uchodził za lekki przymrozek, zamarzały w nocy. Zdaniem mojem kościół jest zbyt samotny, trzeba do niego dobudować dom i zakrystję. Prezbiterjum należy wydłużyć o parę metrów i do niego przyczepić zakrystję piętrową tak, by na górze pomieścić skarbiec. Osobna zakrystja musi być dla arcybractwa Naśw. Sakramentu i dla przygotowania procesji, a osobna zaciszna zakrystja dla księży. Nadto konieczna jest ubikacja dla spowiadania głuchych. Między domem a kościołem poprowadzić kurytarz, który będzie służył dla procesji. Nasuwa się i inne rozwiązanie. Kościół okazuje się za ciasny, zwłaszcza w Boże Narodzenie, Wielkanoc, w czasie misyj, rekolekcyj itd. Czyby od południa niedobudować jeszcze jednej nawy bocznej. W innym kierunku powiększenie

jest niemożliwe. W r. 1929 myśleliśmy przystąpić do malowania kościoła.

Dla pamięci warto jeszcze wspomnieć, że tak strasznej zimy, jaką przetrzymaliśmy w r. 1928/9 najstarsi nie pamiętali. W przeciągu 3 miesięcy termometr nie dochodził do zera. Długi czas z licznemi nawrotami wskazywał 30 do 37⁰ C. W okolicy podobno dochodziło do 40⁰ C. Drzewa pękały, ptaszki, zwierzęta ginęły. Śnieg padał często i zalegał grubą, zbitą warstwą. Drogi za miastem tworzono sobie przez pola, dawne zwłaszcza we wąwozach zasypało nie do przebycia. Coraz częściej wspominano, że wilki kogoś rozszarpały, nawet w lesie niepołomickim. Wodociągi, klozety zamarzały, pękały. Na mieście zamarzały wodociągi, ludzie nie mieli wody. U nas w suterenach zamarzało, zakrywaliśmy okna snopami słomy, nie byliśmy przygotowani na takie zimno. Zeszłej zimy tylko raz termometr wskazywał 25⁰ C, a już wydawało się ciężko. Ponieważ na mieście ludzie odmrażali masami uszy i nosy, Magistrat porozstawiał kosze z płonącem węglem, by ludzie mogli się ogrzać. Urządzono herbaciarnie tanie lub bezpłatne dla ubogich. Myśmy także taką bezpłatną herbaciarnię utworzyli. Korzystało z niej dziennie około 100 dzieci. Troskliwie prowadził ją X. Kałężny.

Najwięcej jednak na sercu leżało mi dobro studentów, o nich myślałem, by stworzyć im warunki zdrowe, miłe, dać im sale naukowe, kaplicę, salę gimnastyczną, aulę na ważniejsze występy itd. Ażeby im ułatwić rekreację, postanowiłem wybudować dużą werandę z drzewa, przylegającą do domu od południa, plan był już gotowy zatwierdzony przez Magistrat. Jednakże X. Wizytator orzekł, że będzie się rozbudowywać celowo zakład, wobec czego prowizoryczna sala gimnastyczna jest zbyteczna. Ponieważ według słów X. Wizytatora przebudowa a raczej rozbudowa była pewna i to natychmiast, trzeba było czemprędzej usunąć od domu gospodarstwo. X. Wizytator pragnął, by nasze gospodarstwo złączyć z kleparskiem po drugiej stronie ulicy Misjonarskiej. Przemawiały za tem ważne względy. Przedewszystkiem według przepisów magistrackich w Nowej Wsi wolno będzie gospodarstwo prowadzić jeszcze aż do 1935 r., zatem tylko kilka lat, Kleparz posiadał zabudowania obszerne, a były prawie puste lub zajęte przez inwentarz lichy tak, że podobno do gospodarstwa dokładali. Zachodziła

tylko obawa, że się nie pogodzi obsługa. Wobec woli X. Wizytatora, Kleparz poszedł nam na rękę, inwentarz wysprzedał zupełnie, oddał nam większość zabudowań, pobudowaliśmy chlewiki, wiele ulepszyli itd. Latem wczesnem 1928 r. przeprowadziliśmy tam nasz inwentarz. Czas był najwyższy, bo nasze rudery się waliły, a zimy 1928/9 r, nie przetrzymałoby u nich bydło. Układu stałego nie zrobiono między Nową Wsią a Kleparzem, stanęło jednak na tem, że damy wikt Kotyrbom, dawnym służącym kleparskim oraz 1 brat kleparski będzie mieszkał na Nowej Wsi do obsługi ogrodu kleparskiego, nadto dawaliśmy wikt jednemu ze służących kleparskich. Owoce i jarzyny należały do Kleparza, a pasza dla nas, myśmy natomiast objęli pieczę nad parkanami. Obecnie jednak zrzekli się naszej opieki nad parkanami i chcą sobie zabierać trawę, która zresztą nie przedstawia wielkiej korzyści. Trzeba przyznać, że X. Superjor Karol Michalski wraz z zabudowaniami odstąpił nam dużo paszy nagromadzonej na strychach. Była ona znacznie uszkodzona, spleśniała, stoczona przez szczury, po wysuszeniu, po soleniu, jeszcze dało się użyć. Skoro tylko inwentarz przeprowadzono, zabraliśmy się do burzenia wszystkich ruder z wielką satysfakcją, że już dłużej nie będą razić naszych oczu a zwłaszcza węchu.

Najważniejszem dziełem, do którego zabraliśmy się, to rozbudowa zakładu. Dawno o niej już wspominano jako o konieczności, myślano o planach, ale brak funduszów wszystkich oblewał zimną wodą, panowało zdanłe, że to ponad siły. Zwłaszcza uznano to za utopję od czasu, kiedy rozpoczęto budowę kościoła i małego seminarjum w Bydgoszczy, co pochłaniało wielkie sumy. Tymczasem tutejsze małe seminarjum zyskiwało coraz więcej młodzieży. Mój poprzednik X. Antoni Weiss rozszerzył je nawet w ten sposób, że cały Dom Kat. zamienił na sypialnię dla chłopców, tak, że zakład obejmował 150 studentów. Wskutek narzekań parafjan jedną salę zlikwidowano w Domu Kat. i zamieniono na kino. Zakład mieścił już tylko 130 wychowanków. Warunki higjeniczne i naukowe były ciężkie. Państwo i miasto coraz częściej zaglądały do domu. Wizytator szkolny z ramienia Kuratorjum, lekarz z fizykatu miejskiego zwracali uwagę na różne braki. Wobec tego pomyślałem, że tam, gdzie dzieło Boże, gdzie ciężko

pracuje się w dobrej sprawie, muszą fundusze znaleźć się do rozbudowy i stworzenia warunków ludzkich, możliwych, Bóg nam dopomoże. Zamiast wkładów w Bydgoszczy należało zająć się właściwem urządzeniem już istniejącego zakładu. Wcześniej pomyślał o tem X. Wizytator Kryska, który równocześnie z przebudową domu na Kleparzu dla Seminarjum Internum polecił architektowi Piwowarczykowi robić zdjęcia już istniejących budynków na Nowej Wsi i polecił sobie przedłożyć szkice możliwej rozbudowy. Było to wiosną i latem 1927 r. Pierwszy szkic ewentualnej rozbudowy był z różnemi załamaniami wzdłuż ulicy Misjonarskiej. Ten się niepodobał. Drugi projekt polegał na dobudowaniu do już istniejących zabudowań konstrukcji na wzór gmachu ks. Siemaszki na Prądniku. Front miał iść na południe, a w głębi ku północy miało się znajdować podwórze nakryte szklanym dachem, które miało służyć jako sala rekreacyjna. Plan ten miał niedogodność ze względu na brak słońca, dużo sal miałoby światło zachodnie, północne lub wschodnie, powtóre plan był drogi i to zaważyło, że go zarzucono. Postanowiono istniejący dom przedłużyć i załamać ku południowi lub ku północy. X. Wizytator Kryska kwestji nie rozstrzygnął, tem bardziej, że planów jeszcze nie chciał definitywnie sporządzać aż będą fundusze gotowe, tymczasem osobiście chodził we Warszawie za pożyczką pół miljona złotych. Cegłę zamówił X. Wizytator już w grudniu 1927 r. tak, że do marca 1928 r. miano dostarczyć 300.000. Pierwsze fury przybywały 23 stycznia 1928 r. Zaczęły się pierwsze kłopoty. Trzeba było pilnować wozów, bo okazało się, że brakowało cegły, celem osuszania stawiano puste kozły. Pilnował z poświęceniem brat Stanisław Fasula. W czerwcu wyjechał X. Wizytator do Ameryki Południowej a stąd wprost do Północnej, wrócił na Boże Narodzenie. Równocześnie nalegałem na przyśpieszenie planów, bo zanim się je wykończy, uzyska zatwierdzenie Magistratu, upłynie kilka miesięcy, cegła się psuje. Należało jeszcze przed zimą za jakąkolwiek pożyczkę cegłę wybudować.

Polecono architektowi zrobić szkic. Dom cały wyglądałby jak litera „Z". Podwórze byłoby zacieśnione, dom końcem przybliżałby się zbyt ku ul. Misjonarskiej, która tam się załamuje, światło doskonale miałaby jedna tylko sala końcowa, parcelę całą

zepsułoby się zupełnie, dalsza rozbudowa byłaby wprost niemożliwa, a i tak trzeba wiele sal, które nie powinny nawet mieć zbyt wiele słońca. Wobec tego X. Lewandowski polecił architektowi Piwowarczykowi sporządzić nowy projekt ze załamaniem do ulicy Juljusza Lea, a ku południowi miała być dobudowana sala gimnastyczna. Ostatecznie ten plan obecny został przyjęty i wykonany w rezultacie. (C. d. n.).

X. LEOPOLD PETRZYK C. M.

Historja parafji Najśw. Marji Panny w Pabjanicach.

(Ciąg dalszy).

2. „Dom Katolicki".

Po doprowadzeniu świątyni materjalnej do należytego wyglądu, trzeba było zająć się stokroć ważniejszym kościołem, bo kościołem ludzkich serc. Naprzód jednak należało przygotować teren tej działalności t. j. wznieść Dom Katolicki, jako ośrodek życia parafjalnego.

Dom Katolicki powstał na miejscu dawnych zabudowań gospodarskich. Pokazało się bowiem, że w miarę gwałtownego rozwoju miasta niepraktycznem i zbytecznem jest hodowanie krów i innego dobytku. Trzeba było zlikwidować oborę, nie rentującą się już teraz. Teren zaś, na którym dotąd stały zabudowania gosp. znakomicie nadawał się na Dom Katolicki. Leży bowiem przy plebanji, łatwo księżom dochodzić na zebrania, osobne wejście do bocznej, cichej ulicy, umożliwia spokojną pracę. To też wykorzystując dotychczasową budowlę, wzniesiono dom według projektu inż. Kowalskiego. Na pierwszem piętrze powstała wielka sala 27 m długa, a 10 m szeroka ze sceną teatralną i kabiną kinematograficzną. Na dole zaś szereg pokoi, w których dziś mieszczą się: Herbaciarnia Stow. Pań Miłosierdzia, Przedszkole dla 80 dzieci, Czytelnia Stow. Mężczyzn Katolickich i Bibljoteka Relig.

Budynek ten, pięknie się z zewnątrz przedstawiający, został zbudowany wyłącznie kosztem Zgromadzenia Księży Misjonarzy, gdyż parafjanie sami niebogaci, a dopiero co wyzbyci z pieniędzy ofiarowanych na wykończenie kościoła, nie byli w możności coś na ten cel przeznaczyć. Dom ten jednak był bezwzględnie potrzebny, jeśli się chciało jakąkolwiek katolicką pracę zacząć na

szerszą skalę, tak konieczną w tem podminowanem komunizmem środowisku.

Wkrótce pokazało się jak niezbędnem jest tego rodzaju ognisko ruchu Akcji Katolickiej. Pokoje dolne stale spełniają swe społeczne zadania. W przedszkolu dzieciaczki biednych robociarzy, dziś bez pracy błąkających się, mają ciepły kąt, pożywienie (często jedyne na cały dzień) i możność poznania Boga. W Herbaciarni wydaje się obiady gratisowo, względnie za minimalną opłatą, coraz wzrastającym rzeszom ludzi naprawdę głodnych. W Czytelni mężczyźni zbierają się wieczorami na pogawędkę, czytanie gazet, gry i słuchanie radja.

Sala na górze, mogąca pomieścić do 600 osób, stale zajęta. Przedstawienia, teatr, odczyty apologetyczne, akademje okolicznościowe, zebrania protestacyjne (przeciw projektowi reformy małżeńskiej, zachłanności żydowskiej, zamachowi na spoczynek niedzielny itp.) odbywają się wśród jej ścian, dając wymowny dowód jej konieczności.

Dom Katolicki poświęcił J. E. X. Biskup W. Tymieniecki dnia 30 listopada 1930 r. po uroczystych nieszporach.

3. Życie wewnętrzne parafji Najśw. Marji P.

Parafja Najśw. Marji P. liczy w mieście samem (bez wsi) według ostatniego spisu ludności z 1931 r., 21.300 osób. Prócz tego należą do niej cztery większe wsie i cztery przysiółki. Razem więc liczba parafjan wynosi około 25.000 osób. Przeciętnie w roku jest urodzin 580 dzieci, małżeństw 270 i zgonów 320. Chorych zaopatruje się ostatniemi Sakramentami św. około 300 osób.

Niezmiernie pocieszającym jest stały wzrost rozdanych Komunij św. Kiedy w 1928 r. udzielono 41.200 Komunij św., to w 1931 r. przystąpiło do Stołu Pańskiego już 73.000 osób, a ten rok jeszcze pod tym względem radośniej się przedstawia, bo możliwe, że dojdzie do 100.000; do dnia dzisiejszego (27/XI) rozdano 94.000. Jestto najwięcej upragniony dowód żywotności parafji.

W domu pabjanickim pracuje 5 księży. Dwóch spełnia obowiązki wikarjuszowskie, dwóch uczy w szkołach. Superjorem i proboszczem jest niżej podpisany. Wikarjusze: X. Wawrzyniec Strzelczyk i X. Józef Stopka. W gimnazjum żeńskiem i semin. naucz.

prefektem jest X. Jan Wagner, w szkołach powszechnych uczy X. Franciszek Malinowski. W niższych klasach szkół powszechnych, tak licznych w naszej parafji, pracują jako katechetki siostry ze Zgrom. Miłości Bożej.

Nadto księża nasi obsługują Szpital Kasy Chorych i Sierociniec-Ochronkę. Prócz tego spowiadają siostry 3 zakonów, jakie osiedliły się w Pabjanicach (Siostry Felicjanki, S. Miłości Bożej i ukryte zakonnice, pracujące jako pielęgniarki w Miejskim szpitalu. Razem około 35 osób).

Przez Pabjanice przesunęli się prócz wyżej wspomnianych: X. Chrucki Józef, X. Błażków Józef, X. Musiał Kazimierz, X. Głowala Paweł, X. Rufin Weiss, X. Lenko Józef, X. Kalla Stanisław, X. Górski Antoni, X. Gąsienica Jan, X. Wahrol Franciszek, X. Olszówka Teodor, X. Sołtysik Tomasz, a przedewszystkiem X. Szulc Bartłomiej, który jako superjor i proboszcz zakładał fundamenta pod ten dom misjonarski.

4. Stowarzyszenia.

Największą ilość pracy księży pochłaniają stowarzyszenia, bardzo liczne w naszej parafji, bo robotnicy wogóle są bardzo uspołecznieni i lubią się zrzeszać. Przytem w związku z organizowaniem w całej Polsce Akcji Katolickiej i nasza parafja nie mogła pozostać w tyle, musiała powołać do życia odpowiednie Stowarzyszenia. Dla jasności trzeba je podzielić na 3 grupy: a) Stowarzyszenia należące bezpośrednio do Akcji Katolickiej; b) Stowarzyszenia pokrewne jej ideowo; c) Bractwa.

We wszystkich tych stowarzyszeniach pracują księża jako patronowie.

a) Stowarzyszenia należące do Akcji Katol.

1. *Stowarzyszenie Mężczyzn Katolików.* Założone przed kilku laty ma na celu zbliżenie męskich serc do Chrystusa i rozbudzenie w nich ambicji katolickiej, odwagi w wyznawaniu wiary św. i apostołowania jej wśród tych kolegów, co od katolicyzmu odeszli. Skupia już dziś 210 członków, zbierających się w Domu Katol. dwa razy w miesiącu na zebrania dyskusyjne, przeważnie apologetyczne. Stara się ośmielić członków do publicznych występów

w obronie wiary św. i katolickich zasad. Prowadzi własną czytelnię codzień otwartą w wieczornych godzinach. Sprawiło radjo dla urozmaicenia zebrań. W każdy pierwszy piątek miesiąca wieczorem biorą członkowie gremjalny udział w specjalnej dla mężczyzn, godzinnej adoracji Najśw. Sakramentu. Przy Stowarzyszeniu istnieje Kasa Pogrzebowa, która w razie śmierci kogoś z rodziny członka lub jego samego udziela zasiłku w wysokości 180 zł. Patronem jest X. Proboszcz.

2. *Koło Kobiet Chrześcijańskich.* Jedno z najstarszych stowarzyszeń parafji, liczy bowiem już 12 lat życia. Skupia 220 członkiń. Zebrania odbywają się również dwa razy w miesiącu, urozmaicane odczytami i obrazami świetlnemi. Celem Koła jest wyszkolenie matki, by mogła po katolicku wychować swe dzieci Przy Kole istnieje Kasa pogrzebowa, dająca w razie śmierci członkini lub kogoś z jej rodziny 170 zł. Patronem jest X. Malinowski.

3. *Sodalicja Młodzieży Męskiej.* Niewielu liczy członków, niestety. To dziś najtrudniejszy element do zorganizowania, na gruncie czynnego katolicyzmu. Dawniej istniało Stow. Młodzieży Polskiej, bardzo liczne; zabił je jednak, a raczej wypaczył zasadniczy cel, na nim wyrosły Klub piłki nożnej tak, że sport wysunął się w działalności Stowarzyszenia jako pierwszy, a raczej jako jedyny cel. Trzeba było tak rozumiane stowarzyszenie zlikwidować, gdyż nie dało się mimo wysiłków uzdrowić.

Sport jest w każdem męskiem dzisiejszem stowarzyszeniu dla młodzieży konieczny, nie może jednak zniszczyć zasadniczego celu katolickich organizacyj, które przecież mają przedewszystkiem wyrabiać charaktery, a nie odnóża. Sodalicja liczy członków 24. Jako moderatora ma X. Stopkę.

4. *Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej* skupia ponad 80 członkiń. Wychodzi z założenia, że z bagna demoralizacji w jaką wpadła ludzkość, może mężczyznę wydobyć tylko czysta kobieta. Toteż placówka ta, która jest jednym z ogniw olbrzymiego stowarzyszenia, obejmującego całą Polskę (240.000 członkiń) ma właśnie na celu podtrzymanie „Młodych Polek“ w jasności życia w okresie dziewczęcym. Stowarzyszenie ma własną bibljotekę liczącą ponad 100 tomów. Zbiera się, jak zresztą wszystkie stowarzyszenia dwa razy w miesiącu. Patronem jego jest X. Wagner. Członkinie prenume-

rują 52 egz. „Młodej Polki“, organu Stowarzyszenia. Przy Stowarzyszeniu istnieje sekcja robót kobiecych, nauka szycia i haftu.

5. *Stowarzyszenie Dzieci Marji.* Pokrewne bardzo poprzedniemu, ale mające silniejszy odcień religijny o specjalnem zabarwieniu, mianowicie: wytknęło sobie ten sam cel wyrobienia charakteru i uchronienia dziewczęcych serc przed upadkiem w najtrudniejszym dla nich okresie życia, ale ze szczególnym kultem dla Niepokalanej Dziewicy, jako swego wzoru. Skupia 110 panien, które są bardzo ruchliwe. Mają rzeczywiście doskonale zgrany chór, sekcję oświatową, sekcję robót kobiecych, Koło dramatyczne i własną kilkusettomową, nowoczesną bibljotekę. Dyrektorem jest X. Malinowski. Stowarzyszenie istnieje już 11 lat.

6. *Krucjata Eucharystyczna Dzieci.* Chcąc przygotować kadry przyszłych uświadomionych, konsekwentnych katolików, trzeba zacząć pracę od dzieci. Starsi, zwłaszcza obecne pokolenie, co przeszło bolesne cięgi wojenne, znękani życiem, zgorzkniali, zobojętniali są zazwyczaj na wszelkie odruchy odrodzeniowe. Przyszłość katolicyzmu zależy od dzieci. Trzeba więc dzieci prowadzić do Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie, uczyć przyjacielskiego zżycia się z Nim, wskazywać piękno prawdziwej wiary, budzić dumę, że się jest katolikiem. Z tej myśli wyrosło stowarzyszenie, organizujące wyłącznie dzieci pod nazwą „Krucjata Eucharystyczna Dzieci“ W parafji naszej istnieje od trzech lat skupiając już do 600 dzieci szkół powszechnych od trzeciego oddziału począwszy. Nie łatwo zostać „rycerzykiem“ czy „rycerką“. Trzeba mieć nienaganne zachowanie, no i nigdy nie dostać w świadectwie stopnia niedostatecznego. To zasada, od której nigdy się nie odstępuje, a która ma wielkie znaczenie pedagogiczne, bo idzie na rękę pracy nauczycielstwa. Zebrania odbywają się co dwa tygodnie. Jedno zebranie w miesiącu ma Ks. Proboszcz, drugie Siostry Katechetki (ze Zgromadzenia Sióstr Miłości Bożej). Zebrania są interesujące dla dzieci, gdyż po pogadance na temat religijny względnie moralny, następuje odczyt z obrazami świetlnemi, śpiewy i przedstawienie kinematograficzne. Dzieci prenumerują miesięcznie 400 egz. „Orędowniczka“, specjalnego organu Krucjaty.

Co miesiąc cała Krucjata przystępuje do Komunji św. W każdą sobotę o 3 godz. popołudniu jest spowiedź wyłącznie dla dzieci.

W poszczególne soboty miesiąca przystępują dzieci do spowiedzi według szkół, Krucjata ma własną bibljoteczkę liczącą około 300 książek, którą same dzieci prowadzą.

7. *Sodalicje Marjańskie w Gimnazjum Żeńskiem i Seminarjum Nauczycielskiem.* Skupia kilkadziesiąt członkiń pod moderatorem X. J. Wagnerem. Praca ściśle sodalicyjna.

8. *Propaganda Prasy Katolickiej pod wezwaniem św. Pawła.* Jest to czysto nowożytny kierunek pracy katolickiej. Istnieje 3 lata. Chce przyczyniać się do rozszerzenia Królestwa Bożego na ziemi, bronią tak dziś przez wrogów wiary św. znakomicie wyzyskiwaną, jaką jest broszura, książka i gazeta. Członków jest stosunkowo niewielu, bo zaledwie 32, działają jednak bardzo ofiarnie. Zasadniczy cel, to pozyskiwanie stałych prenumeratorów pism katolickich. W ten sposób rozchodzi się stale w parafji co tydzień 400 egz. „Słowa Katolickiego", organu diecezjalnego i 110 egz. „Przewodnika Katolickiego". Dalej Propaganda utrzymuje szafkę u wejścia do kościoła, stale otwartą, w której znajdują się wciąż odświeżane, aktualne broszurki. Wchodzący do świątyni wybierają interesujące ich książeczki, a należność wrzucają do skarbonki. W ten sposób kilka tysięcy książeczek wsiąkło w parafję i nietylko nie było jakichś kradzieży, ale owszem w skarbonce powstała nadwyżka pieniężna, którą można rzucić na zakup nowych broszur. Propaganda zajmuje się również wyszukiwaniem chorych w parafji. Zawiązało wśród nich „Apostolstwo Chorych" dostarczające im tzw. „Listów do Chorych", drukowanych w centrali lwowskiej i podtrzymujące ich w uczuciach religijnych.

Dla chorych urządza się w roku specjalne nabożeństwo.

Propaganda ufundowała i prowadzi zaczątek bibljoteki relig., która składa się z setki najnowszych książek z dziedziny apologetyki i ascetyki, których brak dotkliwie dawał się odczuwać.

Patronem jest Ks. Proboszcz. Obrót kasowy roczny przekracza 3.000 zł. Zebrania odbywają się raz na tydzień. Na nich członkowie zaznajamiają się z treścią książeczek, które potem kolportują i rozbudzają sobie gorliwość apostolską. (C. d. n.).

X. Dr. HIERONIM FEICHT.

X. Michał M. Mioduszewski C. M. (1787—1868).

(Ciąg dalszy).

Z nakreślonego tu obrazu wychowania muzycznego w seminarjum świętokrzyskiem w Warszawie, nie możemy wysnuć zbyt wielu wniosków, odnoszących się do kwalifikacyj muzycznych X. Mioduszewskiego. Z takiej szkoły mógł wyjść dobry praktyk chóralny, zdolny w przyszłości do nauczania chorału młodzieży sobie powierzonej i ostatecznie niezły organizator amatorskich wielogłosowych zespołów śpiewaczych. Jest jednak rzeczą wątpliwą, czy tylko takie kwalifikacje byłyby wystarczające dla złożenia tego rodzaju śpiewnika, jakim jest Śpiewnik kościelny oraz Pastorałki i kolędy X. Mioduszewskiego. Otóż pomimo braku wiadomości o nauczycielu muzyki, mamy jednak dwa źródła świadczące o tem, że X. Mioduszewski zdobył wyższy zasób wiadomości muzycznych nad te, które ogółowi alumnów, nawet pod względem muzycznym uzdolnionych, daje nauka i praktyka muzyczna w seminarjum. Pierwszem źródłem jest osobiste wyznanie X. Mioduszewskiego „Jeżeli zaś na niektórych pieśniach potrzebnych zbywało, lub melodji własnej do niektórych nie dostawało, to nowe ułożyłem“. [1]) Drugie, o ile ono jest zupełnie pewne, potwierdza wartość pierwszego. W bibljotece Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego znajduje się w czterech zeszytach zawierających różne kompozycje pod numerami 4648—4667, opracowane kolędy A n i o ł p a s t e r z o m m ó w i ł (nr. 4651) na kwartet smyczkowy, odznaczające się całkowitą poprawnością i płynnością i świadczące

---

[1]) „Akt darowizny“ zawarty w Księdze druków i wydawnictw stradomskich, Kraków, Bibl. Księży Misjonarzy.

o pewnem opanowaniu techniki i wprawie. Jeżeli z ostrożnością odnosimy się do tego źródła, mimo iż trzy głosy posiadają wyraźnie zaznaczone nazwisko X. Mioduszewskiego (a nazwisko „X. Matuszewski" w *Violino secundo* jest widoczną pomyłką), to powodem naszej ostrożności jest jedynie fakt, iż opracowanie to byłoby dotąd jedyną znaną nam kompozycją X. Mioduszewskiego i to znajdującą się nie w Krakowie lecz w Warszawie, a w dodatku kopją spisaną dosyć późno, gdyż połączone tam daty, świadczące coprawda o wykonywaniu tego utworu, rozpoczynają się dopiero od r. 1885. Bądź co bądź, tylko tyle światła zdołaliśmy rzucić na sprawę muzycznego wykształcenia X. Mioduszewskiego.

Z chwilą ukończenia studjów filozoficzno-teologicznych i po otrzymaniu święceń kapłańskich (r. 1810) został X. Mioduszewski przeznaczony do pracy pedagogicznej (a nie misjonarskiej czy parafjalnej) w seminarjum świętokrzyskiem. Mimo braków bezpośrednich wiadomości świadczą o tem następujące szczegóły: X. Mioduszewski pozostał w Warszawie, gdzie funkcje parafjalne spełniał tylko wyjątkowo, bo n. p. w Księdze zapowiedzi parafji św. Krzyża zauważamy jego nazwisko zaledwie siedm razy w czasie czteroletnim; tylko tyle razy zawierano w jego obecności małżeństwa (27. XI. 1810, 3, XI. 1811, 4. II. 1812 w kościele Dominikanów, 4. X. 1812, 15. II. 1813, 15. VIII. 1814 i 23. VIII. 1814).

Również pośrednio tylko dowiadujemy się co, względnie na jakim kursie napewno wykładał W czasie dwóch kursów t. j. dwu- względnie trzyletniego kursu teologicznego oraz jednorocznego filozoficznego, wykładano podówczas na ostatnim prócz filozofji ścisłej, matematykę, geometrję i fizykę, historję naturalną i geografję. Z pewnością nie z powodu samego tylko zamiłowania, lecz właśnie jako owoc czteroletnich wykładów pojawiła się w druku pierwsza publikacja X. Mioduszewskiego p. t. Początki geografji starożytnej (Warszawa 1815). Niemniej jednak poza geografją musiał się już wówczas specjalizować w przedmiotach teologicznych, t. j. w dogmatyce i prawie kanonicznem, które później wykładał przez całe swe życie. W chwili wyjścia Geografji z pod prasy był już X. Mioduszewski poza Warszawą, gdyż z woli X. wizytatora Jakóba Basińskiego otrzymał drugie swe

stanowisko, t. j. stanowisko profesora seminarjum włocławskiego (od 1. IX. 1814 do 25. VII. 1820). Ten nowy okres obejmujący dalszych sześć lat życia X. Mioduszewskiego jest nam dotąd najlepiej znany, dzięki pracy X. St. Chodyńskiego p. t. Seminarjum włocławskie[1]); nie zauważamy tu żadnych szczegółów mających związek z muzyką, bo odpowiednie notatki, które zdołał zebrać X. Chodyński, pochodzą z lat następujących bezpośrednio po opuszczeniu Włocławka przez X. Mioduszewskiego: więc n. p. w r. 1821 uczono tu (poza czasem rekreacyj) śpiewu w wymiarze jednej godziny tygodniowo, w r. 1822 w wymiarze dwugodzinnym z świeżo wydanego *Cantionale* X. Pawła Rzymskiego, a w r. 1823 uczył śpiewu gregorjańskiego w tymże samym wymiarze godzin X. Franciszek Płoszczyński, a wielogłosowego X. Piotr Lewandowski, obaj Misjonarze[2]), tymczasem X. Mioduszewski był już od 1 października 1822 r. w Krakowie w seminarjum stradomskiem. To trzecie a zarazem ostatnie swe stanowisko zajmował X. Mioduszewski przez 48 lat, t. j. aż do śmierci, pod dziewięciu kolejno rektorami seminarjum, a zarazem bezpośrednimi swymi przełożonymi z ramienia Zgromadzenia, t, j. superjorami. W pierwszym roku pobytu w Krakowie otrzymał urząd dyrektora seminarjum, który zatrzymał do końca roku szkolnego 1825. Czy rozpoczął równocześnie wykłady, tego niewiadomo, gdyż jego przedmioty główne t. j. dogmatykę wykładał jeszcze w tym roku X. Wojciech Malinowski, a prawo X. Mateusz Gorzkiewicz. X. Mioduszewski musiał się jednak cieszyć już wówczas znacznym autorytetem, skoro powierzono mu wraz z kolegami wydanie opinji o nowym projekcie rządowym, odnoszącym się do planu nauk dla seminarjów (r. 1821)[3]). A opinja ta wypadła bardzo ostro, skoro X. Chodyński pisze, że „Misjonarze na Stradomiu w Krakowie, Księża Mioduszewski, Nadolski (Tomasz, profesor filozofji oraz teologji pastoralnej, względnie moralnej) i Malinowski w konkluzji to o nim (t. j. planie) napisali: nigdybyśmy nie uwierzyli, aby plan ten ułożony być miał przez J. W. W. Biskupów i innych

---

[1]) Włocławek, 1904, str. 81.
[2]) X. Chodyński, Op. cit., str. 151 i 82.
[3]) Op. cit. str. 411.

Duchownych, gdyby nie J. W. Minister (Głuszyński) o tem poświadczył". W tymże roku 1821 objął X. Mioduszewski dogmatykę po X. Malinowskim (przyszłym swoim rektorze t. j. od r. 1832—1834) i prawo po X. Gorzkiewiczu (przyszłym wizytatorze Zgromadzenia, t. j. od r. 1833—1839), wykładając naprzemian rok po roku jeden z tych przedmiotów w wymiarze 5 godzin tygodniowo. Poza temi stałemi swemi przedmiotami uczył wyjątkowo w latach 1822 do 1824 liturgiki; natomiast nie udzielał przynajmniej w pierwszych latach swego pobytu w Krakowie, nauki śpiewu, gdyż uczyli go X. Adam Orłowski (1821—1822), X, Antoni Dąbrowicz (1822—1824) przyszły rektor (1839—1856) i X. Wojciech Bielski (1824—1825). W tymże czasie (około r. 1825) został również X. Mioduszewski asystentem superjora i rektora, t. j. zastępcą przełożonego w stosunku zarówno do młodzieży jak i do grona profesorskiego. Wśród takich prac powziął X. Mioduszewski w r. 1830 zamiar zebrania, opracowania i opublikowania Śpiewnika kościelnego. Genezę tego zamiaru oświetla nam „Akt darowizny książek" (domowi warszawskiemu Księży Misjonarzy) z dnia 17 czerwca 1856 r.[1]): „Wiadomo już, co mnie skłoniło do zbierania Pieśni nabożnych z melodjami, bo wyraziłem to w przemowie do śpiewnika Kościelnego: lecz i to jeszcze dodać muszę, iż pierwszą myśl, którą powziąłem, winien jestem następującej okoliczności. Gdy w roku 1830 i 31 wezwany zostałem od X. Bpa Krakowskiego (Karola Skórkowskiego) jako Teolog do boku jego w czasie Wizyty Dyecezjalnej, wtenczas to spostrzegłem i przekonałem się naocznie, jak lud w wielu Kościołach Parafjalnych bardzo mało zna pieśni nabożnych a organiści choćby go chcieli nauczać, tłómaczyli się tem, iż sami nie wiedzą gdzieby się mogli dowiedzieć o Melodjach. I od tego to czasu, chcąc zaradzić temu niedostatkowi, zająłem się zbieraniem rozmaitych pieśni, bądź to z Książek drukowanych, bądź z rękopisów, a nadewszystko wywiadywaniem o ich własnych melodjach. Jeżeli zaś na niektórych pieśniach potrzebnych zbywało, lub melodji własnej do niektórych niedostawało, to nowe ułożyłem".

---

[1]) Księga druków i wydawnictw stradomskich w bibljotece domu stradomskiego Księży Misjonarzy w Krakowie.

„Zebrawszy tym sposobem znaczną ilość pieśni co najpotrzebniejszych wraz z ich melodjami, i uporządkowawszy one, a nie czekając nim się ich więcej zbierze; za pozwoleniem tedy i błogosławieństwem Przełożonych, a z niemałym nakładem [1]) (*tam ex patrimonialibus quam ex aliis cum venia Superiorum acquisitis aut etiam mutuo acceptis)* i w znacznej liczbie egzemplarzy, takowe wydrukowałem. Z tych jedne są pod tytułem: Śpiewnik Kościelny z melodjami dla użytku kościołów parafjalnych [2]), powiększone później trzema Dodatkami [3]): drugie zaś służące dla samej tylko zabawy w czasie świąt Bożego narodzenia, pod tytułem Pastorałki i Kolędy z melodjami [4]), a te są na dwojakim papierze i powiększone także jednym Dodatkiem [5]). Oprócz tego wydałem jeszcze: Śpiewnik Kościelny bez melodyj [6]) i bez dodatków, jak również Pastorałki i Kolędy [7]) bez melodyj w formie Kantyczek dla tych co nut nie znają".

Cele, które przyświecały autorowi oraz uwagi odnoszące się do treści śpiewników, wreszcie również metodę pracy poznajemy z przedmów. X. Mioduszewski pragnął:

---

[1]) „Bo przeszło 26.000" złp. według kopji listu z dnia 1. IV. 1856 r. do J. X. Wizytatora w Warszawie.

[2]) Aprobowany w Warszawie 11. VI. 1836 przez cenzora Zgromadzenia, który zauważa, iż autor zadał sobie pierwszą (u nas) w tym rodzaju pracę; wyszedł w Krakowie, 1838, z drukarni Stanisława Cieszkowskiego; liczy str. 384.

[3]) Dodatek I. od str. 385 do str. 768, aprobowany w Warszawie 9. XI. 1841, wyszedł w Krakowie w tejże drukarni co Śpiewnik w r. 1842. Dodatek II. od str. 769—960, aprobowany w Krakowie 31. X. 1849 i Dodatek III. od str. 961 do str. 1024, aprobowany również w Krakowie 23. IV. 1850, wyszedł z drukarni Breitkopfa i Haertla w Lipsku z napisem na okładce „W Krakowie" 1853 r. Do całości śpiewnika należy jeszcze Uzupełnienie Dodatku III do Śpiewnika Kościelnego pieśniami narodowemi, od str. 1025—1056, bez aprobaty wydane przez J. N. Bobrowicza, wyszło w Lipsku, 1854 r. z drukarnj Breitkopfa i Haertla, nakładem Księgarni zagranicznej.

[4]) Aprobata w Warszawie 21. III. 1843, wyszły w tymże roku w Krakowie z drukarni St. Cieszkowskiego, stron 224.

[5]) Aprobowany w Krakowie 2. XII. 1852, wyszedł z drukarni Breitkopfa i Haertla w Lipsku, r. 1853, z paginacją od str. 225—292 (wzgl. 296).

[6]) Z aprobatą przepisaną ze Śpiewnika z melodjami, wydany z niemi równocześnie i w temże co Śpiewnik czasie i miejscu, liczy stron 312 (wzgl. łącznie ze Spisem Pieśni — 316).

[7]) Egzemplarza nie posiadam.

a) Zapobiec zmianie lub zapomnieniu prawdziwych i pierwotnych melodyj tak dawnych (z których zresztą wiele już zapomnieniu uległo), jak sobie współczesnych.

b) Ułatwić księżom proboszczom nauczenie ludu spiewów nabożnych a młodzieży zostającej po seminarjach nastręczyć sposobność wczesnego zapoznania się z niemi: jednakże pastorałkom i kolędom baczność księży plebanów powinna wstępu do kościoła zabraniać.

c) Upowszechnić śpiewy nie wszędzie dotąd znane, by zwolna jednostajność w pieśniach i melodjach zaprowadzoną została. Zastrzega się jednak, że niema na myśli narzucania komukolwiek takiego lub innego śpiewania: przedstawia tylko to, co jest pospoliciej używane, a jemu wiadome.

Odnośnie do treści, zawiera zbiór:

a) Tylko te pieśni, których m e l o d j e były autorowi wiadome i którym przystęp do świątyń Pańskich dozwolony być może. Od tej zasady jednak odstąpił częściowo X. Mioduszewski w Dodatku I, bo podał sam tekst wielu pieśni obrządku greckiego (w języku polskim) znajdujących się w Misji Bialskiej X. Szczurowskiego, spodziewając się, że się znajdą kiedyś ich melodje, zaś w Dodatku do Pastorałek i Kolęd zamieścił częściowo śpiewaną a częściowo deklamowaną Pastorałkę góralską na Boże Narodzenie, którą kolędnicy w okolicach Krakowa chodząc z szopką, reprezentują.

b) Zbiór zawiera również pieśni służące do prywatnego śpiewania. Zdanie to nie jest jasne: nie idzie tam bowiem o pieśni „którym przystęp do kościoła dozwolony być nie może", gdyż te zostały ze śpiewnika wykluczone (zaś do domowego użytku przeznaczone zostały Pastorałki i Kolędy). Zdaje się, że przez prywatne śpiewanie rozumiał X. Mioduszewski pieśni pątników dążących do miejsc odpustowych, czy pieśni w drodze do kościoła, cmentarza i t. d.

c) Zbiór zawiera pieśni łacińskie, które młodzież szkolna śpiewać zwykła.

d) Wreszcie miał zbiór zawierać ograniczoną ilość pieśni mszalnych, mianowicie pieśni łatwe do śpiewania dla ludu i po

wielu już kościołach zaprowadzone. Od tej zasady musiał X. Mioduszewski odstąpić i umieścić na wyraźne żądanie polskie pieśni mszalne na różne czasy i uroczystości. Znajdują się one w dodatku II. W tymże również dodatku znajdują się przedrukowane z Pastorałek i Kolęd te kolędy, które się nadają do śpiewania w kościele.

Metoda pracy autora nad muzyczną stroną śpiewników zawiera się w następujących punktach:

a) Autor odrzucił w melodjach wszelkie niepotrzebne dodatki.

b) Nie zamieszczał warjantów, podając w takich wypadkach pieśń w wersji powszechniej używanej. Zauważamy jednak wyjątkowo na stronie 959 D. II warjant pieśni umieszczonej poprzednio na stronie 126, co zresztą sam autor zaznacza.

c) Zbliżał się do śpiewu choralnego. Zarówno jednak wglądnięcie w Śpiewnik jak i dalszy komentarz dołączony w przedmowie do tej uwagi, upoważnia nas do twierdzenia, że tę metodę stosował X. Mioduszewski przedewszystkiem do tych pieśni, które powstanie swoje zawdzięczają chorałowi, a powiedzmy odrazu, że stosował ją zbyt nieśmiało, a również nie przeprowadził jej konsekwentnie w toku całej pracy, o czem świadczą przedewszystkiem diesy w pieśniach adwentowych i wielkanocnych (porównaj zaraz pierwszą pieśń adwentową na str. 9, t. j. „Hejnał wszyscy zaśpiewajmy“ z pieśnią „Pomocą Boga miłego“ na stronie 393, D. I), oraz gdzieniegdzie akcenty (przeciągania) ludowe, np. na stronie 246, 250. Nie wyprzedzając wyników, jakie przyniesie studjum nad śpiewnikami, można już jednak na tej podstawie wyrazić przypuszczenie, że Śpiewnik wraz z tą częścią Dodatku II., która zawiera msze polskie, jest więcej oparty na źródłach współczesnych autorowi, t. j. pieśniach będących podówczas w życiu, zaś Dodatki więcej na źródłach sięgających czasów minionych (o czem świadczą również liczniejsze tu notatki „starodawna“), czy na wydawnictwach lokalnych, względnie na materjale nadesłanym.

d) Autor ominął oznaczenie tempa wychodząc z tych zasad, że cechą śpiewu kościelnego jest to, iż powinien być wykonywany najpowolniej i z powagą, oraz, że używanie łatwo pokaże, gdzieby śpiewać prędzej należało.

e) Wreszcie notował X. Mioduszewski wszystkie pieśni w kluczu tenorowym.

Niewątpliwie powyższe stanowisko autora wywoła wobec dziś obowiązujących wymagań metodycznych — zastrzeżenia odnośnie do każdego niemal punktu, czem się zaraz zajmiemy, wyliczywszy jeszcze poprzednio dalsze, dziś obowiązujące wymagania. Są niemi odnośnie do zródeł: konieczność zacytowania rękopisu czy druku i autora obu, wraz z datą, oraz kompozytora pieśni, o ile te wszystkie dane są wiadome lub dadzą się ustalić; odnośnie zaś do pieśni przez siebie notowanych obowiązuje zaznaczenie daty, miejscowości, nazwiska wykonawcy lub nazwiska tego, który pieśń nadesłał, dalej prócz tempa jeszcze dynamika, a nawet rodzaj rejestru (t. j. zanotowanie w tej wysokości tonów w jakiej się pieśń słyszało) i t. d. [1]).

Chcąc poddać sprawiedliwej ocenie metodę pracy X. Mioduszewskiego, trzeba pamiętać o naczelnem założeniu autora, którem było w y d a n i e ś p i e w n i k a m a j ą c e g o s ł u ż y ć w y ł ą c z n i e c e l o m p r a k t y c z n y m. Na początku swej pracy, która trwała potem przez 20 lat zgórą, nie przewidział X. Mioduszewski, a nawet nie mógł przewidzieć, że dokona dzieła znacznie poważniejszego. Zdał on sobie z tego sprawę dopiero wówczas, gdy dzieło było już gotowe i sam je należycie ocenił: „Być może, że niektóre z pieśni dawnych nie wejdą wcale w użycie... jednak dla zachowania ich pamiątki i z u w a g i, ż e t o n i e j e s t w y b ó r, a l e b a r d z i e j z b i ó r pieśni kościelnych i domowych, umieściłem je wraz z innemi“ [2]), a dalej: „Rzuciwszy teraz okiem na cały ten zbiór, choć go nie można nazwać a n i z u p e ł n y m a n i d o s k o n a ł y m, jako p i e r w s z y r a z i t o c z ę ś c i o w o w y c h o d z ą c y — pokazuje się jednak, jak znaczną posiadamy ilość pieśni... Mówię tylko o pieśniach, do których wiadome są melodje, bo gdyby przyszło zbierać wszystkie... toby i drugi taki Śpiewnik onych nie objął... Chcąc zaś ocenić pieśni, które się w Śpiewniku znajdują, trzeba wyznać, że lubo

---

[1]) D r. A d o l f C h y b i ń s k i „Wskazówki zbierania melodyj ludowych“. Odbitka z „Przeglądu Muzycznego“. Poznań 1925, str. 8 i nast.

[2]) Z Przedmowy do Dodatku II. str. 769.

wiele jest prawdziwie pobożnych i gruntownie napisanych, znajduje się jednak niemało i bardzo miernych“ [1]). Tak zapatrywał się X. Mioduszewski na swe dzieło po zakończeniu pracy; ale chociażby był nawet przewidział jej rozmiary, nie byłby i tak odpowiedział wszystkim stawianym dziś wymogom, bo przed sobą nie miał wzorów. To też jakkolwiek bardzo często tylko zapatrywanie subjektywne decyduje o tem, co jest w melodji „niepotrzebnym dodatkiem“, możemy jednak (wglądnąwszy w śpiewniki) przypuszczać, że X. Mioduszewski rozumiał przez to — usunięcie owych tak nieestetycznych „ozdobników“ (odbitki, grupety i t. p.), rozpowszechnionych podówczas nietylko w pieśni, ale nawet w chorale, nie mówiąc już o takichże dodatkach zawartych w partji organowej, służącej za towarzyszenie do pieśni czy chorału [2]). Oczywiście w wydaniu naukowem, musiałby i tego rodzaju opuszczenia uzasadnić w komentarzu rewizyjnym, jednakże w wydawnictwie przeznaczonem dla celów praktycznych pominął je bez zdawania z tego sprawy, a powiedzmy otwarcie,

---

[1]) Z Przedmowy do Dodatku III. str. 961—962.

[2]) Za przykład bardzo jeszcze umiarkowanego, a w partji organowej nie pozbawionego nawet cech artyzmu — stosowania tych ozdobników, niech posłuży pieśń „Kto się w opiekę“ ze zbioru Pieśni nabożnych, Karola Kurpińskiego, Warszawa, 1825, str. 44; podobnie Kancyonał Muzyki Kościelnej, Wacława Raszka, Warszawa 1825; dzieło to upoważnione i przeznaczone przez Komisję W. R i O. P. do użytku kościołów parafjalnych, nietylko zawiera w partji organowej tego rodzaju figuracje i biegniki, ale uczy organistów sposobu ich stosowania: „Dodatki te lub podobne im mogą być użyte kiedy wiersz długi, lub kiedy powoli Psalmy są śpiewane“ (str. 202). Same melodje pieśni czy chorału są tu od tych dodatków wolne (porównaj jednak pieśń „Po upadku“, str. 115). O Chorale Gregorjańskim Rytualnym X. Jana Jarmusiewicza (część II, Wiedeń, b. r., ale wydanym w r. 1834) nie wspominam, gdyż według zapewnienia autora „ani jednej noty ze swoich myśli nie dodawałem, ani też nic z oryginału nie opuściłem“, niesamowita pod względem rytmicznym postać tego chorału składa się jednak z nut oryginalnych, ale zato obficie wyposażonych krzyżykami i bemolami tak, iż ustawicznie pojawiające się interwały zwiększone i zmniejszone należą do istoty tego chorału. Najpoprawniejszym pod temi względami, tak co do melodyj choralnych, jak co do towarzyszeuia organowego, był ze znanych mi ówczesnych muzyków Wincenty Gorączkiewicz autor Śpiewów choralnych... w harmonji na organy Kraków 1846. (Posługiwałem się egzemplarzem, będącym własnością X. Mioduszewskiego ex dono Autoris)

pominął je jeszcze nie wszędzie i nie całkowicie (np. na stronach 138, 142. 148, 237. 240, 287, 332, 351, 848, 908). Wybór z pośród kilku warjantów wersji powszechniej używanej, jest także ze względu na założenie autora zrozumiały. Również zbliżenie się do chorału nie budzi obaw co do zniekształcenia autentycznej postaci danych pieśni; wskazaliśmy już wyżej, że autor mógł był śmiało pominąć cały szereg dies, jako rzeczy nieistotnych, owszem obcych niektórym, zwłaszcza starym pieśniom, co później trafnie uczynił X. Dr. Józef Surzyński, a zatrzymały również dzisiejsze śpiewniki przeznaczone dla celów praktycznych jak X. Dra Wacława Gieburowskiego (Śpiewnik i *Cantionale Ecclesiasticum)* jak X. Jana Siedleckiego (ale dopiero w ostatniem opracowaniu X. W. Świerczka i Bolesława Wallek-Walewskiego) i inne. Natomiast mimo zbliżenia się do chorału, nie naruszył X. Mioduszewski rytmiki pieśni. Niektóre późniejsze usiłowania posunęły się w tym kiernnku (za wzorem Zachodu) za daleko; niewątpliwie ich zasługą, a wśród nich przedewszystkiem X. Surzyńskiego, jest to, że dotarł on może nawet do pierwszej redakcji niejednej pieśni, która nietylko graficznie ale istotnie w takt (przynajmniej jednolity) ująć się nieda, jednakże proces odwrotny, t. j. notowanie z opuszczeniem podziału na takty takich pieśni, które mimo to zdradzają swój takt, nie przyjął się i nie utrzymał zarówno na Zachodzie jak u nas [1]). Natomiast nieuzasadnione było stanowisko X. Mioduszewskiego w sprawie pominięcia tempa i innych odcieni rytmicznych a również dynamiki, o czem autor przekonał się już zapewno przy samym końcu

---

[1]) Nie mam zamiaru rozwiązać w tej chwili i w tem miejscu zagadnienia czy ujęcie rytmiczne X. Mioduszewskiego jest wszędzie trafne, bo sprawa ta należy już do analizy pieśni zawartych w śpiewnikach, więc wykracza poza ramy zarysu biografji, przygotowania i uzdolnienia antora do podjętej przez się pracy i jego na nią poglądów. Niemniej jednak można przytoczyć tu następujące spostrzeżenie X. Mioduszewskiego, odnoszące się do tej materji: „Że niektórych Pieśni melodje nie mają jednostajnego taktu, ale go dwa lub trzy razy zmieniają... nie zdaje się to pochodzić z śpiewania ludu, tylko, że tak początkowo ułożone były" (str. 34). Oczywiście całkowitej tu słusznosci X. Mioduszewski nie ma, bo nietylko prace znanych kompozytorów, lecz również pieśni nieznanych twórców ludowych, czy późniejsza praktyka ludu mogła zmieniać rytmikę w obrębie jednej pieśni.

swej pracy, skoro na stronach 905 i 958 zauważamy takie oznaczenie tempa jak „wolno“, a na stronie 960 napis »*cantores lente*«. Pominięcie tempa przy pieśniach wynotowanych z dawnych wydawnictw i rękopisów (które go również nie posiadały) nie przynosi ostatecznie szkody, o ile chodzi o naukową (a nie praktyczną) wartość wydawnictwa, gdyż oznaczenie tempa i t. d. tych pieśni jest jednak sprawą tylko subjektywnego zapatrywania i odczucia autora, natomiast stratą rzeczywistą są pominięcia tych rzeczy przy pieśniach notowanych ze słyszenia wykonawców. Wreszcie posługiwanie się wyłącznie kluczem tenorowym możemy uznać, poza praktycznym znaczenia tego zjawiska dla jednolitego wyglądu wydawnictwa — za pewnego rodzaju bardzo osobiste upodobanie autora. Stosował on go z tak daleko posuniętą konsekwencją, że notował w nim nawet bas (Śpiewnik str. 464, z napisem Bas sam), czy kazał z partycji zanotowanej w kluczach tenorowych śpiewać aniołom (Pastorałki i Kolędy, strona 11, z napisem „Głosy Anielskie c h ł o p c y naśladują“), a nawet pasterce (dziewczynie. Pastorałki i Kolędy, str. 284). Poznamy jeszcze niżej to upodobanie autora. (C. d. n.).

X. DR. STANISŁAW KALLA.

Dom chełmiński w świetle kroniki domowej.

Ks. Sup. Łukasz Rochon (1699–1718).

(Ciąg dalszy).

Mimo ciężkich czasów, ciągłych rekwizycyj wojennych, nie ustaje X. Rochon w staraniach o upiększenie świątyni chełmińskiej. W r. 1701 odrestaurowano częścią ze składek, częścią kosztem własnym, aparaty kościelne, dokupując kilka nowych, pozłocono facjatę frontowej ściany Cudownej Kaplicy kosztem siedmiuset złotych, dano w większej części kościoła nową posadzkę [1]).

W tymże roku odprawiono z okazji jubileuszu, ogłoszonego po wyborze Klemensa XI, w czasie Zielonych Swiąt, rodzaj misji, głosząc przez dwa tygodnie, w środy, czwartki, piątki i soboty, nauki przy bardzo licznym udziale wiernych [2]).

W r. 1702 powstaje fundacja dla kaplicy Najśw. Sakramentu. Z darów czcicieli Najśw. Sakramentu uzbierało się tysiąc złotych, które złożono na procent w Magistracie. Odsetki, podejmowane przez skarbnika Bractwa Najśw. Sakramentu, miały pójść częścią na chór, śpiewający każdy czwartek na Mszy św. w kaplicy Najśw. Sakramentu, częścią na światło w tejże kaplicy. Na Msze św. w każdy czwartek, przeznaczona była fundacja Dobrskiego, w wysokości tysiąca złotych, ulokowanych na kamienicy burmistrza chełmińskiego, Pawła Kolińskiego [3]).

Podobnie jak X. Cyboni, broni i X. Rochon energicznie praw parafjalnych, odmawiając OO. Franciszkanom i OO. Domi-

---

[1]) Kronika... str. 107. [2]) tamże, str. 107. [3]) tamże, str. 117.

nikanom pozwolenia na procesje po rynku, co wyłącznie zastrzeżone było procesjom parafjalnym [1]).

W r. 1702 zaczęto za zgodą X. wizytatora Tarły głosić dwa razy w miesiącu kazania w języku niemieckim w kościele św. Marcina, spodziewając się, że i protestanci będą z nich korzystać i przysposabiać się przez to życzliwiej do przyjęcia wiary katolickiej [2]).

Celem zwiększenia wśród młodzieży szkolnej czci dla błogosławionego wówczas jeszcze Jana Kantego, wyjednał X. Rochon u Uniwersytetu Krakowskiego znaczną relikwję tego Świętego, którą wśród wielkich uroczystości złożono w kościele [3]).

Od X. Jana Gawrońskiego, kanonika chełmińskiego, otrzymał kościół chełmiński w tym czasie także znaczną relikwję św. Feliksa, męczennika [4]).

W r. 1704 zbudowano na chórze muzycznym naprzeciw kaplicy Najśw. Sakramentu organ, kosztem Walentego Kielińskiego, generalnego pisarza prowentowego zamku Starogrodzkiego i Tomasza Skomorowskiego, notarjusza apostolskiego i konsystorza chełmińskiego, a po części także Domu chełmińskiego. Twórcą był ten sam organmistrz, który poprzednio zbudował organ naprzeciw kaplicy Matki Boskiej, Krystjan Seidler. Było to ostatnie jego dzieło, wkrótce potem umarł [5]).

W r. 1705 zbudowano kruchtę od południa, tak dla przyozdobienia kościoła, jak i dla ochronienia ludu i kaznodziei od przeciągów i kurzu [6]).

W tymże roku przyjął X. wizytator Tarło fundację Mikołaja Dziewanowskiego, asesora sądów ziemskich województwa chełmińskiego, w wysokości 3000 fl. na trzy Msze św., które co tydzień miały być odprawiane po wieczne czasy na intencję fundatora przed Cudownym Obrazem Matki Boskiej. Pieniądze ulokowano na wiosce Wilki, należącej do Chełmna, które się zobowiązało płacić odsetki w kwocie 180 florenów [7]).

W r. 1709 stanął nowy ołtarz główny. Koszta ołtarza, wynoszące, nie licząc dostarczonego artyście drzewa i datków w naturze,

---

[1]) Kronika... str. 119. [2]) tamże, str. 119. [3]) tamże, str. 119. [4]) tamże, str. 120. [5]) tamże, str. 130. [6]) tamże, str. 145. [7]) tamże, str. 146.

tysiąc florenów, pokryto z darów Bartłomieja i Anny Chrzęlewiczów (600 fl.), burmistrza chełmińskiego Wilhelma Gordona i jego żony Anny (300 fl.), i z różnych drobnych składek. Stary ołtarz, nadniszczony mocno zębem czasu, sprzedano wiosce Rogoźno za 200 fl.[1]). Konsekracji nowego ołtarza, jak i ołtarza Matki Boskiej Cudownej i siedemnastu ołtarzy bocznych, dokonał 2 października 1711 r. ks. biskup Szczuka, sufragan chełmiński [2]).

W r. 1712 powstają dwa nowe ołtarze, Matki Boskiej Szkaplerznej, i św. Rocha. Jeden i drugi przyozdobiono sukienkami srebrnemi. Wspominając o tem, zaznacza Kronikarz, że sukienkę Matki Boskiej sprawiły służące, bo córki obywateli nie mają pieniędzy na ozdobę kościoła, wydając je na stroje [3]).

W trzy lata później wzniesiono jeszcze jeden ołtarz, św. Walentego, którego głowę w srebrnej oprawie zdawiendawna przechowywano w kościele. Koszta tego ołtarza zobowiązał się pokryć z wdzięczności za odebrane łaski Bronisław Trzciński, sędzia ziemski chełmiński [4]).

Celem podniesienia życia parafjalnego tworzy X. Rochon szereg stowarzyszeń.

W r. 1705 zaprowadzono w szkole chełmińskiej bardzo uroczyście sodalicję Marjańską. Odbyła się z tej okazji procesja z kościoła św. Ducha do kościoła parafjalnego, w której prócz okolicznej szlachty, władz miejskich i tłumów ludu, wziął udział X. Biskup-Sufragan. Na pierwszego prefekta wybrano kasztelana Andrzeja Dziewanowskiego [5]).

W dwa lata później powstają stowarzyszenia służby, najpierw żeńskiej, następnie męskiej. Służące, zgromadziwszy się w uroczystość św. Agnieszki, same poprosiły o zorganizowanie ich na wzór służby Torunia przy kościele, ażeby lepiej Bogu służyć mogły. X. Rochon chętnie przychylił się do ich prośby, spodziewając się po takiej organizacji wiele pożytku tak dla zorganizowanych, jak i dla parafji. Otrzymawszy pozwolenie od X. Wizytatora, przystąpił natychmiast do dzieła. Napisał odpowiedni statut, następnie zwołał zgromadzenie do kościoła, gdzie po gorącej

---

[1]) Kronika... str. 160. [2]) tamże, str. 176. [3]) tamże, str. 182. [4]) tamże str. 198. [5]) tamże, str. 139.

zachęcie do umiłowania i poszanowania powstającej organizacji zarządził spis obecnych i wybór zarządu. Przeznaczony specjalnie dla stowarzyszonych ołtarz Matki Boskiej Szkaplerznej, wnet pięknie przez nie przyozdobiony został, sprawiły nowe kandelabry, lampy, antypendja, nakrycia, feretron, srebrną sukienkę na obraz Matki Boskiej. Wnet też zaczęło się coraz piękniej wśród nich rozwijać życie prawdziwie chrześcijańskie, coraz liczniej uczęszczały codziennie na Mszę św. i do Sakramentów św., ukochały coraz bardziej swój kościół parafjalny, którego przedtem unikały [1]).

Za przykładem służby żeńskiej, poszła niebawem męska. I dla niej ułożono statut, a jeden z księży podjął się kierownictwa. Przeznaczono dla niej ołtarz św. Szczepana. I tu okazały się niebawem błogie skutki organizacji [2]).

Zabrał się także X. Rochon do zorganizowania opieki nad ubogimi i do ukrócenia żebractwa. Bezpośrednim powodem do tego było gorszące zachowanie się żebraków na odpuście Nawiedzenia Matki Boskiej w r. 1705. Zjechali się w owym roku w niezwykłej ilości. Po odpuście urządzili sobie ucztę, na której wśród pijatyki, tańców, wyuzdanych śpiewów i zabaw, spędzili całą noc prawie. Straż miejska doniosła o tem burmistrzowi, Janowi Smithowi, człowiekowi bardzo zacnemu i pobożnemu. Porozumiawszy się z X. Superjorem, kazał burmistrz wszystkich żebraków u bram miasta zatrzymać, następnie zaprowadzić do kościoła na nabożeństwo, po którem kilku księży pytało ich katechizmu. Następnego dnia musieli wszyscy przystąpić do spowiedzi, a trzeciego do Komunji św. Było ich około trzystu, wielu całkiem młodych, zdrowych, zdolnych do najcięższej pracy. Po Komunji św., obdarzeni jałmużną, mogli się rozejść. Niektórzy z nich zatrzymali się dłużej w mieście i teraz wyszły na jaw różne ich sprawki i zbrodnie. Powiadomiony o tem burmistrz kazał ich uwięzić, a przeprowadziwszy śledztwo, zatrzymać przez tydzień na chlebie i wodzie i dwakroć codziennie wymierzyć wszystkim, tak mężczyznom jak i kobietom, po trzydzieści batów. Potem mężczyzn, ogoliwszy im brody, przewieziono za Wisłę, niewiastom zaś kazano pójść w inną stronę [3]).

---

[1]) Kronika... str. 147. [2]) tamże, str. 148. [3]) tamże, str. 150.

Chcąc na przyszłość zapobiec podobnym zgorszeniom wśród biednych parafji, zgromadził ich X. Rochon w kościele i po gorącem przemówieniu zapisał w osobnej księdze, tłumacząc im, że odtąd tworzyć będą osobną organizację, o własnym regulaminie. Zorganizowanym wręczono oznaki, po którychby ich odróżnić można od obcych przybyszów. Dla ołtarza św. Jadwigi, przeznaczonego zawiązanemu Stowarzyszeniu, postarał się X. Rochon o nowe odpusty za dusze zmarłych. Przy ołtarzu tym, pięknie przyozdobionym staraniem biednych, gromadzili się oni co piątek na Mszę św., w czasie której odmawiali modlitwy za zmarłych i śpiewali odpowiednie pieśni. I wśród nich zauważono wnet znaczną poprawę życia, gorliwsze spełnianie obowiązków religijnych, częstsze przystępowanie do sakramentów, co w znacznej mierze zasługą było ich bardzo gorliwego dyrektora.

W r. 1709 powstaje przy kościele chełmińskim Bractwo św. Rocha, patrona od zarazy. Erekcja odbyła się bardzo uroczyście. W wspaniałej procesji, w której obok licznego duchowieństwa z X. Biskupem Sufraganem Sewerynem Szczuką na czele, uczestniczyło wielu senatorów i szlachty i ogromne rzesze ludu, niesiono obraz Świętego z kościoła św. Jerzego do kościoła parafjalnego. W czasie procesji wygłoszono trzy kazania, przy wejściu do miasta, na cmentarzu i w kościele, gdzie przed obrazem, umieszczonym w środkowej nawie pod baldachimem, odprawił X. Biskup uroczystą Mszę św., po której najznakomitsi uczestnicy zapisali się w osobnej księdze jako członkowie Bractwa. Uroczystości trwały przez całą oktawę [1]).

Mimo gorliwej, pełnej poświęcenia pracy duszpasterskiej, zdarzają się jak świadczy Kronika, w parafji straszne zbrodnie, zabójstwa, pijaństwo i t. d. Przyczyniały się do tego niewątpliwie ówczesne niespokojne, wojenne czasy. W r. 1710 jakiś dwudziestoletni przybysz z Warszawy okradł kościół chełmiński, by zdobyć pieniądze na hulaszcze życie. Pozwolił się wieczorem zamknąć w kościele, następnie wydobył puszkę z tabernakulum, ograbił ołtarz Matki Boskiej Szkaplerznej z kilku wot i uszedł oknem. Pochwycony niedługo potem w Toruniu, skazany został na spa-

---

[1]) Kronika... str. 148—149. [2]) tamże, str. 161.

lenie na wolnym ogniu. Wskutek próśb i interwencji wyrok zmieniono o tyle, że go ścięto a ciało jego spalono [1]).

Poznawszy ciężkie, niespokojne czasy, w których X. Rochon sprawował urząd superjora, następnie zabiegi jego około upiększenia kościoła i podniesienia życia parafjalnego [2]), przypatrzmy się staraniom, jakie podejmował celem zapewnienia materjalnych podstaw Domowi i Seminarjum Chełmińskiemu.

Wiemy już, jak bronił X. Rochon majątku seminarjalnego i kościelnego podczas wizytacji X. Biskupa Potockiego w r. 1700 [3]). Niedługo potem wszczęła Kapituła chełmińska spór o grunta, należące do wsi Dziemiany, stanowiącej część uposażenia seminarjalnego. Komisja biskupia w osobach X. Biskupa Sufragana Skotnickiego i X. Szczuki, przechylała się na stronę Kapituły, nie mogąc jednak ściśle, z wykluczeniem wszelkiej wątpliwości, dowieść jej praw do spornych gruntów, z drugiej zaś strony X. Rochon bronił praw Seminarjum tak skutecznie, że sporu nie rozstrzygnięto i grunta zostały nadal przy Seminarjum.

Usilnie stara się X. Rochon, podobnie jak jego poprzednicy, o wydostanie legatów, porobionych na rzecz Domu lub Seminarjum Chełmińskiego, a nieprawnie zatrzymywanych przez niesumiennych spadkobierców. Była już mowa o tem, z jaką to trudnością X. Cyboni otrzymał małą stosunkowo kwotę z legatu X. biskupa Opalińskiego, w wysokości 12 tysięcy tynfów, zapisanych na dobrach Mościska, położonych niedaleko Warszawy [4]). Dobra te przeszły od spadkobierców X. Biskupa Opalińskiego, do rąk Szembeka, referendarza koronnego, który zwlekał z wypłaceniem ciążącego na nich zapisu, a przynaglony do tego wyrokiem sądowym, chciał go spłacić nie w tynfach, lecz w gorszej monecie. Stanęło w końcu, za przyzwoleniem X. Wizytatora Tarły, na tem, że po zabezpieczeniu wszelkich do zapisu praw Domu chełmińskiego, zostawiono mu go pod warunkiem płacenia rocznego czynszu. Było to połączone ze szkodą, bo można było

---

[1]) Kronika... str. 171.

[2]) Por. Roczniki obydwóch Zgromadzeń, św. Wincentego a Paulo, r. 1932, Nr. 2, 3, 4 wydane razem, str. 171—187 i r. 1933, Nr. 1, str. 54—57.

[3]) Tamże... r. 1932, str. 171—174.

[4]) Kronika... str. 101.

powyższą sumę ulokować gdzieindziej na daleko lepszych warunkach [1]).

Przyszło także wreszcie do ugody z spadkobiercą X. Biskupa Leszczyńskiego, starostą kowelskim, Leszczyńskim, i to znów ze znaczną szkodą dla Seminarjum, gdyż z zapisanych 22 tys., zniżonych dekretem Trybunału do 4 tysięcy, otrzymało wkońcu zaledwie 2 tysiące [2]).

Nie można było również wydostać w całości od właściciela dóbr Mrowina w pobliżu Chełmży, Sokołowskiego, zaległego od około dwudziestu lat czynszu od sumy trzystu florenów, zapisanych na rzecz Seminarjum i zamiast 300 przeszło florenami trzeba było się zadowolić 160 [3]).

Korzystnie natomiast skończył się zatarg z miastem Malborgiem o prawo propinacji piwa w Fiszowie [4]), i z Chełmnem o dalszą dzierżawę t. zw. wymiary czyli gruntu należącego do kamienicy zwanej Wilczkowską, którą przedłużono na dalsze pięćdziesiąt lat [5]).

W r. 1705 zaproponował Bogusław Kymoński, właściciel dóbr Zelgno i Tylice, misjonarzom chełmińskim kupno domu swego w Toruniu. Posiadanie własnego domu w tem mieście było z wielu względów pożądane, to też chętnie skorzystano z nadarzającej się sposobności i za zgodą X. Wizytatora Tarło, stanął kontrakt, mocą którego dom miał przejść na własność misjonarzy za cenę 2600 florenów. Wiedząc jednak, jak wrogo są usposobieni toruńczycy dla duchowieństwa katolickiego i bojąc się, że będą robili trudności, a nawet gotowi podburzyć przebywających w mieście Szwedów przeciw misjonarzom, postanowiono z faktycznem objęciem w posiadanie domu poczekać do spokojniejszych czasów, a tymczasem dom zostawić Kymowskiemu za pewnem wynagrodzeniem do dalszego używania. W kontrakcie zaś umieszczono klauzulę, że, gdyby misjonarze, z powodów wymienionych nie mogli wejść w spokojne posiadanie kamienicy, to Kymowski zwróci im pieniądze. I tak się rzeczywiście stało dziesięć lat później, z powodu ciągłych trudności trzeba było kontrakt rozwiązać i z kamienicy zrezygnować [6]).

---

[1]) Kronika... str. 103. tamże, str. 105. tamże str. 108. [4]) tamże, str. 109 [5]) tamże, str. 114. [6]) tamże, str. 135, 195.

Ciągłe rekwizycje wojenne, różnego rodzaju klęski, jak nieurodzaj, wylewy, epidemje, to wszystko sprawia, że dochody Domu i Seminarjum się kurczą i coraz trudniej utrzymać seminarzystów, o czem referuje X. Rochon Kapitule chełmińskiej na posiedzeniu z dnia 24 czerwca 1714 r. Dłużnicy zwlekają z wypłatą należnych sum i trzeba raz po raz wchodzić z nimi w układy albo i na drogę sądową [1]).

Nie brak jednak i w tych czasach hojnych ofiarodawców. Zmarły w r. 1706 w Chełmnie Marcin Konojadzki, zapisuje 2500 fl, na kaplicę Najśw. Sakramentu, po 2000 na kaplicę Matki Boskiej Cudownej, na ubogich zostających pod opieką Sióstr Miłosierdzia i na ufundowanie specjalnych kazań popołudniowych dla służby w niedziele i święta. Z wdzięczności za to pochowano go w grobowcu misjonarskim pod ołtarzem Bożego Ciała [3]). (C. d. n.).

---

[1]) Kronika... tamże, str. 176, 182, 183, 184, 186, 188, 190, 192, 193 194—196. [2]) tamże, str. 143—145.

Polskie Siostry Miłosierdzia w Chinach.

Pierwsza grupa Sióstr Miłosierdzia wyjechała z Polski do Chin w październiku 1931 r. Przybyła na placówkę misyjną w listopadzie 1932 i objęła obsługę szpitala w Shuntehfu oraz przychodni dla chorych i prowadzenie ochronki[1]).

W krótkim czasie dzieła polskich Sióstr tak się wzmogły, że okazała się potrzeba posłania nowych Sióstr. W drugiej grupie Sióstr wyprawiających się na daleki Wschód znalazły się: S. Zofja Jacuńska, S. Marja Jankowska, S. Bronisława Szewczyk, S. Eugenja Gudowska, wszystkie cztery z prow. warszawskiej oraz S. Emilja Kruczkiewicz z krakowskiej prowincji.

Pożegnanie tych Sióstr-misjonarek odbyło się w Warszawie w dniu 11 września 1932 r. Na program tej uroczystości złożyła się akademja, na którą przybył J. E. Nuncjusz Apostolski X. Abp. Marmaggi, J. E. Bp. Gall, dużo duchowieństwa, przedstawiciele organizacyj katolickich i oczywiście wielka liczba Sióstr różnych Domów warszawskich oraz przedstawicielki prow. krakowskiej [2]).

W mowie wstępnej wskazał X. K. Witaszek, dyrektor SS. Miłosierdzia prow. warszawskiej na wielce dodatni objaw wśród Sióstr tej prowincji — rozbudzenie ducha misyjnego, którego przejawem zgłoszenie się kilkudziesięciu Sióstr z gotowością poświęcenia się misjom zagranicznym.

Akademję zakończyło przemówienie J. E. X. Nuncjusza Marmaggiego, który podkreślił silnie bohaterstwo mieszczące się w pracy misyjnej i zachęcał społeczeństwo polskie do aktywnego popierania sprawy misyjnej w myśl gorących wskazań papieża misyj Piusa XI. Siostrom-misjonarkom udzielił J. E. X. Nuncjusz błogo-

---

[1]) Por. Roczniki Obydwóch Zgromadzeń r. 1932 nr. 2, 3, 4, str. 81, 161.

[2]) Por. Misje Katolickie r. 1932, listopad, str. 354.

sławieństwa życząc, by ich ofiarna praca wiele przyniosła na misjach owoców. Następnego dnia (12/9) odprawił J. Em. X. Kardynał Kakowski w Domu Centralnym SS. Miłosierdzia przy ulicy Tamka 35 mszę św. na intencję wyjeżdżających Sióstr, wygłaszając przytem przemowę o powołaniu misyjnem i błogosławiąc ze serca Siostrom udającym się na dalekie misje.

Wieczorem w tymże dniu J. E. X. Bp. Gall odprawił nabożeństwo z wystawieniem Najśw. Sakramentu, wypowiadając również serdeczne przemówienie.

W godzinę potem nastąpił odjazd Sióstr do Paryża, a stamtąd wyjazd do Marsylji, skąd dnia 23 września okręt „Generał Metzinger" uniósł je i przewiózł przez Morze Śródziemne, Kanał Suezki, Morze Czerwone i Ocean Indyjski na placówki misyjne do Chin.

W Shanghai stanęły Siostry dnia 30 października (1932 r.). Tu nastąpił rozdział Sióstr. Siostry prow. warszawskiej pojechały do Pekinu, a potem do Shuntehfu a S. Kruczkiewicz została w Domu Centralnym Sióstr w Shanghai, a następnie przeniosła się do Wenchow.

Poniżej załączamy wyjątki z listów S. Kruczkiewicz pisanych do jednej ze Sióstr prow. krakowskiej, a przedstawiających podróż naszych misjonarek oraz prace S. Emilji K. w Shanghaju.

Morze Śródziemne, dnia 24 września 1932 r.

Już drugi dzień jesteśmy na pełnem morzu, a ponieważ jest bardzo grzeczne i spokojne, a morska choroba jeszcze się nie zjawiła, zabieram się do opisania podróży.

W dzień wyjazdu naszego z Warszawy (12/9) X. Kardynał Kakowski celebrował Mszę św., a uroczyste nabożeństwo pożegnalne wieczór o 8-mej X. Bp. Gall. — Około 10-tej wieczór udałyśmy się na dworzec, gdzie czekały tłumy Sióstr, osób świeckich, a także X. Wizytator, X. Witaszek, X. Dembinski i X. Kapelan. Do Zbąszynia odwiozła nas S. Wizytatorka Kakowska. Podróż miałyśmy bardzo dobrą; do Paryża przybyłyśmy o 6½ rano. Tam czekała na nas S. Walewska. Wsiadłyśmy do tej „kibitki" dobrze Siostrom znanej i zajechałyśmy do Domu Macierzyńskiego prawie na Mszę św. Matka Generalna i S. Asystentka nieobecne,

więc tylko S. Poplińska nas witała. Drugi dzień spędziłyśmy u św. Kazimierza, a dalsze na zwiedzaniu.

Po powrocie Matki Generalnej z Anglji, byłam u Niej i dowiedziałam się, że jadę do Domu Centralnego w Shanghaju na razie, a może potem do Pekinu, wcale się tem jednak nie martwię.

W dzień wyjazdu z Paryża byłyśmy z Matką Generalną u św. Łazarza, gdzie Ojciec Generalny celebrował dla nas Mszę św. w sali relikwij. Potem wręczył nam Krzyże misyjne. Wieczór Seminarzystki śpiewały nam „Embarquons-nous", a o godzinie 8-mej wieczór udałyśmy się na dworzec lyoński. Czekały tam na nas Siostry od św. Kazimierza i X. Bieniasz. Odprowadziła nas Matka Generalna i Siostra Dyrektorka, gdyż jedzie z nami S. Lepicard, dawna oficjałka, mianowana wizytatorką do Indochin. Nasza ekspedycja misyjna jest prawdziwie międzynarodowa: i tak, jest nas 5 polek, 3 francuski, 1 angielka, 1 włoszka, 1 hiszpanka i jedzie z nami także do Shanghaju 1 karmelitanka bosa, 8 Sióstr Franciszkanek i 10 księży z Misyj Zagranicznych.

Do Marsylji przybyłyśmy o 10-tej rano. Następnego dnia byłyśmy na Mszy św. w Bazylice Notre Dame de la Garde. Figura Matki Boskiej wieńczy wysoką wieżę Bazyliki stojącej na skale i aż się w chmurach gubi. Dojeżdża się do Bazyliki kolejką zębatą. Przepiękny widok roztacza się na cały port i morze.

W dzień naszego wyjazdu odprawiły się Msze św. na Montmartre i w Lisieux, a w Krakowie odprawił Ojciec Dyrektor.

Ulokowaniem na okręcie zajęła się S. Lepicard. Mamy dość wygodne — o ile możliwe — kabiny. Śpię z jedną angielką, z francuską i z Karmelitanką, mam łóżko „na piętrze". Rano wstajemy o $5^1/_2$, bo o 6-tej zaczynają się Msze św., mało nas obecnych, bo się już trochę Siostry pochorowały. O godz. $7^1/_2$ śniadanie, o 10-tej drugie śniadanie, o 3-ciej podwieczorek o $6^1/_2$ obiad. Gorąco nam jeszcze nie dokucza, bardzo miłe i świeże powietrze mamy na okręcie. Siedzimy cały czas na pokładzie, mamy swoje leżaki z Domu Macierzyńskiego. Idziemy tylko rano wspólnie do salonu I. klasy na Mszę św., a potem bierzemy książki, robótki i dalej na pokład, gdzie odmawiamy sobie koronkę, pacierze, odprawiamy czytania i medytacje. W sali jadalnej jemy wspólnie ze świeckiemi, tylko przy osobnym stole.

25-go września. — Dziś niedziela, oprócz rannych Mszy św. o godz. $8^1/_2$ była suma dla pasażerów w sali koncertowej, dość dużo było ludzi; między innemi cała rodzina chińska: ojciec, matka i 4 dzieci, bardzo pobożnie się zachowywali. Dużo chińczyków mamy na okręcie, prawie cała niższa służba, to chińczycy. Także małe dzieci pasażerów bawią się w przeznaczonej na to salce.

Posuwamy się coraz dalej na południe, słońce coraz bardziej prażyć zaczyna, pogoda przepiękna, morze wygląda jak jedna tafla gładka. Upłynęliśmy już od Marsylji 321 mil morskich jak mapa wskazuje, a zostaje nam jeszcze do pierwszego przystanku t. j. do Port Saïd 923 mil.

27 września. — Dobijamy do portu, będziemy jutro około 7 rano, kończę, by list odesłać. Czuję się znakomicie.

Morze czerwone, Dżibutti, 1 października 1932.

W Port Said stanęliśmy 28 października o 10 rano na środku morza. Nasz okręt „Pan generał Metzinger" nie był łaskaw zboczyć do portu. Mieliśmy się zatrzymać do 5 popołudniu. Pasażerów, którzy wysiadali, odwożono motorówkami do portu. Po nas przyjechała motorówką jedna Siostra z Port Said i zabrała nas do domu. Zjadłyśmy tam obiad, a potem zwiedzałyśmy szpital Jest to szpital miejski egipski i przeważnie leżą tam Egipcjanie, a nie brak i Europejczyków. Szpital bardzo porządny, bielizna czysta, mają nawet Roentgen. Ciekawą rzecz zauważyłam, otóż leżała tam murzynka z operowanemi nogami; skóra, która świeżo pokryła ciało była zupełnie biała. Leczą tam wszystkie rodzaje chorób, ale $^3/_4$ chorych to z wyjętą śledzioną. Choroba śledziony jest tu tak rozpowszechniona, że dzieci kilkuletnie z ogromnemi wzdętemi brzuszkami, czekają już na operacje. Powodem tej choroby jest woda. Mówiła nam Siostra, która nas oprowadzała (rodowita Egipcjanka), że aby woda tamtejsza mogła być zdrową i zdatną do picia, musi być przepuszczona przez kalihypermanganicum i odpowiednio filtrowana. Wszystkie Siostry tamtejsze (jest ich 23) noszą suknie z materji lekkiej, podobnej do alpaki, lecz bez połysku, a cały dzień chodzą w białych chałatach bez sukien.

Miasto przepiękne, budynki duże, czyste, ulice asfaltowane, ale trotuarów niema, tylko deptaki wysypane piaskiem, w którym

trzeba brnąć po kostki. Toteż Europejczycy spacerują środkiem ulicy, a na bocznych ulicach spacerujące kozy — a Egipcjanie siedzą na kuczkach w piasku lub śpią wygodnie wyciągnięci. Kobiety noszą czarne długie suknie i zasłony na twarzy. Około 3-ciej po południu ruszyłyśmy zpowrotem do okrętu. O 5-tej podniesiono kotwicę i okręt wjechał w Kanał Suezki. Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie Kanał Suezki — jest to szeroki sztuczny rów, którego brzegi przepięknie obsadzone palmami i różnego rodzaju roślinnością. Jest on widocznie za płytki i za wąski dla takich okrętów jak nasz, bo nie może kołami obracać, tylko dwie małe „perełki“ ciągły go przez cały czas, t. j. dwanaście godzin. Nic nie można było spać, bo mijające nas okręty tak blisko przesuwały się koło nas, a pasażerowie tak głośno wzajemnie przesyłali sobie życzenia szczęśliwej podróży, że niepodobna było zmrużyć oka. Na brzegach kanału mają nasze Siostry dwa domy, są tam przystanki i jedna z Sióstr tam wysiadła. Rano ukazała się nam góra Synai, po obydwóch stronach sterczą niebotyczne skały i góry piaskowe. Z jednej pustynia Arabska, z drugiej Egipt. Morze wzburzone bardzo, woda czarna, a miły wietrzyk nas chłodził. Teraz jednak na Morzu Czerwonem skwar coraz większy się wzmaga, powierzchnia wody gładka jak tafla, kolor wody nie „czerwony“, lecz szafirowy, jak woda do farbowania bielizny. Ale dzięki temu, że morze spokojne, nie chorujemy; w nocy tylko spać nie można, taki upał, mimo, że okno otwarte a wiatrak elektryczny u sufitu całą noc czynny. Mamy wielką wygodę na okręcie z powodu dużej ilości łazienek, z których można korzystać o każdej porze dnia. Biorę zatem zimną kąpiel morską, a nielada ze mnie „burżujka“, bo co kilka dni w innem morzu się kąpię. Cały dzień na okręcie dość przyjemnie upływa, chociaż czasem rozbawieni pasażerowie i krzyczące dzieci przeszkadzają. Gdy jest za głośno, uciekamy cichaczem na najwyższy pomost. Zrobiłyśmy znajomość z kapitanem okrętu, który nam 5-ciu polkom pozwala tam chodzić i sam przychodzi do nas, udziela nam różnych ciekawych informacyj, a my go uczymy po polsku. Wielką żywi sympatję dla Polski. Zwiedziłyśmy też pralnię okrętową wzorowo urządzoną, z maszynami i gorącemi wałami do prasowania, zajęci są w niej tylko sami mężczyźni, Chińczycy.

Ocean Indyjski, 14 października 1932.

Zatrzymaliśmy się w dwóch portach, pierwszy Dżibuti, który istnieje dopiero od 20 lat. Nie wstępowałyśmy do miasta. Widzi się tu już tylko samych murzynów o bardzo marnym wyglądzie i ledwie ubranych, a ciężko pracujących. Około okrętu kręciło się dużo handlarzy owoców i różnych świecidełek. W odległości kilkudziesięciu metrów widziałyśmy zatopiony okręt, który od 6-ciu lat leży sobie na boku. Nie mogą go wyciągnąć. Z Dżibuti wjeżdża się w zatokę Adeńską. Nie wiem, czy Siostra wie, że w Adenie od początku świata kropla deszczu nie spadła, mówił nam to w Paryżu X. Bieniasz, teraz od czasu do czasu coś deszczu kapnie. Z zatoki wjechaliśmy w Ocean Indyjski i zaczęło być z nami źle, bo gdy okręt zajechał na głębię, tak woda zaczęła okręt unosić i kołysać nim, że aż ściany trzeszczały, chociaż powierzchnia oceanu była zupełnie spokojna. Po kolacji wszystkie próbowałyśmy chorować. Ja leżałam jeden dzień, ale Siostry warszawskie od dwóch tygodni rzadko kajutę opuszczają.

10 października dobiliśmy do wyspy Ceylon do Colombo, gdzie znowu okręt stanął na środku morza. W Colombo zawiadomione o naszem przybyciu były Siostry ze Zgromadzenia „Służebnic ubogich" znajome Siostry Lepicard. Wsiadłyśmy zatem do małego parowca i jazda na brzeg. Na molo czekały na nas dwie tamtejsze siostrzyczki i zabrały nas tramwajem do siebie. W tramwaju motorowy i konduktor czarni, w mundurach, ale boso. Służebniczki te mają w Colombo przytułek dla starców i staruszek. Zakład jak cacko: czyściutki, miły, otoczony lasem różnego rodzaju palm. Pensjonarjusze to sami murzyni i murzynki. One mają kolczyki w uszach i w nosie, a mężczyźni chodzą w spodniczkach — mają długie włosy, które skręcają sobie w kółko i upinają na głowie. Zakład utrzymują Siostry tylko z opatrzności Bożej, a starcy mają wszystkiego poddostatkiem: bielizna czyściutka na nich i na łóżkach, a porcje bardzo obfite jak to widziałyśmy, zwiedzając Zakład w czasie obiadu. Mieli zupę, potem mięso z ryżem i jakąś jarzynę podobną do włoskiej kapusty. Jedli nie posługując się łyżkami, tylko palcami wybierali wszystko z talerza. Bardzo miło nas staruszkowie witali i cieszyli się nami, składając ręce jak do modlitwy.

Po podwieczorku udałyśmy się autobusem zpowrotem do portu, ale zanim wsiadłyśmy do łodzi poszłyśmy do miasta, by zrobić małe zakupy. Sklep „à la Bon Marché“ w Paryżu, gdzie można wszystko dostać. Właściciele Anglicy i płacić trzeba angielską monetą, bo Colombo to angielska posiadłość.

Gdyśmy wjechali na pełne morze „Generał Metzinger“ rozpoczął swoje harce i kołysze nami na wszystkie strony, ale już się przyzwyczaiłam do tego i nic sobie z tego nie robię, chociaż chodzimy wszystkie jak odurzone. Muszę Siostrze powiedzieć, żeśmy były w błędzie sądząc, że na okręcie można wypocząć! Najgorsze noce, spać nie można z powodu niemożliwego zaduchu, chociaż okienko otwarte. Do tego jeszcze dokucza nam wysypka z gorąca. Wyglądamy jak chore na szkarlatynę, a niektórym Siostrom utworzyły się jakby małe abscesiki. Trzeba jednak przyznać, że bardzo troskliwie opiekują się tu na okręcie chorymi, gdy tylko której Siostrze coś przy stole brakuje, zaraz maitre d'hotel posyła pokojówkę do kabiny po dyspozycje i dostaje się wszystko czego się zażąda. Wogóle w podziw mnie wprawia grzeczność francuzów, nie wiem, czy to jest im wszystkim właściwe, czy tylko na okręcie są tak wszyscy uprzejmi bez wyjątku.

Shanghai, dnia 6-go listopada 1932 r.

W niedzielę dnia 30-go października w uroczystość Chrystusa Króla przybyłyśmy na miejsce. Spóźniliśmy się o jeden dzień, a to dlatego, że Morze Chińskie było takie „furieux“, że nam się coś w okręcie popsuło i w Hong Kong zaciągnęli nas do doku, gdzie trzymali nas 14 godzin aż do ukończenia naprawy. W porcie czekali na nas X. Sup. Kurtyka, S. Dyrektorka i S. Zagrodzka. X. Superjor spodziewał się przybycia księży z Krakowa. Po załatwieniu formalności celnych pojechałyśmy do Domu Centralnego (Avenue Dubail 149), gdzie przyjęto nas z nadzwyczajną serdecznością. Następnego dnia S. Wizytatorka wezwała nas do siebie, t. j. S. francuskę, angielkę i mnie, aby nam oznajmić, gdzie jesteśmy przeznaczone. Otóż dwie tamte Siostry pojechały do Pekinu, a ja zostaję w Domu Centralnym. Popołudniu 1 listopada odprowadziłyśmy z S. Zagrodzką nasze Siostry war-

szawskie do okrętu, który ma je zawieźć do Tien-Tsin, skąd koleją do Pekinu. Tam mają zabawić 3 dni i dalej do Shuntehfu.

Dom Centralny w Shanghaju składa się z bardzo ładnych budynków, ogrodu i pięknej kaplicy. Wybudowany na terenie koncesji francuskiej. Przy domu znajduje się szpital dla ubogich i przychodnia (dispensaire). Codziennie mamy Mszę św. o 5½ rano, a w niedzielę i święta 3 msze św. Całe tłumy chińczyków i spora liczba europejczyków bierze udział w nabożeństwie i prawie wszyscy obecni przystępują do Komunji św., mężczyźni, kobiety i także małe dzieci stoją przy balaskach. To przypomina pierwsze wieki chrześcijaństwa. Bardzo wzruszający widok, jak np. inteligentny europejczyk klęka obok ubogiego kaleki chińczyka, kobieta z niemowlęciem na ręku przystępuje do Komunji św. (niema gdzie maleństwa zostawić). Widzi się jedność Rodziny Chrystusowej. Chińczycy katoliccy tak mężczyźni jak i niewiasty są uderzająco pobożni i skupieni w kaplicy; szczególne widać mają nabożeństwo do Drogi Krzyżowej, którą wspólnie odprawiają. W niedziele i święta, ksiądz już o 5-tej rano zaczyna spowiadać, a konfesjonał oblężony.

A teraz opiszę, jak spędzam dzień. Otóż po śniadaniu do godziny 8-mej lekcje języka chińskiego. Nie wiem czy Siostra wie, że w Chinach jest spora ilość języków i djalektów, tak że Chińczyk z Shanghaju nie rozumie Chińczyka z Pekinu lub innego miasta. Ale jest jeden język zwany językiem Mandarynów, który rozumieją w całych Chinach. Otóż tego języka uczy mnie jedna z Sióstr, która mieszka już tu od kilkudziesięciu lat. O 8-mej udaję się do „Dispensaire“ do 11½. Jest nas 8 sióstr i kilka aspirantek. Przychodzą tu najubożsi z różnemi chorobami, a szczególnie z ocznemi i z okropnemi ranami na nogach, nie wiadomo z czego, ale chyba z brudu. Bo trudno sobie wyobrazić, jaka tu nędza i brud — nie do opisania. Po poradę zgłasza sę przeciętnie 1.700 chorych dziennie. Ja z jedną Siostrą Chinką opatrujemy nogi. Opatrunki liczy się i wpisuje do książki. Otóż jak pierwszy raz liczyłam, zrobiłam 92 opatrunki. Śliczna tu praca, wprawdzie nie można mówić biedakom o Bogu, bo nie umie i niema na to czasu, ale gdy się człowiek do nich uśmiechnie, lub okaże nieme współczucie, to są tak szczęśliwi, że aż ręce składają. Korzystamy

gdy przynoszą dzieci ciężko chore, chrzci się je, ja już ochrzciłam troje; poczciwe Siostry widząc jak mnie to cieszy, wołają mnie, gdy mają jakie dziecko do ochrzczenia. Ale dziwne są tu opatrunki: na kawałku papieru przykłada się maść, papierem się owija i zawiązuje troczkami ze starej bielizny! A jednak rany ślicznie się goją mimo brudu chorych. Brak aseptyki, widocznie Bog błogosławi miłosierdzie! Bardzo biednym daje się także jałmużnę pieniężną.

Po obiedzie rekreacja, a kwadrans przed 1-szą odprawiamy sobie czytanie, t. j. S. francuska, chinka i ja, a po 1-szej udajemy się na najuboższe przedmieście Shanghaju, gdzie mamy także „dispensaire". Miasto przejeżdżamy tramwajem, poczciwi Chińczycy pozwalają nam darmo jechać, potem motorówką przeprawiamy się przez rzekę Żółtą do dzielnicy, gdzie ubodzy mieszkają na łodziach i w domkach skleconych z kawałków starej blachy, starych rogóżek, mat i kawałków desek. Nędza i zapachy nie do opisania. Gdy nas dzieciaki zobaczą, wołają „mu-mołe tse" t. j. Siostry już przyszły i momentalnie zapełnia się ambulatorjum. Są tam dwie oddzielne sale, jedna dla mężczyzn, druga dla kobiet i dzieci. Ja opatruję teraz mężczyzn i teraz bardzo odczuwam brak znajomości chorób ocznych, bo w Domu Centralnym dwie Siostry opatrują oczy, a tu na przedmieściu każda Siostra musi w swem ambulatorjum opatrzyć swoich chorych, jacy oni są. Zajęte tam jesteśmy do 5 tej, potem wracamy do domu. Na rzece Żółtej musimy codziennie okrążać okręty wojenne, które stale tam stoją najeżone lufami armatniemi. — Nieprawda? śliczne mam zajęcie, czuję, jak mi droga Siostra zazdrości.

W Shanghaju klimat prawie południowy, kwitną jeszcze w najlepsze kwiaty, jarzyny rosną, niektóre warzywa dopiero posiane. Jest tu teraz tak, jak u nas na początku września i tak będzie podobno do stycznia. Później będzie trochę zimno — ale chyba nie bardzo, bo w ogrodzie rosną palmy, figi i banany, a w domu wcale pieców niema. Ale w lecie upały dochodzą do 60° tak, że Siostry muszą codziennie bieliznę zmieniać.

Shanghai, dnia 1 stycznia 1933.

Za listy serdecznie dziękuję — wszystkie odebrałam — nie przypuszczałam, że listy z Polski otrzymuje się dopiero po mie-

siącu i 2 dniach, a to dlatego, że z powodu rozruchów na północy idą listy przez Japonję.

Już pierwsze święta Bożego Narodzenia spędzone w Chinach! Nic mi się jednak nie wydawało, że to święta, ani mrozu, ani śniegu, widziałam tylko jak sprzedawali choinki. W kaplicy wprawdzie jest bardzo ładna szopka w skale, ubrana choinkami i świeżemi różami, narcyzami i goździkami. Ale w szopce oprócz Dzieciątka Jezus, które nawet nie leży w żłóbku tylko na słomie ryżowej, niema nic więcej. Tu nigdy niema Mszy św. śpiewanej, nawet Pasterka była cicha i nigdy Mszy św. z wystawieniem N. Sakr.

Ach jak tu te biedne dzieci są poniewierane! Kilka dni przed świętami rano znaleziono pod naszą furtą dziecko, noworodka, uduszone, jeszcze ze sznurkiem na szyi. Innego dnia znowu przyszła do ambulatorjum jedna kobieta prosząc o truciznę dla swego dziecka, które nie jest w stanie wychować: Siostra skorzystała z okazji i prosiła o dziecko, że je będzie wychowywać. Chinka z radością je zostawiła. Chore dzieci uważają Chińczycy za przekleństwo domu i dlatego dzieci chore, nieraz żywe jeszcze, zabijają do paczek i wyrzucają gdziebądź. Sama widziałam przed dwoma tygodniami pod naszym murem, że leżała taka paczka ze zwłokami dziecka. Jest tu w Shanghaju zakład pogrzebowy, który zajmuje się zbieraniem zwłok po mieście. Funkcje te spełnia jakiś poczciwy Chińczyk, który gdy posłyszy, że dziecko jeszcze żywe, odbija paczkę i przynosi do nas dziecko w koszyku; naturalnie zaraz się je chrzci. Jedno z nich żyło jeszcze dwa dni. W dzień Bożego Narodzenia jedna chrześcijanka wychodząc od nas po Mszy św., znalazła niemowlę owinięte w łachmany i przyniosła prędko do furty, drgnęło jeszcze ostatni raz, gdy mu Siostra wodą polewała główkę. Boskie Dzieciątko zabrało je do siebie.

Na przedmieściu Pontony, na którem codziennie pracują, znajduje się plac, przez który się przechodzi. Otóż pod murami fabrycznemi na śmietniskach widzi się wyrzucone paczki ze zwłokami dzieci.

Gdy się wyjdzie z miasta, to pola i ogrody po obydwóch stronach drogi wyglądają jak cmentarzyska. Chińczycy nie mają cmentarzów, ale paki ze zwłokami umarłych stawiają między ja-

rzynami w polach, nieraz 2—3 razem sznurem związane, jedne nowe, inne zbutwiałe lub rozsypujące się. Czasem przykryją pakę ziemią lub wybudują z cegły domek wielkości paki. Dla Chińczyków-katolików zakupiło trzech bogatych lekarzy ogromny kawał ziemi daleko za miastem na cmentarz katolicki. Wybudowali śliczną kaplicę i cmentarz cały otoczyli murem; w murze są stacje drogi krzyżowej, które tak chętnie Chińczycy odprawiają. Jeden z tych lekarzy, ojciec szarytki, studjował medycynę w Berlinie, jest bardzo dobrym katolikiem. Na swojej bardzo wysokiej kamienicy w mieście, na płaskim dachu, umieścił figurę Najśw. Serca Jezusowego, tak że Pan Jezus z rozciągniętemi rękami panuje nad całą dzielnicą.

Dziwnie Chińczycy-katolicy są gorliwi. Na Boże Narodzenie przystąpiło do Komunji św. 460 osób a przecież kaplica nie duża, a do nas przychodzi sama inteligencja chińska.

Mylne jest mniemanie u nas, że Shanghai to miasto europejskie. Wprawdzie budynki i kamienice podobne jak w Europie, ale np. ja codzień przejeżdżam kawał miasta i to przeważnie dzielnicę francuską, a rzadko kiedy spotykam twarz europejską, natomiast roi się istne mrowisko chińskie.

Ze S. Zagrodzką nie mieszkamy w jednym domu, ona pracuje w szpitalu Najśw. Panny. Właściwie są to kliniki, własność jezuickiego uniwersytetu „Aurora“. Szpital ten składa się z kilku dużych pawilonów, jeden dla samych księży, jeden dla marynarzy, reszta dla innych osób i „maternité“. Pawilony bardzo ładne, możnaby je porównać tylko do szpitala w Białej. Są 3 klasy jak u nas i leczą tu także bezpłatnie ubogich chorych. Pawilon zakaźny, to prawdziwe cacko.

KRONIKA.

Do Prowincji Polskiej w sprawie Konwentu.

Kraków, dnia 3-go maja 1933 r.

Czcigodni Księża i Kochani Bracia!

Łaska Pana naszego niech będzie zawsze z nami!

Najprzewielebniejszy Ojciec Wikarjusz Generalny listem okólnym z 29 stycznia b. r. zapowiedział i zwołał Konwent Generalny do Paryża na 26 lipca b. r. celem wyboru nowego Ojca Generała w miejsce ś. p. Najprzewielebniejszego Ojca Verdier.

Jasno wyłuszczone w nim szczegóły uwalniają mnie od obowiązku szerszego wypowiedzenia się w tym względzie. Dlatego po zwołaniu, datowanem przezemnie 15 marca b. r. konwentów poszczególnych domów Prowincji Polskiej Zgromadzenia w kraju, w wiceprowincjach i misjach naszych i konwentu prowincjonalnego w Krakowie na Stradomiu na dzień 20 czerwca b. r., poprzestanę na kilku uwagach.

Pragnąłbym, abyśmy się myślą i sercem przenieśli do Wieczernika Pańskiego, do zebranych tam Świętych Apostołów z Najświętszą Matką Bożą i pierwszymi wiernymi. To stało się na rozkaz Zbawiciela, że się zgromadzili w Jeruzalem w oczekiwaniu na Ducha św. i przygotowaniu na Jego przyjście. Ale to było okazją, że tam i wtedy wybrali i nowego Apostoła w osobie św. Macieja. I nam wolno zgodnie z Konstytucją, której w tym roku obchodzimy jubileusz trzechsetletni, wybierać Ojca. W uczuciach, przejętych od Apostołów, kiedy na górze Oliwnej towarzyszyli zachwyconemi oczyma i podniesionem sercem wstępującemu do

nieba Zbawicielowi, a potem z gotowością oczekiwali na utwierdzenie Ducha św., i my zbieramy się w duchu wiary 20 czerwca i 26 lipca b. r. celem wyboru naszego Ojca i pokrzepienia się i odnowienia w duchu pierwotnym Zgromadzenia. Zgromadzenie ukonstytuowane przez Ojca świętego przed trzystu laty w Kościele Świętym, to nasz przedsionek nieba, bo i nam i drugim ma ono utorować drogę do nieba za Boskim Zbawicielem. Ten sam Duch Przenajświętszy ma tego dokonać w nas i przez nas, by życie na ziemi stało się nam drogą do nieba, gdzie z Ojcem i Duchem św. uczestniczyć będziemy w chwale i szczęściu Syna Bożego, naszego Zbawiciela.

Zanim się zbierzemy na konwent prowincjonalny, w każdym domu Prowincji w czasie nowenny przed Zielonemi Świątkami każdy z Ichmość Księży odprawi jedną mszę św. do Ducha św. o powodzenie w pracach konwentu prowincjonalnego i generalnego. W czasie całej nowenny codziennie Ichmość Księża dołączą do intencji mszalnej szczególną jeszcze w tej samej myśli. A Klerycy i Bracia przyjmą w tej intencji Komunję św. w dzień Zielonych Świątek, a w każdy dzień nowenny odmówią swoją koronkę. Wszyscy zaś wspólnie w czasie nowenny po modlitwach wieczornych odmawiać będziemy: Veni Creator Spiritus, Ave Maria i te trzy wezwania: Virgo potens ora pro nobis, Sancte Joseph ora pro nobis, Sancte Vincenti ora pro nobis.

Żyjemy w roku jubileuszowym. Kiedy 1900 lat temu Zbawiciel otworzył księgę Pisma św., trafił na słowa Izajasza: „Evangelizare pauperibus misit me, praedicare annum Domini acceptum", „posłał mnie głosić ewangelję ubogim, zwiastować miłościwe Lato Pańskie" I. IV. My żywo święcimy pamiątkę tego miłościwego dla nas wszystkich Lata, a Zgromadzenia św. Wincentego cieszą się szczególnem przywilejem, że je Zbawiciel uczynił godnemi, by mogły dołączyć do jubileuszu całej ludzkości swoje, tak ściśle złączone ze sprawą zbawienia ludzkości: trzysta lat naszej Konstytucji, trzysta lat Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia i Pań Miłosierdzia, sto lat Towarzystwa św. Wincentego, sto lat Dzieci Marji i Cudownego Medalika. A święcą je nasi ubodzy, którzy od trzystu lat są cząstką naszych Zgromadzeń, jak byli ukochaną cząstką Zbawiciela i Kościoła od 1900 lat.

Wybierajmy nowego Ojca, jak pierwsi wierni z Apostołami wybierali Apostoła Macieja pod okiem Niepokalanej Matki za natchnieniem Ducha św. uradzajmy w sumieniu, oświeconem i ożywionem duchem wiary i miłości, odnawiajmy się w duchu pierwotnym pierwszych wiernych i starych Ojców naszych, abyśmy nieskażonego ducha św. Wincentego słowem i przykładem przekazać mogli tym, co po nas przyjdą. Z pokolenia na pokolenie niech dzieci św. Wincentego pójdą w ślady samego św. Ojca, błogosławionej, a niebawem św. Matki Ludwiki, błogosławionej Katarzyny i tylu uwielbionych Braci i Sióstr naszych w niebie. I Panie i Panowie i Dzieci Marji i ubodzy wszyscy z Rodziny św. Wincentego tam czekają na nas, byśmy poprzez miłościwe lato przeszli do szczęśliwej wieczności na wieczne miłościwe Lato Pańskie.

W roku jubileuszowym pod dniem 2 marca otworzył Ojciec św. naszą Pretekturę Apostolską w Shuntehfu w Chinach i pobłogosławił w Rzymie naszych młodych sześciu Misjonarzy, którzy odważnie poświęcili się na misję chińską. W Brazylji zamknął oczy ś. p. X. Jacek Mięsopust, prawdziwy wzór Misjonarza według serca Bożego. Niestrudzony od młodości w służbie Bożej, głęboko pobożny, pełen poświęcenia dla drugich jako uczeń i profesor, tu i tam apostolskim duchem ożywiony, kochający wszystkich i przez wszystkich poważany i kochany Konfrater poszedł po zasłużony wieniec do nieba. Ufam i jestem o tem przekonany, że tam w niebie całe szeregi polskich Misjonarzy i polskich Sióstr Miłosierdzia, ze starszego i młodszego pokolenia, orędują za nami skutecznie. Nie waham się wzywać ich przyczyny w tych ciężkich czasach. Ale kiedy czasy były lekkie? Lekkiemi się stają przez wierność dla ducha powołania przez modlitwę i wzajemną miłość. Polecam modlitwom Zgromadzenia Ichmość Księży, którzy w tym jubileuszowym roku święcą 25 lecie kapłaństwa, a tu i tam w Brazylji ciężko i owocnie pracowali dla Pana Jezusa. I tych gorąco polecam modlitwom Zgromadzenia, którzy się święcą obecnie, a z pomiędzy nich 7 pracuje już w Chinach. Szczególnie polecam modlitwom Zgromadzenia całą młodzież naszą duchowną i Seminarjum w Wilnie i starszych kleryków na Kleparzu i Stradomiu i nasze drogie, małe Seminarja na Nowej

Wsi i w Bygdoszczy i nasze zakłady w Erie i w Curitybie i nasze zakłady imienia X. Siemaszki.

A wszyscy módlmy się gorąco za nasze Siostry Miłosierdzia w ich roku jubileuszowym, szczególnie za Siostry nasze w Chinach i Brazylji. Módlmy się za Stowarzyszenie Pań, Towarzystwo św. Wincentego, Dzieci Marji i naszych ubogich.

W miłości Pana naszego i Jego Niepokalanej Matki całem sercem oddany sługa

X. Józef Kryska C. M.

Kraków, Stradom.

Początek roku szkolnego. — Jak zawsze, rok szkolny zaczął się rekolekcjami wspólnemi 31 sierpnia, w których cały dom brał udział.

Już 10 września była msza św. do Ducha św. na początek roku szkolnego. Przy organach nasz chór i p. Wallek-Walewski z batutą, w stalach reszta kleryków teologów oraz eksterniści Paulini, Augustjanie, Pijarzy. Msza św. jest z asystą. Oprócz poprzednio wymienionych księży profesorów i prelegentów (cfr. Roczniki 1933 cz. 1) wykładają X. Stanisław Mazanek katechetykę i p. Hamel francuskie. Lekarzem domowym jest p. Dr. Tochowicz. Katechetykę dotąd wykładał przez 24 lata X. Infułat Ślepicki.

X. Góral i X. Hajduk do Brazylji. — 21 października wyjechał z Krakowa X. Góral, który tu był przez parę miesięcy. Zabiera z sobą X. Hajduka, który czeka na niego w Poznaniu. Stamtąd do Paryża. Z Bordeaux ich statek Kerguelen wyjeżdża 27 października.

Święcenia na Stradomiu. — 6 listopada X. Biskup Rospond udzielał święceń na Stradomiu. Subdiakonat otrzymali: Wiktor Brzóska, Kazimierz Całka, Władysław Giemza, Wawrzyniec Karcz, Łukasz Sitko, Józef Woźniacki. Niższe święcenia mianowicie ostjarjat i lektorat otrzymał III. i II. kurs. Byli również do święceń klerycy franciszkańscy, augustjańscy, karmeliccy i salezjańscy.

X. Grygljak do St. Zjednoczonych. — W parę dni potem, bo 10 listopada X. Grygljak wyjechał do Bremy, a stąd do Stanów Zjednoczonych.

Uroczyste triduum u OO. Dominikanów. — 13, 14 i 15 listopada Ojcowie Dominikanie uroczyście obchodzili kanonizację św. Alberta Wielkiego. Braliśmy udział w uroczystości w ten sposób, że w pierwszym dniu triduum miał kazanie X. Superjor Szymbor, w trzecim dniu śpiewali nasi klerycy śpiewy gregorjańskie z wszystkiemi seminarjami krakowskiemi a na Akademji w Domu Katolickim miał wykład o filozofji św. Alberta W. X. rektor Konstanty Michalski.

Polski seminarzysta w Paryżu. — X. Edmund Krauze dotychczasowy wikarjusz przy Katedrze w Gnieźnie, wstąpił dnia 3 listopada do Zgromadzenia na Stradomiu. Wyjechał 19 listopada do Paryża. Tam odprawi seminarjum.

Smierć X. Wrony. — Dnia 22 listopada przyszedł telegram z Milatyna: X. Wrona umarł dziś. Pogrzeb czwartek rano. Wywołało to dużą konsternację. Dokładniej omawialiśmy jego przymioty na wieczornej konferencji. W dzień pogrzebu zaś odprawialiśmy na Stradomiu żałobne nabożeństwo.

Ś. p. X. Prałat Korzonkiewicz. — W tym samym dniu, kiedyśmy się modlili za duszę ś. p. X. Wrony, telefonowano do nas z Wawelu, że X. prałat Korzonkiewicz jest konający i że prosi o modlitwy, a w parę dni później nasi księża i klerycy brali udział w jego pogrzebie. Bardzo przyjaźnie zawsze odnosił się do naszego Zgromadzenia.

Wykład misyjny. — X. Jęczmionka miał 27 listopada wykład misyjny w Domu Pracy na Kazimierzu. Idee misyjne Piusa XI. trafiają na dobrą rolę, u nas zwłaszcza wobec prędko wzrastających misyj naszych w Chinach.

Święcenia kapłańskie. — X. Biskup Rospond udzielił w naszym kościele na Stradomiu święceń prezbiteratu sześciu diakonom 4 grudnia. Wyświęceni to XX: Wiktor Brzóska, Kazimierz Całka, Władysław Giemza, Wawrzyniec Karcz, Łukasz Sitko, Józef Woźniacki. Obcych nie było. Ani nie było innych święceń. Wszystko szło w pięknym porządku, w skupieniu, z namaszczeniem. A już śpiew. „Iam non dicam vos servos“ wykonany był z przejęciem jak nigdy. Dyrygował znów p. Wallek-Walewski. Pojadą teraz neoprezbiterzy na prymicje, a potem na misje na Daleki Wschód, do Chin.

S a k r a m e n t b i e r z m o w a n i a. — To się chyba bardzo rzadko zdarza: na Stradomiu klerykowi i bratu udzielił X. Biskup Rospond sakramentu bierzmowania. Udzielił go zaraz po święceniach kapłańskich, o których wyżej, klerykowi Henrykowi Sawickiemu i bratu Michałowi Wolakowi.

K a z a n i a t e o l o g ó w. — Teologowie nasi w każdą niedzielę i święto prawią kazania do ubogich w zakładzie Braci Albertynów na Kazimierzu oraz do ubogich w kaplicy XX. Misjonarzy na Kleparzu. W czasie przed Bożem Narodzeniem mówią kazania na temat warunków sakramentu pokuty. W ten sposób zawczasu zaprawiają się do urzędu kaznodziejskiego.

R e k o l e k c j e u OO. K a m e d u ł ó w. — Wróciłem 17-go grudnia wieczorem od OO. Kamedułów z Bielan. Głosiłem rekolekcje. Zachwycony jestem eremem, zachwycony eremitami. Jaka cisza! Jakie cudowne położenie! Miałem 3 konferencje dziennie. Było 8 ojców, 16 braci, 4 nowicjuszów, t. j. wszyscy. Jest to najpiękniejszy i największy erem na całą Polskę. Ale i w całym zakonie kamedulskim największy erem. Nigdzie niema takiego. To przyznają nietylko Kameduli polscy, ale również i włoscy tak mówią. Wogóle Kamedułów wszystkich jest 78 ojców i 81 braci. W tem więcej niż połowa Polaków. Zachwycony też jestem ich ścisłą obserwancją. Mają na rok dwie kwadragezymy. I ja z nimi pościć musiałem przez cały czas rekolekcyj. Cisza grobowa w eremie. Słychać tylko kłapanie pantofli drewnianych. Dwa lata z rzędu miał u nich rekolekcje X. Stefan Król, dawniej X. Weissman kilka razy, a przed dawnemi laty X. Wilhelm Michalski. Wszystkich ich wspominają z wdzięcznością Kameduli.

Trzymają się reguły św. Benedykta. Pochodzą z klasztoru Montis Coronae. Na Bielanach założył erem Mikołaj Wolski, marszałek koronny 1604 r. na Górze Srebrnej, in Monte Argentino. Według tego jak się rozczytałem w różnych ich fundacjach, to ta była prawdziwie królewską fundacją. Ich dzieje opisał Zarewicz 1871 r., a bardzo obszerne są ich „Annales“ w 10 grubych tomach in folio po łacinie drukowane. Tak samo czytałem w rękopisie bardzo obszerny „Inwentarz Klasztoru Bielańskiego“ sporządzony 1872. Artykuł dokładny w dużej „Encyklopedji Kościelnej“ (Kameduli) napisany jest na podstawie Zarewicza.

Okólnik Rady Głównej o chorobie O. Generała. — Już nadchodziły przedtem wiadomości o chorobie ciężkiej O. Generała. Pod datą 17 grudnia Rada Główna przysłała do XX. Wizytatorów wiadomość o niebezpieczeństwie. Wszyscy żyją w Zgromadzeniu pod wrażeniem lęku o drogie życie.

Życzenia noworoczne. — W Nowy Rok o godz. 11 wszyscy księża poszli z życzeniami do X. Wizytatora. Wśród życzen noworocznych każdy myśli o chorobie O. Generała.

List noworoczny O. Generała. — Treścią jego są trzy rocznice. Jest krótszy niż innymi laty. Nadszedł z Paryża w połowie grudnia. Zaraz przetłumaczony na język polski wyszedł z druku po Bożem Narodzeniu a 30 grudnia już był na poczcie, do rozsyłki. Kto byłby przypuszczał, że to ostatni okólnik O. Generała Verdier! Na Stradomiu czytaliśmy go wieczór 30 grudnia.

X Madej wyjeżdża do Brazylji. — Z Krakowa wyjechał X. Madej 2 stycznia do Genui. Stamtąd do Brazylji.

Prymas Hlond na Stradomiu. — Niespodzianka bardzo miła i zaszczytna. X. Prymas przybył do Krakowa na konferencję biskupów a był tyle uprzejmy, że ledwie zamieszkał u księcia Metropolity, zaraz przybył 9 stycznia z pierwszą w Krakowie wizytą na Stradom, do X. Wizytatora, Superjora i Rektora Michalskiego. X. Wizytator w tym dniu był we Lwowie.

Misje i rekolekcje grupy krakowskiej. — Niektóre z nich odprawiał X. Kalla sam, inne z pomocą X. Swałtka i X. Błachuty:

Myjomice	(diecezja Poznańska)	10—15	kwietnia;
Bargłów	(diecezja Łomżyńska)	1—8	maja;
Krasnybór	„ „	8—14	„
Jaminy	„ „	15—20	„
Tarnawatka	(diecezja Lubelska)	29 maja do 5	czerwca;
Nabróż	„ „	5—10	czerwca;
Tomaszów Lubelski	„	12—19	„
Łaszczów (diecezja	„	19—23	„
Rzeplin	„ „	23—28	„
Łaszczów (rekol.)	„	6—10	lipca;
Krynice diecezja	„	10—14	„
Dźwiniaczka	(diecezja Lwowska)	21—24	„

Nowogródek Biskupi (diecezja Lwowska) 24–27 lipca;
Krzywcze (diecezja Lwowska) 28 sierpnia do 2 października;
Lwów (rekolekcje) 14—18 października;
Radziłłów (diecezja Łomżyńska) 19—23 października;
Janów Podlaski (diecezja Siedlecka) 6–9 listopada;
Konstantynów „ „ 9–13 „
Bydgoszcz (rekolekcje) 27 listopada do 4 grudnia;
Odporyszów (misje) 11–18 grudnia;
Kraków (rekolekcje S. Albertynek) 19–22 grudnia.

Nawrócenie św. Pawła. To dzień odpustu na Stradomiu i łączy się go z 40-godzinnem nabożeństwem 25, 26 i 27 stycznia. W pierwszym dniu było —21° C, w trzecim już —23° C. W naszym kościele bardzo się to odczuwa. W drugim dniu nadszedł telegram z Paryża, że O. Generał skonał 25-go stycznia.

Nabożeństwo żałobne za O. Generała. Zaraz 28 stycznia odprawiliśmy nabożeństwo za duszę jego. Żywo stanęły nam przed oczyma chwile, które spędził O. Generał na Stradomiu. Z głębokim żalem wspominaliśmy każde Jego dobre słowo, każdy ruch. O godzinie 7 było Officium Defunctorum, Matutinum i Laudes. Mszę św. z asystą celebrował X. Superjor, potem kondukt. Wszystko w prostocie starochrześcijańskiej, gregorjanki tylko, były śpiewane, nic na głosy. Powaga chwili tego się domagała Ale straszne zimno było w kościele —19° C. W Paryżu nabożeństwa żałobne i pogrzeb odbyły się dopiero później, bo 30-go stycznia.

X. Gadowski na rekolekcjach miesięcznych. Od kilku miesięcy już X. Gadowski, znany katecheta z Bochni i autor wielu prac kateehetycznych, przybywa do nas na rekolekcje miesięczne. Był na Nowy Rok, teraz znów je odprawia 30 i 31 stycznia.

Pożegnanie Misjonarzy chińskich. Odbyło się w niedzielę 19 lutego w naszym kościele stradomskim. Kościół przepełniony. Celebrował X. Całka, diakon X. Sitko, subdiakon X. Woźniacki. Wszyscy trzej pojadą do Chin. Pojadą też: X. Giemza, X. Brzóska i X. Karcz. W prezbiterjum klerycy wykonują śpiewy gregorjańskie, na chórze chłopcy z Małego Semi-

narjum. Są też Pijarzy, Augustjanie, Paulini, są alumni seminarjum częstochowskiego i śląskiego. Uroczystość ma widoczny, silny urok tak dla kleru jak dla wiernych. Kazanie wygłosił X. Superjor Szymbor.

Odjazd Misjonarzy do Chin. Wieczornym pociągiem o godzinie 9 dnia 24 lutego wymienieni Misjonarze wyjechali z Krakowa. W Rzymie Ojciec Święty przyjął ich na audjencji specjalnej, w Paryżu X. Wikarjusz Generalny, w Lourdes Matka Boska. Z Marsylji statek „Athos II“ 10 marca zabrał ich i przez Morze Śródziemne, przez Suez, zawiózł do Chin.

X. Jęczmionka opuszcza Stradom. Po złożeniu urzędu dyrektora 17 marca wyjechał X. Jęczmionka z Krakowa 25 marca. Był na urzędzie od 29 stycznia 1932 r. Wrócił do Chełmna, gdzie już poprzednio przebywał lat 7.

Nabożeństwo żałobne za ś. p. X. Męsopusta. Już znowu nabożeństwo żałobne. Z Rio de Janeiro nadeszła telegraficzna wiadomość, że X. Hiacynt Męsopust tam umarł dnia 21 marca. Odprawiliśmy nabożeństwo żałobne uroczyste 28 marca.

Konwent domowy na Stradomiu odbył się 26 i 27 kwietnia. Wybrano na deputata X. Chodurę.

Konwent prowincjonalny wyznaczył X. Wizytator na 20 czerwca.

Warszawa. Konwikt Teologiczny, dnia 10 kwietnia 1933 r.

W roku bieżącym mija lat piętnaście od powrotu naszego Zgromadzenia do Warszawy po 54-letniej przerwie (1864—1918) spowodowanej kasatą XX. Misjonarzy w dawnym zaborze rosyjskim. W dniu 25 stycznia 1918 roku zaczęli wraz ze świeckim duchowieństwem, zarządzającem parafją pod przewodnictwem ś. p. X. arcyb. Ruszkiewicza, pracować w kościele św. Krzyża ś. p. X. Stanisław Tyczkowski oraz XX. Konstanty Witaszek i Leopold Petrzyk, mając do pomocy w zakrystji Br. Józefa Fedzina. Mieszkali zaś w domu parafjalnym, zbudowanym przez świeckie duchowieństwo obok kościoła po lewej stronie presbiterjum. W tymże roku, dnia 10 kwietnia, osiedli XX. Wilhelm Michalski i Paweł Dembiński wraz z Br. Franciszkiem Grześko w dawnym domu misjonarskim po prawej stronie kościoła św. Krzyża u zbiegu ulic

Krakowskie Przedmieście i Traugutta, zwanej za rosyjskich czasów ul. hr. Berga.

W domu misjonarskim założono po porozumieniu się Episkopatu polskiego z rządem odrodzonej Rzeczypospolitej Konwikt Teologiczny dla księży, pragnących studjować na uniwersytecie warszawskim. Z gmachu misjonarskiego nietknięta została tylko oficyna równoległa do części domu przy ul. Krakowskie Przedmieście, a łącząca główne zabudowania z zakrystją św. Krzyża. Dawniej było z niej przejście wprost do zakrystji, na piętrze zaś połączenie z Seminarium Internum Zgromadzenia, mieszczącem się niegdyś ponad zakrystją i w przyległych dobudówkach nad bocznem wejściem do kościoła. W dwóch piętrach oficyny urządzono pomieszczenie dla 40 księży-studentów, na parterze zaś refektarz, kuchnię wraz ze spiżarnią i mieszkaniem dla służby. Reszta gmachu została za czasów rosyjskich przebudowana i rozbudowana dla pomieszczenia rosyjskiego gimnazjum. W miejscu, gdzie dawniej była wielka bibljoteka misjonarska, urządzono główną bramę wchodową z hallem i wspaniałemi schodami. W salach całego parteru przy ul. Traugutta mieści się obecnie gimnazjum św. Stanisława Kostki. Na piętrze (jednem tylko zamiast dawnych dwóch misjonarskich) jest obszerna kaplica Konwiktu gustownie urządzona i wymalowana pędzlem Procajłowicza, z pięknie intarsowanym ołtarzem; następnie dwie sale mieszkalne dla konwiktorów, potem czytelnia i sala rekreacyjna, na końcu zaś dawnego gmachu misjonarskiego bibljoteka im. hr. Łubieńskich, oddana na własność Zgromadzeniu, do użytku zaś księży-studentów. Na piętrze części dobudowanej mieści się t. zw. Theologicum, składające się z obszernej auli oraz czterech sal przeznaczonych na seminarja i bibjioteki poszczególnych sekcyj studjum teologicznego. W salach bocznych odbywają się również częściowo teologiczne wykłady uniwersyteckie a nawet inne; w auli zaś bywają publiczne wykłady uniwersyteckie, a nadto niedzielne odczyty Tow. im. Piotra Skargi, tygodnie naukowe, np. liturgiczne, katechetyczne, posiedzenia konferencyj biskupich, akademje papieskie i inne, inauguracje przeróżne, między innemi np. uroczyste zapoczątkowanie Akcji katolickiej parafji św. Krzyża i t. d. Reszta domu przy ul. Krakowskie Przedmieście służy na piętrze

na mieszkanie dla XX. Misjonarzy, parter zaś oprócz mieszkania dla furtjanów i rozmównic księży-studentów ma pokoje gościnne, przeznaczone głównie dla XX. Biskupów, zjeżdżających do stolicy na zjazdy lub w innych sprawach urzędowych.

Pierwszym i właściwym celem tego domu jest prowadzenie Konwinktu Teologicznego, powierzonego pieczy naszego Zgromadzenia. Szczupła zrazu liczba księży-studentów wzrosła w krótkim czasie ponad czterdziestkę i na tym poziomie utrzymuje się dotąd stale. Są to kapłani z większości diecezyj polskich, przedewszystkiem z warszawskiej, łódzkiej i podlaskiej; są pośród nich również księża uniccy ze Lwowa. Stopień doktorski uzyskało zgórą czterdziestu, pośród nich byli z naszego Zgromadzenia XX. Stark, Smidoda i Wiejaczka; wielu innych konwiktorów bądź nie kończyło studjów, bądź też poprzestało na magisterjum św. Teologji. Do urobienia duchownego tych kapłanów pomaga przedewszystkiem ścisły regulamin, codzienne ćwiczenia duchowe, tygodniowe konferencje oraz doroczne rekolekcje w Wielkim poście.

Konwiktem zarządzał jako pierwszy rektor, zasłużony zarówno przy samem założeniu zakładu jakoteż przy organizowaniu tworzącego się równocześnie wydziału teologicznego w uniwersytecie warszawskim, X. Wilhelm Michalski. Po nim w latach 1919 do 1927 był rektorem X. Józef Gaworzewski, na którego przypadł mozolny trud dalszego urządzenia Konwiktu, zabezpieczenia mu podstaw materjalnych oraz wprowadzenie w życie regulaminu księży-studentów. W latach 1927—1931 był X. Michalski ponownie rektorem, od lutego zaś roku 1931 został jego następcą X. Jan Weissmann. Obowiązki prokuratora Konwiktu pełnił chwilowo z początku X. Paweł Dembiński, po nim zaś w latach 1918 do 1920 X. Konstanty Witaszek, 1920—1926 X. Lucjan Wilhelmy, od marca zaś roku 1927 X. Antoni Skrzydelski, mianowany równocześnie wicerektorem Konwiktu. Oprócz tego stale zamieszkuje w Konwikcie dyrektor prowincji warszawskiej SS. Miłosierdzia, do roku 1931 X. Józef Sowiński, obecnie zaś X. Konstanty Witaszek. Mieszka tu również ojciec duchowny warszawskiego seminarjum metropolitalnego, którym był w latach 1919—1925 X. Weissmann, a obecnie X. Dembiński.

W skład członków Domu Zgromadzenia w Konwikcie wcho-

dzą obecnie XX. Weissmann, Michalski, Witaszek, Skrzydelski i Dembiński oraz Br. Franciszek Grześko, X. Weissmann wraz z X. Skrzydelskim zajęci są głównie zarządem Konwiktu, korzystając jednak przytem z wydatnej pomocy innych konfratrów. X. Michalski jest profesorem uniwersytetu; pracuje nadto w wielu zrzeszeniach kościelnych i naukowych, zwłaszcza jako kierownik Koła studjów w Theologicum, kurator Koła Teologicznego studentów, wiceprezes Towarzystwa Teologicznego, prezes sekcji orjentalistycznej Instytutu Antropologicznego przy warszawskiem Towarzystwie Naukowem i t. d. X. Witaszek poświęca się głównie trosce o warszawską prowincję SS. Miłosierdzia oraz zajmuje się niezmordowanie akcją na rzecz naszej misji w Chinach. X. Dembiński jako pater spiritualis w seminarjum warszawskiem, oddaje się przedewszystkiem zbożnej pracy nad urobieniem przyszłych kapłanów warszawskiej archidjecezji. Br. Franciszek zaś od lat piętnastu pełni sumiennie trudny urząd furtjana oraz liczne inne zajęcia dodatkowe.

Poza powyższemi obowiązkami pomagają XX. Konfratrzy często w kościele św. Krzyża, zwłaszcza z okazji spowiedzi rekolekcyjnych, odpustowych i szkolnych; głoszą corocznie po kilka seryj rekolekcyj już to Siostrom już też w gimnazjach lub stowarzyszeniach; są nadto spowiednikami Sióstr w Domu Centralnym oraz w kilkunastu Domach stolicy i w pobliżu miasta.

Takim jest stan Domu i zajęć naszego Zgromadzenia w Konwikcie Teologicznym po latach piętnastu, odkąd Opatrzność pozwoliła nam częściowo odzyskać dziedzictwo po Ojcach naszych.

Odporyszów. Misje.

Od 11—18 grudnia odbywały się misje w Odporyszowie. Głosili kazania misyjne X. Kalla i X. Błachuta. Przybyli z pomocą z Krakowa X. Wiejaczka i X. Stawinoga.

Olcza.

W y j a z d d o S t a n ó w Z j e d n o c z o n y c h. — X. Swałtek i X. Błahuta 3 stycznia wyjechali z Olczy. Jadą prosto do Gdyni. Nie zatrzymali się w Krakowie. Z Gdyni 5 stycznia sta-

tek ich wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. X. Wizytator był w Olczy pożegnać się z nimi w dniu wyjazdu.

X. Wiejaczka na zastępstwie. — Po wyjeździe X. Swałtka i X. Błachuty wysłał X. Wizytator X. Wiejaczkę 5-go stycznia do Olczy na zastępstwo. Nie można było zostawiać X. Pieniążka samego.

X. Stopka w Olczy. Z Pabjanic przybył 11-go marca X. Stopka do Olczy, by zająć się pracą parafjalną.

Tarnów.

X. Masny pracuje w Wilnie. — Obecnie w Tarnowie jest trzech konfratrów: X. Buchhorn, X. Mierzejewski i X. Chrucki. X. Masny wyjechał na wielki post do Wilna, gdzie pracuje na misjach w wileńskiej grupie.

Pogrzeb X. arcybiskupa Wałęgi. Jeszcze w styczniu X. arcybiskup Wałęga brał udział w odpuście naszym, na Rodzinę świetą. Niedługo potem zrezygnował. Usunął się do Tuchowa, do OO. Redemptorystów. Tam umarł 22-go kwietnia b. r. Zgromadzenie szanował, był mu szczerze oddany. Powierzył Zgromadzeniu Odporyszów i Tarnów. Przy budowie wspaniałego kościoła tarnowskiego bardzo wspierał X. Tyczkowskiego, którego bardzo poważał. Na pogrzeb X. Arcybiskupa, który odbył się w Tuchowie 26 kwietnia, udali się z Tarnowa wszyscy trzej nasi konfratrzy. Był też i X. Wizytator. X. biskup Rospond, który z Krakowa już dzień przedtem przyjechał do Tarnowa, aby nazajutrz brać udział w pogrzebie w Tuchowie, zamieszkał w naszym domu tarnowskim.

Francja. — Courbevoie.

X. Myszka A. do Brazylji. — X. Antoni Myszka, który przez 6 lat (naprzód 2 lata w Oignies, a potem 4 lata w Soissons) pracował nad naszymi emigrantami w Francji, wyjechał 29 kwietnia z Bordeaux do Brazylji, do Parany.

Brazylja. — Curityba.

Misje w koloniach polskich. — X. Wicewizytator Bronny oraz X. Wiśliński od 30 stycznia począwszy odprawili

szereg misyj ludowych dla naszych emigrantów w stanie Rio Grande do Sul, a mianowicie w Capo-Ere, Rio dos Indios, Floresta i t. d.

Orleans.

Konsekracja kościoła. — Wspaniały kościół wybudowany w Orleans staraniem X. Kandory doczekał się konsekracji. Dokonał poświęcenia kościoła X. arcybiskup Braga 8 lutego.

Imbituwa, dnia 26-go lutego 1933 r.

Dopomina się X. Sup. o wiadomości z Imbituwy. Cóżby tu napisać o Imbituwie, coby czytelnikow „Roczników" zainteresować mogło?

W naszej Radzie Kurytybskiej toczy się spór o to, czy należy przyjmować takie parafje, które są zamieszkałe prawie przez samych Brazyljan. I zdania są podzielone. Niektórzy twierdzą, że nie należy przyjmować, bo jesteśmy tu tylko dla Polaków. Imbituwa n. p. jest taką parafją, gdzie Polacy są w znikomej ilości. Mieszka tu jakie 40 rodzin polskich rozrzuconych po różnych kolonjach. Niektóre z tych rodzin w szybkiem tempie wynaradawiają się do tego stopnia, że niektórzy rodzice jeszcze mówią dobrze po polsku a licho po brazylijsku, a u dzieci już jest przeciwnie.

W sąsiedniej parafji w Ponta Grosie w zeszłym roku osiedlili się księża narodowi; jest ich dwuch czy nawet trzech i ztamtąd robią wyprawy do innych parafij, aby katolików polskich, słabych we wierze przeciągnąć do odszczepieństwa. Zdaje się, że są protegowani przez Konsulat tutejszy, za to, że po polsku sprawiają służbę Bożą. Budują obecnie kościół z desek w Ponta Grosie.

Do naszej parafji imbituwskiej pewnie się nie zapuszczą, bo tu mało Polaków, i proboszcz przynajmniej o tyle ma spokój, że nie potrzebuje opędzać się od natrętnych, żarłocznych wilków. Za to inne niebezpieczeństwo grozi naszym Brazyljanom ze strony spirytyzmu. W poprzednich latach spirytyzm bardzo się tu rozgałęził, a obecny kryzys sprzyja bardzo jego rozwojowi.

Kościół zawsze żądać musi pewnych ofiar i opłat na swoje utrzymanie; u spirytystów tego niema. Tam nie płaci się od chrztu, bo duch za darmo ochrzci, tam nie żąda się ofiar na Kościół, bo

dla ich zebrań jakakolwiek buda wystarcza. Nie potrzeba dbać o ubranie, bo o zmroku można iść boso i w najgorszem ubraniu, nikt na to nie patrzy. A nadto spirytyzm daje bezpłatnie porady lekarskie i nawet lekarstwa homeopatyczne dają. Nic dziwnego, że uboga i nieoświecona ludność, zaniedbana zupełnie pod względem sanitarnym, więcej uczęszcza na te zebrania spirytystyczne, a mało przychodzi do kościoła.

Jest też tu jakie 200 rodzin włoskich, i ci najlepiej trzymają się wiary katolickiej.

Otóż w styczniu 1931 r. powołano mnie z Ivahy do tej Imbituwy. Nie było tu plebanji. Zakupiliśmy dom najbliższy kościoła i zamienili go na plebanję.

W styczniu 1933 r. osiedliły się tu także Siostry Miłosierdzia Zamieszkują tymczasowo w domu wynajętym. Odtąd wychowuje się młodzież w duchu katolickim, a to jest podstawą życia religijnego, które tu sporo lat było uśpione z powodu braku księdza i braku wychowania religijnego.

X. T. Kania.

Rio de Janeiro.

Nieubłagana śmierć zaskoczyła w Rio de Janeiro X. Mięsopusta 21 marca. Wiadomość o życiu jego i ostatnich chwiłach podajemy na innem miejscu.

Chiny.

Utworzenie Prefektury Apostolskiej w Szentingfu. — Dnia 2 marca oddzielono od wikarjatu apostolskiego Szentingfu nową prefekturę apostolską Szuntehfu. Wikarjat apostolski zarządzany był dotychczas przez X. biskupa Schravena. Prefektura apostolska Szuntehfu oddana została w zarząd Misjonarzom polskim, na których czele stoi X. Ignacy Krauze.

X. Biskup Jarlin. Ze śmiercią X. biskupa Stanisława Jarlin znika jedna z najwybitniejszych postaci świata katolickiego w Chinach. Należał do Zgromadzenia XX. Misjonarzy św. Wincentego, był biskupem tytularnym Pharboetus i wikarjuszem apostolskim w Pekinie. Urodzony 1856 r., przybył do Pekinu 1886 r. w 2 lata po wstąpieniu do Zgromadzenia i tu w Pekinie otrzy-

mał święcenia kapłańskie. Zarządzał zrazu parafją, potem dystryktem, a w 1897 r. został wikarjuszem generalnym słynnego X. biskupa Favier, wreszcie 1906 r. jego koadjutorem cum iure Successionis. Nastał po nim r. 1905 i zaczął epokę świetnego rozwoju. W chwili jego sakry biskupiej 1900 r. liczba chrześcijan dochodziła 40.000, z których 6.000 zginęło w czasie straszliwej zawieruchy bokserskiej. Już 1905 r. jest ich 73.000, a 1926 r. już 288.000, nie wliczając w to części oddalonych. Z wikarjatu pekińskiego bowiem oddzielono jedno terytorjum Paotingfu i drugie Tien - tsin. Gdyby i te dwa terytorja wliczyć, to razem byłoby 495.000.

Było danem X. biskupowi Jarlin dokonać sakry 6 biskupów: Menicatti, Fcbrègues, Fatiguet, Tacconi, Dumond oraz de Vienne.

Nadto pobłogosławił opata Trapistów, Don Weychard i wkładał ręce na więcej niż 100 młodych kapłanów tak Europejczyków jak Chińczyków. Jako dewizę obrał sobie słowa Chrystusa: „Duc in altum". Powyższe liczby wymownie świadczą, jak umiał zrealizować hasło Mistrza.

Od 25 stycznia 1930 r. X. biskup Jarlin miał koadjutora cum iure Successionis, który też po nim nastąpił, jest nim X. biskup Paweł Montaigne, biskup tytularny Sidyma.

X. Biskup Jarlin umarł 26 stycznia 1933 r.

Wspomnienia pośmiertne.

Ostatnie chwile życia i pogrzeb ś. p. X. Jacka Mięsopusta.

Z Rio de Janeiro otrzymujemy następujące wiadomości o ostatnich chwilach życia i pogrzebie nieodżałowanej pamięci X. Jacka Mięsopusta, kapłana ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy.

Do Rio de Janeiro ś. p. X. Mięsopust przybył w czwartek 16-go marca czując się dobrze i zamieszkał w domu XX. Misjonarzy prowincji brazylijskiej. Następnego dnia udał się do Poselstwa R. P. a następnie sam załatwił formalności złączone z podróżą. W tym samym dniu odbył nawet krótką przechadzkę.

W nocy około 9-tej ś. p. X. Jacek osłabł nagle; przywołano natychmiast lekarza, który pozostał przy chorym do północy.

Nazajutrz około południa chorego przeniesiono do szpitala Santa Casa pod opiekę lekarzy i Sióstr-pielęgniarek. Zdawało się, że chory przetrzyma atak uremji, a nawet w poniedziałek nastąpiło polepszenie. W Santa Casa odwiedził chorego X. Jacka kilkakrotnie P. Minister Dr. T. Grabowski, troszcząc się bardzo o zdrowie chorego.

Tymczasem we wtorek po przyjęciu SS. Sakramentów, zachowując przytomność umysłu i rozmawiając swobodnie z otoczeniem, X. Jacek Mięsopust zmarł nagle, bez agonji.

Pogrzebem zajął się X. Superjor Alfons Germe, przełożony XX. Misjonarzy prowincji brazylijskiej.

W pogrzebie wziął udział P. Minister Dr. Tadeusz Grabowski, Poseł Pełnomocny R. P. wraz z Sekretarzem Poselstwa, 7 kapłanów ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy, oraz wielka liczba Sióstr Miłosierdzia i wiernych.

Zwłoki ś. p. X. Jacka Mięsopusta zostały złożone w grobowcu Zgromadzenia XX. Misjonarzy na cmentarzu Säo Joäo Baptista w Rio.

Ś. p. X. Jacek Mięsopust.

Doniósł nam dnia 21 marca, telegram z Rio de Janeiro, że tegoż dnia zmarł w stolicy Brazylji X. Jacek Mięsopust, kapłan ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy. Jako kolega zmarłego, z ławy szkolnej, zamierzam podać kilka szczegółów z pracowitego życia tego pobożnego i gorliwego kapłana.

Jest on synem Ziemi śląskiej, urodził się 1873 roku koło Bytomia z pobożnych rodziców. W domu przykładnie wychowany, zapragnął on już w młodym wieku poświęcić się służbie bożej, to też rodzice wysłali go do Krakowa, do małego Seminarjum XX. Misjonarzy. Tam chlubnie ukończył nauki gimnazjalne z pochwałą za zachowanie się i pilność. Następnie odbył dwuletnie studja filozoficzne, a wreszcie ukończył i teologję. Jako student teologji udzielał już łekcji w niższych klasach gimnazjalnych.

W 1898 roku został ś. p. X. Jacek Mięsopust wyświęcony na kapłana, dopiął więc swego upragnionego celu. Przez kilka lat jako profesor wykłada lekcje w prywatnem gimnazjum XX. Misjonarzy w Krakowie, a następnie nauki biblijne dla kleryków. W niedziele i święta pomaga gorliwie w pracy kościelnej przez słuchanie spowiedzi i głoszenie kazań.

Gdy lud polski z Brazylji dopraszał się o polskich kapłanów od przełożonych XX. Misjonarzy w Krakowie, ś. p. X. Mięsopust należał do pierwszych ochotników, którzy pragnęli śpieszyć z pomocą duchowną naszym rodakom w Brazylji. Wysłano go też w 1906 roku.

Tu, w Brazylji, rozwinął wielką gorliwość w pracy w różnych kolonjach, gdzie go posłano. Początkowo pracował w Lucenie (St. Catarina) z drugim księdzem. Następnie w Prudentopolis, gdzie założył podwaliny pod nową parafję i nowy dom XX. Misjonarzy. Wiele miał tam pracy, trudności i kłopotów, a przecież jego wytrwała gorliwość temu podołała. Objeżdżał zakładające się wówczas kolonje, pocieszał i wspierał lud nasz i obcy a słowo boże głosił w trzech językach: w polskim, portugalskim i niemieckim. Pięć lat pozostawał jako proboszcz w Prudentopolis.

W obawie, aby siły gorliwego kapłana przedwcześnie się nie wyczerpały a zdrowie nie sterało, przeznaczyli go przełożeni

do Abranches pod Kurytybą. Przybył w połowie lutego 1911 r., na to spokojniejsze pole pracy i pozostawał tu cztery lata. Za jego pobytu konsekrował X. biskup kurytybski kościół świętej Anny (1912). On również sprowadził piękny, wielki ołtarz z trzema statuami z Szwajcarji.

Powodowany gorliwością o naszych rodaków w Stanie Säo Paulo, rozrzuconych w różnych kolonjach, wyjeżdża do nich, utwierdza ich w wierze i narodowości polskiej.

Gdy lud nasz zakłada nowe kolonje w Rio Grande du Sul (w okolicy Erechim) i prosi o polskich kapłanów, ś. p. X. Jacek, znów pierwszy się ofiaruje na tę pracę. Przełożeni uwzględnili jego prośbę. W styczniu 1915 roku opuszcza Abranches, a wyjeżdża do Rio Grande do Snl. Pozostaje i pracuje w tym Stanie przez cały czas wojny światowej w różnych miejscach. Zdrowie jednakże X. Jacka poczyna szwankować, to też X. wizytator Słomiński powołuje go (1920) do Polski. Na jego prośby jednakże zostawia go w Brazylji nadal i powierza mu małą parafję Rio Vermelho, w Stanie St. Catarina.

Jego gorliwość się na tej pracy nie ogranicza. Robi ekskursje misyjne do sąsiednich i dalszych kolonij polskich i kaplic brazylijskich. Te wycieczki odbywa zwykle konno z wielkim uszczerbkiem dla swego zdrowia. W wolniejszych chwilach oddaje się nauce nad roślinnością, bada różne gatunki drzew, ptaków brazylijskich i t. p. Polskim uniwersytetom w Poznaniu, Krakowie i zakładowi XX. Misjonarzy posłał różne cenne opisy i okazy.

Niemal całe 12 lat zostawał w Rio Vermelho, zapadał coraz więcej na zdrowiu; choroba nerek coraz boleśniej poczęła dokuczać. Leczył się w szpitalu w Sao Bento. Pod koniec roku zeszłego przeniesiono go do spokojnego Tomas Coelho na wypoczynek. Lecz w styczniu b. r. stan zdrowia X. Jacka znów się znacznie pogorszył tak, że leczył się w Kurytybie pod stałą opieką lekarską. Było już — jak się zdawało — prawie dobrze z jego zdrowiem; lekarz pozwolił mu na wyjazd do Polski.

Tymczasem forsowne przygotowania do podróży i sama skwarna podróż, wywołały recydywę. Zaledwo dojechał X. Mięsopust do Rio, a tam zamiast wsiąść 20 marca na okręt, udaje się do szpitala, gdzie następnego dnia, 21 marca spokojnie Bogu

ducha oddał. Zmarł w 60-tym roku życia, 35-tym kapłaństwa, a 27-mym pracy wśród ludu naszego w południowej Brazylji.

W latach szkolnych budowałem się jego pilnością w nauce i dobrym przykładem, jaki nam dawał. W pracy zaś duchownej tu, w Brazylji, wszyscy uznać muszą jego niezmordowaną gorliwość i poświęcenie dla naszych rodaków, o ile pokora X. Jacka ich nie ukryła.

Spracowany, schorzały, wracał na wypoczynek do swej ojczyzny, do Polski, a tymczasem Bóg go zawezwał do Siebie, na wieczny wypoczynek w niebieskiej ojczyźnie, gdzie jest dla niego „nagroda bardzo wielka".

X. Józef J. Góral.

Wspomnienia o ś. p. Siostrze Róży Idalji Marji Okęckiej, zmarłej dnia 28-go lutego 1932 r. w Domu Centralnym w Warszawie, w wieku lat 54, powołania 32.

Prowincję Warszawską dotknął bolesny cios i okrył ją żałobą: Pan Bóg powołał do Siebie ukochaną naszą wizytatorkę Siostrę Różę Okęcką. Była to dusza wybrana, dusza wielka. Całe jej życie da się streścić w tych słowach: „zaparcie się". Pragnęła zużyć się i wyniszczyć dla wszystkich, aby wszystkich pozyskać Jezusowi Chrystusowi. Wyniszczona jej postać tchnęła takiem dostojeństwem, takiem oderwaniem od świata i stworzeń, że sam jej widok wywierał wpływ nadzwyczajny i zwracał dusze do Boga. Ale nietylko na Siostrach robiła tak głębokie wrażenie. Gdziekolwiek się znalazła, całe otoczenie ulegało urokowi Jej świętości. Pewien zacny Misjonarz, który był niegdyś Jej spowiednikiem, powiedział: „Przyjdzie czas, że będą się Siostry modlić do swojej Wizytatorki".

Nie można bez wzruszenia i podziwu czytać jej notatek, w których kreśli przelotne myśli swoje i postanowienia pracy nad sobą. Przez całe życie czyni ciągłe wysiłki postępu w doskonałości, czyni je z taką gorliwością i odwagą, do jakiej tylko wielkie dusze są zdolne.

Dziś, gdy jak się tego spodziewamy, u Boga, w niebie cieszy się chwałą, którą On koronuje „wybrane swoje", pragniemy zebrać wspomnienia, któreby nam były pociechą i pomocą do

postępowania Jej śladem po wąskiej i stromej ścieżce, wiodącej do nieba.

*
* *

S. Róża Idalja Marja Okęcka urodziła się w 1878 r. w majątku Brzeście, koło Warszawy w arystokratycznej rodzinie ziemiańskiej. Ojciec, człowiek wielkich zalet umysłu i charakteru, był dla siebie jak i dla drugich nader surowym i wymagającym. Matka, wzór cnót niewiasty, była uosobieniem dobroci, ale zarazem stanowcza i dzielna, oddawała się z całem poświęceniem wychowaniu dzieci, wpajając w nie od najmłodszych lat zasady chrześcijańskie, a przedewszystkiem poczucie obowiązku. Pewien kapłan, obecnie dostojnik kościoła, przyjaciel rodziny Okęckich, gdy była mowa o możliwości kanonizacji pewnej Polki, wyraził się już po śmierci matki S. Róży: „Gdyby to ode mnie zależało, kanonizowałbym przedewszystkiem ś. p. panią Okęcką“. W takiem środowisku wyrosła Siostra Róża, nie opuszczając domu rodzicielskiego aż do wstąpienia do Zgromadzenia. Cechowała Ją od dziecka wielka pogoda ducha i spokój przy równem, swobodnem, a nawet wesołem usposobieniu.

Będąc małem dzieckiem urządzała sobie w ogrodzie ołtarzyki i przy nich odprawiała nabożeństwa. Pewnego razu 8-letnia Rózia miała przygodę, która charakteryzuje pobożność dziecka i szczególną nad niej opiekę Matki Najświętszej. Zdarzyło się, że wbiegła na kładkę urządzoną na jeziorze dla czerpania wody; nóżka jej się obsunęła i wpadła do jeziora. Spojrzała w górę, ale zobaczyła tylko wodę ze wszystkich stron. W tem niebezpieczeństwie zaczęła odmawiać „Zdrowaś Marjo“ i uczuła zaraz, że jakaś siła uniosła Ją w górę, uchwyciła się krzaka i wydostała z wody. Chociaż Czcigodna nasza Siostra Wizytatorka wogóle o sobie nie mówiła. jednak to zdarzenie opowiedziała kilku Siostrom, mając zapewne na celu chwałę Matki Najświętszej.

Nauki pobierała częścią w domu, częścią w Warszawie, gdzie rodzice spędzali zimę. Inteligencja polska, nie chcąc rusyfikować swych dzieci, tworzyła komplety panienek, którym lekcje dawali sławni profesorowie, a jednocześnie gorliwi patrjoci. Na wsi oddana była pielęgnowaniu chorych i wraz ze swą starszą siostrą gromadziła dzieci na naukę katechizmu.

Około 20-go roku życia wyznała rodzicom swoje postanowienie poświęcenia się na służbę Bożą. Ojciec narazie się sprzeciwiał, żądając zwłoki. Róża poddała się temu, ale niezmiennie trwała przy swojem postanowieniu. Głos Boży powoływał Ją do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, a gdy ojciec zrobił uwagę, że praca w tem Zgromadzeniu jest zbyt ciężka na Jej wątłe zdrowie i proponował jeden z zakonów nauczających, odrzekła: „Jeżeli nie do Szarytek — to do Karmelu". Ojciec używał różnych sposobów, aby wybić Jej z głowy powołanie, a wiedząc, że bardzo lubi malarstwo i ma w tym kierunku wybitne zdolności, zawiózł Ją do Drezna i innych miejscowości zagranicą, dla zwiedzenia dzieł sztuki malarskiej. Po kilkutygodniowej podróży Róża powiedziała, że choć to wszystko było piękne i przyjemne, jednaj w jej postanowieniach żadna zmiana nie zaszła. Wreszcie ojciec uległ wyższej sile powołania i dał pozwolenie. W połowie maja 1900 r. Róża Okęcka opuściła dom rodzinny, aby się udać do Domu Centralnego w Warszawie.

Postulat S. Róża odbyła w szpitalu Dzieciątka Jezus i 3-go sierpnia przybyła do seminarjum. Oto co z tego czasu opowiada Jej towarzyszka: „Była to dusza wewnętrzna, złączona z Panem Jezusem, wyczuwało to się z Jej rozmów. Przez pokorę nigdy nie mówiła korzystnie o sobie ani o swej rodzinie, robiła wrażenie, że pochodzi z najuboższej sfery. Kochała całem sercem swoje powołanie i mówiła: „Tylko śmierć może mnie rozłączyć z mojem ukochanem Zgromadzeniem".

Po otrzymaniu św. sukni została przeznaczona do szpitala w Radomiu. Powierzono Jej sale kobiet. Z początku miała wiele trudności, nie będąc dość praktycznie wychowaną, ale z czasem, przy pomocy Bożej wprawiła się do prac Zgromadzenia i potrafiła sobie dobrze radzić w urzędzie. Po trzech latach pracy przy chorych, w której nie oszczędzała się nigdy, służąc im w duchu wiary, z największą miłością i poświęceniem, zaczęła zapadać na zdrowiu, pluć krwią. Były to początki gruźlicy. Przełożeni odwołali Ją do Domu Centralnego. Choroba postępowała, więc z wiosną pojechała na letnisko. To doświadczenie było jakby ślubnym darem, który otrzymała od Boskiego Oblubieńca wraz z katechizmem. 8-go września złożyła pierwsze śluby św. Wrażenie wtedy do-

znane musiało być bardzo silne, skoro odezwało się echem w ostatnim dniu Jej życia.

Choroba nie była jeszcze zaleczona, więc S. Róża musiała jechać na dłuższą kurację do Zakopanego. Chociaż ją to bardzo kosztowało, przyjęła rozkaz Przełożonych ze spokojem, sumiennie korzystała z kuracji, aby wypełnić wolę Bożą. W samotności Bóg przemawiał do Jej duszy, pogłębiał Ją i pociągał coraz bardziej ku Sobie. Po kilku miesiącach powróciła w dobrym stanie zdrowia. Rwała się do pracy. Umieszczono ją w Oftalmice, ale niedługo tam była. Wygląd Jej zdradzał przebytą chorobę. Lekarz zaczął narzekać, że dostał chorą Siostrę i prosił o jej zmianę. Siostra Róża musiała mocno odczuć to oświadczenie, przyjmując je w duchu pokory jako znak, że Pan Jezus osądził ją niegodną służenia Mu i tę myśl spotyka się parę razy w jej listach i notatkach.

Potrzebna była wówczas Dyrektorka do seminarjum. Wybór padł na Siostrę Okęcką. Pomimo, że miała dopiero 6 lat powołania, była tak urobiona duchowo, a przytem dobrze wychowana, delikatna, iż można się było spodziewać, że wyrobi się na doskonałą kierowniczkę młodych Sióstr. W tym celu miała pojechać do Paryża, ale przedtem trzeba było wzmocnić jej zdrowie pobytem na wsi. Widocznie plany Przełożonych były zgodne z wolą Bożą, bo od tej pory kaszel zupełnie ustał, wygląd znacznie się poprawił. Pan Jezus spojrzał na Zgromadzenie okiem Swego miłosierdzia i jakby cudownie dla dobra wielkiej liczby dusz przedłużył życie Tej, która miała być przykładem i drogowskazem dla swych towarzyszek.

W Domu Macierzyńskim pozostawiła po sobie jak najlepsze wspomnienie. Gdy w kilka lat później jedna z Sióstr będąc w Paryżu wyraziła szacunek i wdzięczność Dyrektorce Domu Macierzystego od Dyrektorki warszawskiej, ta zawołała: „Siostra Okęcka, o pamiętam doskonale, ta dobra S. Okęcka, jakże ona pragnęła zostać świętą".

Po 9-ciomiesięcznym pobycie w Paryżu wróciła do Warszawy, aby objąć urząd Dyrektorki. Oddała się jemu z całą gorliwością, zawsze gotowa poświęcić się dla Zgromadzenia. Chociaż tęskniła do bezpośredniej służby ubogim, nikt od niej nigdy słowa narzekania nie słyszał. To też w nagrodę tak wielkiego zaparcia się

dał jej Pan Jezus łaskę, że pracę nad urobieniem młodych dusz ukochała całem sercem, a w późniejszych przemówieniach swoich dobrą seminarzystkę zawsze dawała Siostrom jako wzór.

Sam widok jej postaci, na której odbijał się duch umartwienia i zjednoczenia z Bogiem, sprawiał wielkie wrażenie na młodych Siostrach. Jedna z nich tak pisze: „Gdy pierwszy raz zobaczyłąm S. Dyrektorkę, odrazu uderzyła mnie Jej świętość i majestat, aż trochę lęk mnie ogarnął, ale wkrótce miałam tyle dowodów nadzwyczajnej dobroci, że o pierwszym strachu zapomniałam, tylko przez parę lat nie śmiałam oczu dłużej zatrzymać na twarzy Siostry Dyrektorki“.

Oto jeszcze inne wspomnienie: „Spojrzeniem swojem zdawała się przenikać duszę moją do głębi. Chyliłam czoło pod tym wzrokiem, który mnie jednak nie przerażał, bo wyczuwałam w nim tyle wyrozumiałości. W kaplicy starałam się zająć takie miejsce, z którego mogłabym widzieć ją idącą i wracającą od Stołu Pańskiego, by podziwiać i pobudzać się Jej widokiem do większej miłości Bożej, którą tknęła cała Jej postać“.

Słowa jej, zalecenia czy upomnienia nacechowane były zawsze wielką prostotą i płynęły jakby z ust samego Pana Jezusa. Młode Siostry ze szpitali warszawskich gromadnie dążyły we środę do seminarjum, aby słuchać jej podniosłych nauk i praktycznych wskazówek. Pomimo pozornej surowości miała dla seminarzystek serce najlepszej matki. Czciły ją, ale i kochały zarazem. W czasie wojny dały się odczuć w seminarjum różne braki. Siostra Dyrektorka, w miarę możności starała się im zaradzić. Sama nie oszczędzała się w niczem, ale jej wątły organizm nie mógł tego wytrzymać. Pewnego razu upadła zemdlona w Seminarjum. Zmuszona posłuszeństwem musiała więcej uwagi zwracać na siebie i wyjechać na jakiś czas na wieś. Mimo tak wątłych sił fizycznych 12 lat była Dyrektorką.

W jesieni 1918 roku Polska odzyskała niepodległość skutkiem ostatecznego zwycięstwa Francji nad Niemcami, w wojnie światowej. Po tylu latach niewoli i męczeństwa naród składał Panu Bogu hymny dziękczynne za zmartwychwstanie ukochanej Ojczyzny.

Następny 1919 rok obfitował w ważne wypadki dla Zgro-

madzenia. W czerwcu umarła S. Wizytatorka Augusta Sikorska. Ceniła ona bardzo wielkie zalety Siostry Dyrektorki Okęckiej i pod koniec życia zaznajamiała Ją ze sprawami Zgromadzenia z tą myślą. że ona kiedyś zostanie jej następczynią.

W lipcu tegoż roku Siostra Róża Okęcka mianowana została Wizytatorką. Z poddaniem woli Bożej przyjęła ten ciężki krzyż na swe wątłe ramiona. Gdy po ogłoszeniu weszła do kaplicy, spostrzegła, że lampka przed Najśw. Sakramentem zbyt słabo się pali. Poszła więc prosto przed ołtarz, aby rozjaśnić ogień. Siostry wzięły to za zapowiedź, że ogień miłości Bożej będzie w sercach rozżarzać. I rzeczywiście to był jej cel, do którego nieustannie dążyła.

Korzystając z otwartej granicy i z serdecznego zaproszenia Najprzew. Matki Emilji Maurice, S. Wizytatorka udała się do Domu Macierzyńskiego, aby złożyć osobiście Przełożonym Generalnym hołd od prowincji Warszawskiej. W tym czasie wypadły uroczystości beatyfikacyjne Błog Matki, więc wszystkie Wizytatorki udały się do Rzymu, aby oddać cześć swej Założycielce. Nasza Siostra Wizytatorka kochając tak bardzo Bł. Matkę musiała zaczerpnąć wiele sił duchowych z bytności w Rzymie, wróciła umocniona na ciężkie przejścia, które ją wkrótce czekały, gdyż w parę miesięcy potem, najazd bolszewicki napełnił niepokojem i trwogą Jej serce.

Warszawa była w wielkiem niebezpieczeństwie. Głośna kanonada świadczyła o zbliżaniu się wroga. Rozmodlone tłumy zapełniały świątynie błagając o ratunek Matkę Najświętszą, Królowę Korony Polskiej. Na czele duchowieństwa stał obecny Ojciec św. Pius XI, wówczas Nuncjusz Apostolski w Warszawie. Nie chciał opuścić naszego kraju w tak niepewnem położeniu. Gdy się dziwiono, że zostaje, odrzekł: „Doskonale zdaję sobie sprawę z grozy położenia, ale dziś rano, przy ofierze Mszy św. poświęciłem życie Bogu. Jestem gotów na wszystko“.

Sam celebrował nabożeństwo błagalne o zwycięstwo dla Polski, dodawał otuchy, siły. Cały naród zachował największą cześć i wdzięczność za Jego ojcowską miłość i opiekę.

Matka Naiświętsza wysłuchała gorące modły i uczyniła cud w dzień Wniebowzięcia. Bolszewicy zostali odparci, w wielkim popłochu uciekali, rzucając amunicję i inne zdobycze. Zwycięstwo to przeszło do historji pod nazwą „cudu nad Wisłą“.

Wiele domów siostrzeńskich znalazło się w rękach najeźdźców. Skoro jednak nieprzyjaciel opuścił ten kraj, zewsząd nadchodziły wieści pełne wdzięczności dla Matki Najświętszej za Jej macierzyńską opiekę nad Zgromadzeniem, bo w każdym z naszych domów nic się nikomu złego nie stało. Te wieści dziwnie podnosiły i krzepiły ducha naszej Siostry Wizytatorki, a także potęgowały ufność w tak możną i miłosierną opiekę Niepokalanej Dziewicy.

Czcigodny Nuncjusz odwiedzał nieraz domy Sióstr naszych, przychodził odprawić Mszę św., w Domu Centralnym był parę razy i znał S. Wizytatorkę i cenił Ją. Z jakąż radością cała Polska przyjęła wiadomość, że Nuncjusz Achilles Ratti został Papieżem.

Jego Świątobliwość Pius XI lubi wspominać wspólnie przeżyte chwile, a także zaznacza, że jest polskim biskupem, bo w Warszawie otrzymał sakrę biskupią. Interesują Go sprawy Polski, gdyż uważa ją za przedmurze chrześcijaństwa, ze względu na bliskie sąsiedztwo z Rosją.

Po zawartym pokoju stosunki z Paryżem stawały się coraz częstsze. W 1923 roku prowincję Warszawską zaszczycił swemi odwiedzinemi Najprzew. Ojciec Jenerał, aby sprawić radość dzieciom św. Wincentego i doznać pociechy z oglądania zabytków pamiątkowych, sięgających czasów św. Założyciela.

Z jakąż wielką radością i szczęściem S. Wizytatorka dokładała starań, aby jaknajuroczyściej przyjąć następcę św. Wincentego. Brała czynny udział w przygotowaniach, interesowała się najdrobniejszemi szczegółami. Przejęta głęboką czcią dla Przełożonych, słuchała z przejęciem przemówień Najprzew. Ojca Generała, w których podkreślał wierność i przywiązanie prowincji Warszawskiej do Przełożonych Wyższych. Ożywiona duchem wiary S. Wizytatorka była pełną nadziemskiej radości, zdawało się, że widzi przed sobą samego św. Wincentego. Najprzew. Ojciec pozostawił po sobie wśród nas niezatarte wspomnienia ojcowskiej dobroci i prostoty.

S. Wizytatorka kilka razy była w Domu Macierzyńskim. Zawsze z wielkim przejęciem opowiadała wrażenia swoje po powrocie do domu.

Na czele prowincji staje w chwili, kiedy przed ukochanem

Zgromadzeniem naszem w Polsce zaczynają się roztaczać nowe horyzonty. Rząd zwraca częściowo dobra skonfiskowane za czasów rosyjskich, stąd pracy przybywa coraz więcej. Liczba domów powiększa się do 97, a liczba Sióstr do 835.

Obdarzona niepospolitą inteligencją, rozumem i nieugiętą siłą woli, ogarnia urząd i jego obowiązki, zastanawia się nad potrzebami prowincji i jak troskliwa matka czuwa pilnie, by duch św. Założycieli ożywiał powierzone jej dusze i dzieła, a przytem pracuje z taką gorliwością, zapałem i poświęceniem, że w podziw wprawia całe otoczenie. Niejednokrotnie zadawałyśmy sobie pytanie, skąd bierze siłę do wykonania tego wszystkiego; czerpała ją z ducha wiary, z gorącej modlitwy i miłości powołania. Wolę Bożą widziała we wszystkiem: w rozkazach Przełożonych, w regułach jak i w okolicznościach. To też w postępowaniu swojem nie rządziła się nigdy względami ludzkiemi. Pragnie aby duch wiary ożywiał całą prowincję, widać to z jej listów. Oto parę wyjątków: „Cieszy mnie to, że Siostra uczy się żyć blisko Pana Jezusa, Jemu oddawać swoje serce, u Niego szukać światła i pociechy. Im dłużej będzie Siostra żyć, tem bardziej się przekona, że Pan Jezus jest jedynie naszym wiernym Przyjacielem, który zawsze nas zrozumie, nigdy nie opuści i zaspokoi wszystkie nasze potrzeby, jeżeli Mu zaufamy, — a ludzie tego uczynić nie mogą". — „Pan Jezus pewnie najwięcej kocha tę Siostrę, która najmniej troszczy się o to, czy ją ludzie kochają i Jemu całe serce oddaje".

Z wiarą i ufnością dziecka szła przez życie, stąd wypływa Jej gorąca pobożność i duch modlitwy. Widząc Ją modlącą się, zdawało się, że jest w zachwyceniu, tak była skupiona i zatopiona w Bogu. Skupienie trwało u niej stale, gdziekolwiek się znajdowała, była zawsze zjednoczona z Bogiem. Jedna z Sióstr mówi: „Podziwiałam słowa jej proste, krótkie a nadzwyczaj treściwe i głębokie".

Pan Jezus był jej najlepszym doradcą. Gdy miała większe trudności czy też ważniejsze sprawy do załatwienia, szła do kaplicy gdzie z pokorą przedstawiała Panu Jezusowi swoje potrzeby, potem spokojna i zdecydowana wracała do pracy.

Zdaje się, że S. Wizytatorka wzięła sobie za główne zadanie życia umożenie swojej miłości własnej. Zdziera bez miłosierdzia

wszystkie zasłony, pod któremi zwykle ukrywa się ta wada. Dla upokorzenia nie waha się wypisywać przelotnych myśli, do których zwykła dusza sama przed sobą niechętnie się przyznaje. Walczy prawdziwie po bohatersku, aby na gruzach miłości własnej założyć królestwo miłości Bożej.

Oto wyjątki z tych notatek: „Powodem wszystkich moich uchybień i niepokojów jest zawsze miłość własna, powinnam: 1) nie myśleć o sobie nigdy, pod żadnym, nawet najlepszym pozorem, 2) nie mówić o sobie wcale, chyba Przełożonym i to rzadko, w razie prawdziwej potrzeby, 3) naśladować miłość i słodycz Pana Jezusa. Tylko pokorą zjednam sobie łaskę Jego. Postanawiam sobie zaczynać każde ćwiczenie i ważniejsze sprawy od wyznania swojej nędzy przed Panem Jezusem. Mam nadzieję, że się mu to będzie podobało i da mi łaskę poprawy". Układa sobie akty strzeliste w tym rodzaju: „Jezu spraw, abym sobą wzgardziła a Ciebie ukochała całem sercem".

Wszystkie te postanowienia, jak dobrze o tem wiemy, doskonale spełniała. Siebie miała za nic. Zachęcając Siostry do praktykowania pokory, tak pisze: „Pokorna dusza nie potrzebuje niczego się lękać. Jeden wewnętrzny akt pokory może rozbroić złego ducha, a skłonić ku nam Serce Pana Jezusa". — „Niech tylko każda z Sióstr ma siebie za najgorszą, a inne za lepsze uważa, wtedy niebo będzie w domu Nie jest to może tak trudne jak się to wydaje, skosztujmy tylko a zobaczymy, jak słodkie są owoce pokory". „Zapomnienie o sobie, a zupełne oddanie się Bogu, to najlepsze lekarstwo na choroby duszy, a czasem nawet na dolegliwości ciała". — „Dla nabycia pokory trzeba dużo walczyć, wiele przecierpieć, a wytrwale się modlić". — Dla utrzymania pokory w Zgromadzeniu i w każdej duszy, nie żal przenieść wszystkie, największe nawet upokorzenia. To skarb, którym Pan Jezus darzy dusze wybrane".

Pokora jej najlepiej maluje się w liście, pisanym do X. Dyrektora, który podajemy w całości:

Dnia 15 lipca 1926 r.

Czcigodny Ojcze!

Łaska Pana naszego niech będzie zawsze z nami:

Bóg zapłać Ojcu za list. Ja też jestem przekonana, że będąc tu, spełniam wolę Bożą i mam sumienie spokojne. Co do życia,

nie wiem jak będzie długie, nie zasłużyłam sobie na łaskę, by mnie Pan Jezus już zabrał z tej ziemi. Myślę zupełnie szczerze, że nietylko nie jestem odpowiednia do urzędu, jaki mam, ale nawet do Zgromadzenia, bo nie mam tych przymiotów, jakie powinna mieć Siostra, żeby z pożytkiem służyć ubogim, to też bardzo mnie to upokarza, że Pan Jezus odsunął mnie już na zawsze od służenia im. Podziwiam dobroć i zaślepienie Sióstr, że mnie znoszą pomimo mego charakteru i sztywnego obejścia, które sama czuję w każdej chwili, a mało się poprawiam. Pomimo to ufam miłosierdziu Pana Jezusa i polecając się modlitwom pozostaję w Jego miłości

pokorna i posłuszna

S. Róża

n. c. m. s. u. ch.

Surowa, na którą uskarża się w tym liście, dawała Jej powód do częstego upokarzania się, choć była tylko pozorną. W czasie ostatnich rekolekcyj, które odprawiała dwa miesiące przed śmiercią będąc u X. Dyrektora, rozpłakała się, mówiąc, że nie umie dosyć okazać Siostrom miłości, którą czuje w sercu, a jednak miała szczególny dar, uspakajania dusz zbolałych. Wiele Sióstr zawdzięcza jej cierpliwości wytrwanie w powołaniu. — Jedna z Sióstr tak pisze:

„Tęskniąc po zmianie domu, w którym spędziłam 12 lat, i wskutek innych cierpień popadłam w stan bezsenności, wyczerpanie czyniło mi pracę bardzo uciążliwą. Utyskując na to przed Czcig. S. Wizytatorką, tak słodką otrzymałam odpowiedź: „Niech Anioł Stróż, który maleńką Zosię do snu kołysał, roztoczy swe skrzydła i ukoi zmęczoną i zbolałą duszyczkę".

Była bardzo delikatna w stosunku do Sióstr we wspólnem pożyciu. Oto co podaje jedna z Sióstr: „Miałam szczęście spać w jednej izdebce z Czcig. S. Wizytatorką. Gdy przychodziła na dormitarz trochę później, aby mnie nie budzić, zdejmowała trzewiki na korytarzu i wchodziła w pończochach". Czasem wracając z podróży, gdy zastała dormitarz zamknięty, nie budziła Siostry lecz szła się przespać gdziekolwiek.

Z pokorą łączyła podziwu godne umartwienie. Uważając je jako klucz do innych cnót, chwytała każdą sposobność do niego

ze świętą chciwością. Narażona często na uciążliwe podróże, cieszyła się, że ma sposobność do niewygody. Wstawała zwykle o 4-tej mimo tak wątłego zdrowia, w kaplicy klęczała ze złożonemi rękami bez żadnego oparcia. Wszyscy dokoła mówili, że S. Wizytatorka cudem żyje, jak to niegdyś św. Wincenty powiedział o naszej Błog. Matce. Była tak wyczerpana i słaba, że nieraz chwiała się idąc korytarzem, ale w pracy nie ustawała. Na prośby Sióstr, by choć trochę wypoczęła, miała jedną odpowiedź: „Nic mi nie jest".

Patrząc zbliska nie można było spostrzec w niej najmniejszego odruchu, któryby schlebiał naturze. Ostatnia choroba była najlepszym dowodem jej umartwienia. Twarda i surowa dla siebie, była bardzo wyrozumiała na nędzę innych. „Jednego tylko nie mogła zrozumieć, a tem było sprzeniewierzenie się naszym świętym zobowiązaniom. Twarz jej zwykle poważna wówczas poważniała jeszcze bardziej, w oczach malowało się cierpienie, a krótkie zdanie: „Nie wolno tak robić", zapadało w duszę na całe życie.

Iść ubogą za ubogim Panem Jezusem, było jej hasłem. Chociaż wiele jest Sióstr w Zgromadzeniu, które w szczególny sposób zachowują ubóstwo, jednak drogiej naszej Siostrze Wizytatorce żadna z nich nie mogła dorównać. Chodziła w wytartej, zniszczonej chustce, ze wstrętem odrzucała wspaniałe futra, któremi nieraz chciano ją okryć w podróży. Tak przestrzegała ubóstwa w rzeczach osobistych, że gdy wypadło oddać trzewiki do reperacji, szła do Ekonomatu, brała sobie pierwszą lepszą parę, w której chodziła, dopoki jej trzewiki nie były zreperowane. Byłam świadkiem, mówi jedna Siostra, jak Czcig. S. Wizytatorka, po powrocie z podróży, sama zaprała zabłocony dół płóciennego fartucha, aby go jeszcze wziąć do użytku". — Oto jeszcze inny przykład: Tak byłam usposobiona, pisze jedna Siostra, że zdawało mi się, że już nie mam siły iść dalej. W tym czasie przyjechała niespodzianie Siostra Wizytatorka. Po obłoconem mokrem ubraniu poznałam, że pieszo przyszła ze stacji. Dlaczegóż nie wzięła taksówki? pomyślałam. Odpowiedź, którą sobie uczyniłam na to pytanie wyrwała mnie z mojego stanu przygnębienia. „Ona zatraca się w poświęceniu i korzysta z każdej sposobności, by składać zadośćuczynne ofiary za nas"... Zawstydziłam się ogromnie swojej

małoduszności i powiedziałam sobie z mocą; „Pójdę w Jej ślady".

Pewnego razu S. Wizytatorka, będąc w jednym ze szpitali na prowincji, chciała odwiedzić Siostry mieszkające w domu odległym o kilka kilometrów. X. Biskup dowiedziawszy się o tem, ofiarował swoją karetę. Gdy nadeszła chwila pożegnania S. Wizytatorka zapytała, czy konie do bryczki już założone. S. Starsza nieśmiało oznajmiła, że X. Biskup przysłał karetę. Usłyszawszy to S. Wizytatorka złożyła ręce, rzuciła się na kolana i zawołała błagalnym głosem: „Ach Siostro Starsza droga, jakże to będzie, ja za nic nie pojadę karetą". Następnie mając łzy w oczach poszła śpiesznie do kaplicy. Za kilka chwil powróciła zupełnie spokojna. Tymczasem zajechała nasza uboga bryczka. S. Wizytatorka z uśmiechem na ustach wsiadła i odjechała w dalszą podróż.

Nie miała żadnych wymagań dla siebie. Pomimo nawału pracy sprzątała po sobie, nie chcąc, by jej w czemkolwiek służono. Wielką jej troską było zachowanie ubóstwa wśród Sióstr, pragnęła, by w domach nie było nic zbytkownego, by Siostry poprzestawały na zaspokojeniu najniezbędniejszych potrzeb. Często daje takie zalecenia: „Niech Siostry w stosunku do siebie nie będą paniami, pamiętając, że są tylko sługami ubogich i jako takim nic się im nie należy".

W ostatnich latach władze rządowe zaczęły stawiać większe wymagania. Wyłoniła się potrzeba urządzenia nowych kursów pielęgniarskich, które powstały przy szpitalu św. Rocha. Siostry rozpoczęły również kursa wychowawcze.

Powstał także aspirat w celu dokształcania kandydatek, przybywających do Zgromadzenia. Liczba aspirantek doszła do 50.

S. Wizytatorka brała czynny udział w rozszerzaniu nowych dzieł, stąd przybywało jej coraz więcej pracy. Wielką jej troską było młode pokolenie, które uważała jako przyszłe Zgromadzenie. Pragnąc w niem widzieć dusze czyste, oderwane od stworzeń i złączone z Panem Jezusem, daje im takie zalecenia: „Siostry powinny być jak ten promień słoneczny, który wciśnie się wszędzie, przejdzie przez najbrudniejszą szybę, ale sam zawsze pozostaje czysty". — Przed obłóczynami tak mówi: „Od dziś stają się Siostry prawdziwemi dziećmi Zgromadzenia, biorąc tę suknię

ubogą, pokorną, żeby się stać tak ubogiemi i pokornemi jak ona. Jeżeli się Siostry spodziewały zaszczytów, pochwał, dobrobytu, wywyższenia, to źle Siostry trafiły i bardzo się pomyliły, bo życie nasze, to życie pokory, ubóstwa, umartwienia, wyniszczenia, pracy i zaparcia się. Tak, moje Siostry, w Zgromadzeniu to tylko Siostry mieć będą, ale prawdziwa miłość Pana Jezusa i Zgromadzenia uczyni lekkiem wszystko co się wydaje trudnem".

Czuwając, by obecny duch świata nie miał wpływu na młode Siostry, daje im cenne wskazówki, mówiąc: Moje Siostry, że świat zmienia swoje zwyczaje, i nie chce się umartwiać, to jeszcze nie powód, abyśmy to samo robić miały. Zgromadzenie zwyczajów swoich nie zmieni i zmienić nie może. Ducha pokuty i umartwienia nie odrzuci nigdy, pozostanie zawsze tem samem, jakiem było za czasów św. Wincentego. Dawniej, kiedy warunki były inne, to na tyle Sióstr w Zgromadzeniu mogła się znaleźć pewna część niegorliwych. Dziś Bóg przez ludzi wymaga od nas wprost męczeństwa, nie tego męczeństwa, po które się jedzie daleko, ale męczeństwa dobrowolnego, życia całego"..

Pragnie także wyrobić Siostry na dobre sługi ubogich. Największą jej pociechą było, gdy wiedziała, że ubodzy pod naszą opieką są dobrze obsłużeni. Na łożu śmierci odmawiając św. Śluby, szczególny nacisk kładzie na słowa: „służenie ubogim chorym, ukochanym Panom naszym".

Przy domu Centralnym znajduje się Biuro Nędzy Wyjątkowej, które S. Wizytatorka nazywała „błogosławieństwem domu", bo setki najuboższych otrzymywały tam wsparcie. Kochała bardzo to dzieło. Zaglądając często do Biura korzystała z każdej sposobności, aby osobiście oddać ubogim choćby najmniejszą przysługę.

W 1927 roku wchodzi w życie dekret Ojca św. o zmianach przełożonych w poszczególnych domach. Nowe kłopoty i troski spadły na barki Czcig. S. Wizytatorki. Nie cofała się jednak przed żadną trudną sprawą. Mężnie spełniała swój obowiązek bez oszczędzania siebie. Umiała milczeć o wszystkiem, co było dla Niej trudne, przykre i bolesne, nie użalając się na nic, jak gdyby jej się to słusznie należało. Nie mierzyła ludzi miarą ich życzliwości lub sympatji dla siebie, ale oceniała wartość ich według spra-

wiedliwości, a przytem niesłychanie dyskretna i delikatna umiała pozyskać zaufanie wszystkich.

Odczuwała bardzo cierpienia, które przeżywały Siostry Służebne z powodu zmiany domów, bo nieraz były w nich od wzięcia świętej sukni.

Pewnego razu, będąc u Siostry Służebnej, która na wspomnienie dawnego domu, serdecznie się rozpłakała, uklękła i ze łzami w oczach całowała jej ręce, przepraszając, że mimowoli musiała być powodem tylu cierpień. W związku z temi zmianami pisze do pewnej Siostry: „Zmiany jakie teraz ciągle przeżywamy w Zgromadzeniu, powinny nas bardzo uświęcić, odrywać od ziemi, skłonić do poważnych myśli i pragnienia tylko stałych i niezmiennych skarbów szczęśliwej wieczności, a także do wielkiej ufności w Bogu, który odmieni sobie narzędzia jak chce, a sam jednakowo prowadzi Zgromadzenie.

Chociaż Siostra Wizytatorka zawsze miała wielkie nabożeństwo do Matki Najświętszej, to jednak rok jubileuszowy spotęgował je jeszcze bardziej. W przemówieniach swoich i listach zachęca Siostry do czci Niepokalanej Dziewicy w tych słowach: „Niech Siostra droga odda swoje serce i życie swoje całe powierzy Matce Najświętszej. Ta dobra Matka wyjedna Siostrze ducha żywej wiary, silnej ufności i miłości dla Pana Jezusa". — „Ze wszystkiego co Siostra droga mi donosi, najbardziej zmartwiła mnie obojętność względem Matki Najświętszej, dlatego posyłam koronkę z odpustami i proszę, niech Siostra droga codzień wiernie ją odmawia, nigdy nie opuści, z obawy, żeby Matka Boska Siostry nie opuściła, a coby się z nami stało, gdybyśmy były pozbawione opieki tej naszej najlepszej Matki".

Stuletnia rocznica objawień napełnia duszę S. Wizytatorki wielką radością, chociaż w tym czasie nie brakło jej także doświadczeń. Uzyskuje pozwolenie na przyjazd do Domu Macierzystego dla 10 Sióstr. W Domu Centralnym w Warszawie czyniono także przygotowania do uroczystego obchodu stulecia, między innemi zorganizowano Zjazd Dzieci Marji z całej Prowincji, zakończony wspaniałą procesją i dużą pielgrzymką do Częstochowy. S. Wizytatorka zajmowała się w szczególniejszy sposób Stowarzyszonemi i kilku ułatwiła podróż do Paryża, aby mogły wziąść udział w Zjeździe Wszechświatowym Dzieci Marji.

W czasie uroczystego Triduum, które obchodzono z największą okazałością, rozdano niezliczoną ilość medalików, co Siostrę Wizytatorkę bardzo cieszyło.

W tymże roku Najprzewielebniejsza Matka, chciała odwiedzić Polskę, ale nie mogąc wyjechać na dłuższy czas z domu, z powodu uroczystości jubileuszowych, wysłała swoją przedstawicielkę, w osobie czcigodnej Siostry Rossignol, która miała zwizytować wszystkie prowincje Polski Pobyt Jej mile zapisał się w naszej pamięci. W marcu 1931 roku odczuła bardzo zmianę X. Dyrektora z którym 20 lat współpracowała.

W październiku 1931 roku, na 4 miesiące przed śmiercią, miała Siostra Wizytatorka szczęście wysłać po raz pierwszy 3 Siostry na misje do Shunteh fu w Chinach. Od roku byli tam XX. Misjonarze polacy, którzy prosili o przysłanie Sióstr. S. Wizytatorka dziękowała Bogu, że raczył wybrać biedne Siostry prowincji warszawskiej, ale w sercu cierpiała nad rozstaniem. Pożegnanie zakończyła słowami: „Do widzenia w niebie“.

Ostatnie lata nadszarpnęły bardzo jej wątły organizm. Stan osłabienia uważała za lenistwo i jako z takiem stale walczyła. Gdy w ostatniej chorobie, S. Asystentka zrobiła jej wymówkę, że czując się więcej osłabioną nie oszczędzała się wcale, odpowiedziała: „Myślałam, że mi się nie chce i tak się popychałam“.

W styczniu zaczęła wizytować Szpital Dzieciątka Jezus. W tym czasie wypadło jej w ważnej sprawie pojechać do Kielc. Była już bardzo chora. Po powrocie czując się coraz gorzej, przyśpieszyła koniec wizytacji i przyjechała do Domu Centralnego, aby się położyć do łóżka, z którego już nie wstała. Wysoka temperatura zapowiadała poważną chorobę. Lekarz stwierdził ognisko zapalne w płucach, wyczerpany organizm nie miał siły walczyć z chorobą, która czyniła ogromne postępy. Cała prowincja modliła się gorąco o zdrowie dla Czcigodnej Chorej, lecz wyroki Boże inne były Dusza Jej dojrzała dla nieba.

Cierpiała wiele w ciągu choroby, zwłaszcza w ostatnich dniach, ale nigdy żadna skarga nie wyszła z jej ust. W ciężkich chwilach powtarzała stale akty strzeliste. Była bardzo miła i łatwa do pielęgnowania. Z przedziwną prostotą przyjmowała niezbędne usługi, a myśląc zawsze o innych, starała się, żeby nikt się dla

niej nie utrudził ponad konieczność. Usiłowała zawsze być posłuszną, chociaż nieraz wiele ją to kosztowało. Tak nie lubiła, żeby się nią zajmowano, ciało swoje traktowała zawsze gorzej niż niewolnika z surowością i jakąś pogardą, a teraz od rana do wieczora musiała być przedmiotem różnych zabiegów.

Na tydzień przed śmiercią przyjęła ostatnie Sakramenta św. ze spokojem i wielką pobożnością. Potem przepraszała za wszystkie przykrości i zgorszenia, jakich mogła być powodem i powiedziała z żywością: „Ja od Zgromadzenia otrzymałam sto razy, tysiąc razy więcej niż na to zasłużyłam".

W nocy 28-go lutego stan się tak pogorszył, że przyjęła wiatyk. Była to Jej ostatnia Komunja św. Gdy została sama zawołała z radością w głosie: „Czy ja mogę mieć śmiałość wierzyć w to szczęście, że niedługo zobaczę Pana Jezusa! Ach, ja go tak całe życie pragnęłam!"... Parę razy powtórzyła słowa św. Pawła: „Pragnę być rozwiązana i być z Chrystusem".

Domowe Siostry otoczyły Jej łóżko. Była blada i zmieniona, tylko oczy jaśniały przepięknym blaskiem, jak gdyby oglądały już światłość Bożą. Ogarniała spojrzeniem klęczące u Jej nóg i płaczące Siostry. Siostra Asystentka zwróciła się do Chorej mówiąc, „Siostry bardzo przepraszają Siostrę Wizytatorkę, a ja to już najbardziej". „Mnie, odpowiedziała, nikt nigdy nic nie zrobił". „Niech Siostra Wizytatorka pobłogosławi Siostry". „Nie godna jestem, niech Pan Jezus błogosławi, w osobach Sióstr błogosławię wszystkie". Mówiąc to, nakreśliła znak krzyża świętego.

Wkrótce przyszedł Czcig. X. Dyrektor i udzielił absolucji. S. Wizytatorka poprosiła o gromnicę i głośno, wyraźnie odczytała formułę św. Ślubów. Potem odetchnęła z wysiłkiem i szepnęła: „A teraz niech mi się dzień moich pierwszych św. Ślubów przypomni". Siostry modliły się, w przerwie S. Wizytatorka powiedziała: „O tak, niech się Siostry modlą, niech się bardzo modlą, bo jestem wielką grzesznicą, a po chwili dodała, i o następczynię, żeby była lepsza, o wiele lepsza odemnie".

Gdy została sama z jedną tylko Siostrą, rzekła: „Jedno mi jest teraz przedewszystkiem potrzebne, zupełne zjednoczenie się z wolą Bożą". Przez całe życie kochała wolę Bożą, więc i w chwili śmierci wytężała myśl swoją, by jaknajlepiej odpowiedzieć jej za-

miarom. Siostry przybyłe z miasta i rekolektantki pragnęły raz jeszcze zobaczyć Ją i pożegnać. S. Wizytatorka usiłowała uśmiechnąć się do każdej, niektórym robiła krzyżyk na czole, a gdy weszła jedna Siostra, o której wiedziała, że jest zaziębiona, kazała zamknąć lufcik, aby jej zimne powietrze nie zaszkodziło. Do ostatniej chwili życia daje dowody zupełnego zapomnienia o sobie.

O godzinie 7 i pół wieczorem przyszła Siostra Dyrektorka. Czcig. Chora powiedziała: „Proszę się modlić". Myślałyśmy, że mówi to ogólnie, ale powtórzyła z naciskiem: „Proszę się modlić". Były to jej ostatnie słowa. Rysy zaczęły się zmieniać, ucałowała podany krzyżyk. Siostry się zbiegły, żeby być obecnemi ostatnim jej chwilom. Nadszedł również X. Dyrektor. Zapalono gromnicę i S. Asystentka zaczęła odmawiać modlitwy przy konających. Niezadługo ofiara została dokonaną, czysta jej dusza uleciała do Boga. Znający ją dobrze spowiednik dał świadectwo, że nigdy nie obrażała Pana Boga dobrowolnie.

Przez 3 dni stała w izbie rady zamienionej na kaplicę żałobną. Siostry kornetowe, Seminarzystki, aspirantki i dzieci z zakładu naprzemian modliły się dzień i noc. Leżała cicha, pierwszy raz bezczynna, pełna majestatu. Siostry i liczne tłumy świeckich ocierały medaliki, koronki i t. p. rzeczy o jej czcigodne ręce. Widok ten sprawiał ogromne wrażenie na obecnych. Zwłoki zostały następnie przeniesione do kościoła św. Krzyża. J. E. X. Kardynał Kakowski odprawił żałobne nabożeństwo, J. E. X. Biskup Gall prowadził żałobny kondukt na cmentarz.

Najprzód szły długim szpalerem dzieci z zakładów, potem Dzieci Marji ze sztandarami przybranemi krepą, następnie długie szeregi Sióstr, za niemi liczne duchowieństwo, na końcu skromny nasz karawan, a na nim ubożuchna trumna ze zwłokami drogiej naszej Zmarłej. Trumnę złożono na podmurówce obok grobów poprzednich Wizytatorek.

Trudno opisać, jaki żal i smutek okrył całą prowincję, z powodu takiej straty.

Myślą i sercem przenosimy się często do Tronu Bożego, pełne ufności, że duch jej jasny czuwa nad naszą prowincją i wyprasza u Boga potrzebne nam łaski.
